

Uważaj, gdzie pracujesz...

CZERWONY

1

ŁÓD

SERIA
Z
SZADYM

MALGORZATA

3

RADTKE

4

WYDAWNICTWO WASPOS

Uważaj, gdzie pracujesz...

CZERWONY

1

ŁÓD

SERIA
Z
SZADYM

MALGORZATA

3

RADYŃKE

4

Copyright © by Małgorzata Radtke, 2018
Copyright © by WYDAWNICTWO WASPOS, 2019
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone, zabrania się kopiowania oraz udostępniania publicznie bez zgody Autora oraz Wydawnictwa pod groźbą odpowiedzialności karnej.

Redakcja i korekta: Justyna Karolak

Korekta: Angelika Ślusarczyk

Projekt okładki: Shred Perspectives Works

Ilustracje w środku książki: copyright by © pngtree

Skład i łamanie: Wydawnictwo WasPos

Wydanie I

ISBN 978-83-66425-13-2

Wydawnictwo WasPos

Warszawa

kontakt@waspos.pl

www.waspos.pl

Wszystkie postacie, miejsca i zdarzenia są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do
osób i miejsc
są przypadkowe i niezamierzone.

UROKI PRACY W POLICJI

Północ o różnych porach roku wygląda inaczej. Latem zwiastuje kłopoty. Dochodzi do kradzieży, pobić, zaginięć. Na nic zdaje się technologia XXI wieku, gdy ludzie zapadają się pod ziemię, a samochody rozpływają w powietrzu. Jesienią pachnie ołowiem, obciąża powieki, sprawia ból w kręgosłupie od ślęczenia przy raportach, albo od spania w służbowym samochodzie. Zimą, mimo mroku, bawi się w malarza, przyozdabia biel krwawymi plamami lepiej od Picassa. Echem roznosi trzaski gniecionych blach nieostrożnych kierowców, szczypie w zziębnięte kończyny. Pozbawia czujności.

Wiosną północ przypomina samotną i pijaną kobietę w barze. Bywa nieobliczalna: raz szara – raz kolorowa; ciepła lub chłodna. Milczy, by zaraz uderzyć hukiem pocisku wystrzelonego tuż przy uchu... W wiosennej północy nie ma nic przewidywalnego. Tak jak dzisiejszej nocy – wraz z pojawieniem się czterech zer na zegarku myślałem o ucieczce na bezludną wyspę. Ten ostatni weekend kwietnia mnie nie oszczędzał.

Nabiegałem się po bagnach, lasach, krzakach i szosach. Nie pamiętam ile zrobiłem kilometrów, ale ból w nogach nakazał mi twierdzić, że więcej niż zwykle.

Powoli martwiłem się o drogę powrotną, zostawiłem służbową brawę daleko za wniesieniem – około trzy godziny piechotą stąd. Oddech zamieniał się w parę. Mokre od potu ubranie przykleiło mi się do skóry. Śmierdziałem. Nie lubiłem tej części pracy w policji. Żyłem tym, że za pół godziny powinno być po wszystkim, jeśli informator nie nabił nas w butelkę.

Mimo zmęczenia i przemarznięcia byłem w lepszej sytuacji od swojego partnera, który ubiorem pomylił policyjną akcję z randką. Idiota założył skórzaną kurtkę, dżinsy i lakierki. Zatrzymałem się na skrzyżowaniu traktów turystycznych gdzieś w głębi lasu.

– Szady, jesteśmy na miejscu? – Błona chuchał na dłonie.

Na odczepnego skinałem głową. Drogę spowijała gęsta mgła, dobry sprzymierzeniec akcji w terenie. Gdyby podejrzany wybrał tę ścieżkę, moglibyśmy go tropić, zachowując niskie ryzyko, że nas zdemaskuje.

Błona szcząkał zębami coraz głośniej. Dla uspokojenia własnego sumienia oddałem mu rękawiczki.

– Myślę, że przyjdzie albo z tej, albo z tamtej strony. – Wskazałem na wschód, później na zachód. – Jeśli tu poczekamy, powinniśmy na niego trafić. To dobre miejsce. Tylko zrób coś ze swoją szczęką. Możesz przestać? Przy takiej gęstości powietrza dźwięki szybko się rozchodzą.

Błona popukał się w czoło, na co przewróciłem oczami. Czasem miałem dość jego dziecinnych zagrywek. Dla pewności

pociągnąłem go za drzewa.

– Jak ja nienawidzę dyżurów.

– Błona, zamknij się, bo nas usłyszy.

– Łazimy po tych lasach od wieków. W życiu nie zdawałem sobie sprawy, że ten rezerwat może mieć taką powierzchnię. Ile kilosów zrobiliśmy? Dwadzieścia? Jeny, jest tak zimno, że włosy na mojej dupie skuły się lodem.

Usłyszałem coś. Piśnięcie, czy skrzypnięcie starej sprężyny.

– To nawet nie nasza akcja – kontynuował Błona.

– Zamknij się – nakazałem i uderzyłem go lekko. Musiało jednak zabołeć, bo syknął i rozmasowywał ramię. Bez przesady, aż takiej siły nie użyłem.

Mgła opadła i stężała, nasza widoczność ograniczyła się do dwóch, trzech metrów. Od stania w miejscu zrobiło się chłodniej. Przestraszyłem się, że Błona dostanie hipotermii, tak bardzo się trząsał.

Piszczenie sprzed kilku minut zrobiło się wyraźniejsze i powracało w regularnych odstępach. Błona odwrócił się za siebie. Ten dźwięk przypominał nienaoliwiony łańcuch sunący po zębatce.

Dużo się nie pomyliłem. Z północnej drogi wyjechał na składaku podejrzany pasujący do rysopisu podanego przez grupę delta. Skryliśmy się za drzewem. Tuż obok nas przejechał przerośnięty mężczyzna w czarnych ubraniach i czapce. Rower z każdym obrotem pedałów wyginał się w różne strony, cały zdawał się zespawany na szybko z zardzewiałych

części. Poczekaliśmy, aż się oddali i ruszyliśmy za czerwonym światełkiem na tyle roweru.

Truchtaliśmy. Nie zdążyliśmy dobrze minąć skrzyżowania, a Błona potknął się o wystający korzeń. Przeklął. Głośno. W mgnieniu oka zamarłem. Rower oddalał się – znikał we mgle.

– Nic nie usłyszał? – spytał Błona. – Jakim cudem?

– Chyba ma słuchawki. – Wróciłem do biegu. – Musi je mieć, albo mamy po sprawie.

– Który złodziej bierze ze sobą słuchawki na akcję w środku nocy?

– Chodź. Dogonimy go, a reszta wyjdzie w praniu. Siema, stary – mówiłem już przez telefon do lidera grupy drugiej – zbliżamy się w waszą stronę. Widzimy podejrzanego, porusza się na składaku. Najprawdopodobniej ma słuchawki na uszach, ale i tak zachowujemy bezpieczny dystans. Przygotujcie się.

– Zrozumiałem – odpowiedział i rozłączył się.

Po kilometryrce miałem wrażenie, że eksplodują mi mięśnie w udach i łydkach. Nawet kark i szyja paliły od bólu. Starłem się rozluźnić, pomóc sobie masażem szyi, ale w biegu nie było to łatwe. Na moje szczęście to uczucie minęło po kolejnym kilometrze. Udało mi się ustabilizować oddech. Błona biegł po gorszej stronie, gdzie kępki trawy i dziury piętrzyły się jedna za drugą. Woląłem nie wyobrażać sobie, co on w tej chwili czuje.

Mgła opadła do kostek. Widoczność się polepszyła, tak że zwiększyliśmy odległość od roweru. Biegliśmy po obu stronach drogi, żeby w razie problemu schować się za drzewami, ale podejrzany zdawał się nie czuć zagrożenia. Jechał przed siebie, podskakując na siodełku z każdym najechaniem na dziurę lub kamień. Z mojej perspektywy wyglądał tak, jakby ukradł dziewczynce prezent komunijny.

Na jednym z licznych skrzyżowań zwróciłem uwagę na ciemne samochody zaparkowane na leśnym parkingu. Obok nich stało trzech szemranych typów zwróconych w naszą stronę. Przypominało to typową transakcję narkotykową, ale nie mogłem porzucić podejrzanego aż do punktu zmiany. Dzisiaj najważniejsza była dla mnie ta sprawa. I wcale nie pomagała myśl, że te typki pewnie wzięły nas za idiotów.

Minęliśmy równe trzy kilometry. Mogłem zwolnić. Złapałem też Błone, aby się zatrzymał.

Machnąłem dwoma palcami przed sobą i stanąłem. Z rowu zerwało się dwóch kumpli w czarnych uniformach. Przekazaliśmy pałeczkę grupie drugiej, teraz oni śledzili podejrzanego. Mogliśmy odpocząć.

Błona cupnął na powalone drzewo, a ja przystanąłem przy nim. Żałowałem, że nie występowałem w amerykańskim serialu. Tam policjanci wozili się drogimi samochodami, mieli wsparcie, szpiegowskie gadzety. W Polsce użerałem się z cięciami budżetowymi.

Posiedzieliśmy w milczeniu dobre dziesięć minut. Błona palił papierosy i pluł na ziemię, a ja szukałem zasięgu, żeby sprawdzić wiadomości. W końcu mi się znudziło, więc rozejrzałem się po okolicy. Zauważyłem pochylone drzewo, podtrzymujące się na gałęzi innego. Kojarzyłem to miejsce.

– Idziemy. – Poklepałem Błone po plecach i zagłębiłem się w las.

– Ty... Dokąd? – spytał, idąc za mną. – Przecież wiesz, że powinniśmy czekać na dalsze wytyczne.

– Niedaleko stąd jest szopa. Za gówniarza jeździłem tu z ojcem i dziadkiem na polowania. Dziadek uczył mnie strzelania, bo wierzył, że kiedyś mi się to przyda. Miał fioła na punkcie wybuchu trzeciej wojny światowej. Chciał być pewny, że zaciągnę się do wojska i robił wszystko, żeby mnie ku temu skłonić. – Przeskoczyłem przez strumyk i poczekałem na Błone. – I się zaciągnąłem. Byłem w żandarmerii w Warszawie przez trzy miesiące, do czasu śmierci dziadka.

Wyszliśmy na polanę. Ujrzałem przed sobą szopę w oplakanym stanie, z zapadniętym dachem i powybijanymi oknami. Spodziewałem się tego. Stąd widziałem ciemne plamy po kulkach z paintballu. Mogłem też odczytać napis: „Pieprzyć Polski rząd!” Szkoda, że graficiarza nie wyuczyła lepiej polonistka. Robiąc krok w zarośla, kopnąłem w pustą butelkę po taniej wódce.

– Szady, ja tu poczekam – oznajmił Błona. – Wolę zamarznąć niż umrzeć przygnieciony gruzem. Chcesz zobaczyć szopę, nie

ma problemu. Ale ja tu zostaję.

Przysiadł na pieńku. Przez chwilę patrzyłem, jak pociera nogi, ale w końcu ruszyłem do szopy. Skrywała dużo wspomnień. Nie doszedłem jednak daleko, bo zatrzymał mnie utwór *Bruises Unloco* z telefonu Błony.

– To grupa trzecia – stwierdził i odebrał na głośnomówiącym.

– Co jest?

– Podejrzany nam uciekł! Powtarzam, podejrzany uciekł!

Błona spojrzał na mnie ze ściągniętymi brwiami. Mi także nie chciało się dłużej biegać. Marzyłem o gorącej kąpieli.

– Podejrzany porzucił fanty i rower! – krzyczał dalej lider grupy trzeciej. – Porusza się piechotą. Jak na takie cielsko, skubaniec szybko biega! – Zatrzeszczało w słuchawce od jego sapania. – Cholera! Chyba go zgubiliśmy.

Miałem zamiar się odezwać, kiedy pociągnął watek:

– Nie! Jest, znalazłem go! Biegnie na wschód! Szady, Błona, podejrzany biegnie w waszą stronę! – I tyle, jeśli chodzi o nieużywanie nazwisk podczas łapanek.

– Czekamy w pogotowiu – odpowiedział Błona i zmarszczył nos.

– Jak przyjdzie nam walczyć, to zostaw to mi, jasne? Nie mam zamiaru jeszcze ciebie reanimować w... – nie dokończyłem, bo z lasu wybiegła czarna postać z latarką. – Cholera. Zostań tu.

Pobiegłem skulony do szopy, uważając na porozrzucane śmieci. Podejrzany zniknął mi z oczu. Przywarłem do ściany i

wstrzymałem oddech. Sprawdziłem, czy mam broń przy pasku, ale jeszcze jej nie wyciągnąłem. Odczekałem kilka sekund i najciszej jak umiałem – doszedłem do drzwi. Zajrzałem przez szparę. Niczego nie zauważyłem. Przykucnąłem.

Już chciałem powtórzyć czynność, gdy z wnętrza szopy usłyszałem ostre przekleństwa. Podejrzany tam był. Sięgnąłem do kabury, powoli wyciągnąłem walthera. Raz. Dwa...

Bruises wyrwało mnie z rytmu.

Zdażyłem sięgnąć do kieszeni kurtki, zanim zdałem sobie sprawę, że to nie ja narobiłem hałasu. Błona stał na rogu szopy i wylaczał dzwonek. Czemu wcześniej nie wyciszył telefonu?!

Zatrzeszczały drzwiczki.

– Błona, biegnij, z tamtej strony! Biegnij, już!!!

Schowałem walthera, gdyż pościgi z bronią w ręce za często kończyły się niekontrolowanym wystrzałem, i wbiegłem do szopy z włączoną latarką. Cudem ominąłem zwisającą z sufitu deskę. Mgła na polanie nie pomagała w gonitwie, była gęstsza niż wcześniej. Na szczęście podejrzany nie wyłączył swojej latarki. Pobiegłem za nim, nie oglądając się za Błoną, który spieprzył akcję.

Dobrze, że w genach otrzymałem wysoki wzrost. W podstawówce nie lubiłem być wysoki, za bardzo się wyróżniałem chudymi nogami, ale z czasem kompleks

zamieniłem w zaletę – wyrzeźbiłem mięśnie i nauczyłem się sprawnie biegać. Wbiegłem w las, przeskoczyłem przez strumyk, ominąłem powalone drzewa i obiegłem bagno, w które wpadł podejrzany. Kiedy taplał się w mierzwi, próbując z niej wyjść, zmniejszyłem dzielącą nas odległość.

– Buli, przestań uciekać! Już po wszystkim! Jesteś zatrzymany!

W momencie gdy odzyskiwał grunt pod nogami, zagroziłem mu drogę. Zamachnął się, ale się uchyliłem i uderzyłem go sierpowym w okolicę przepony. Buli walczył o oddech z szeroko otwartymi oczami. Sięgnąłem za pas po kajdanki, ale ich nie miałem – musiałem zostawić je w aucie. Błony też nigdzie nie widziałem.

Buli odzyskał oddech szybciej niż zakładałem. Rzucił się na mnie swoim cielskiem. Starąłem się wykorzystać jego własną siłę i przerzucić go za siebie, ale przez błoto na jego ubraniach – wyslizgnął mi się. Chwycił mnie w okolicy ud – trafiłem go łokciem w kark, ale i tak mnie przewrócił. Upadłem na plecy, wystający korzeń cisnął mi się pomiędzy łopatki. Buli usiadł okrakiem na moim brzuchu. Nie miałem czasu, żeby się nad sobą użalać. Zasłaniałem twarz przed pięściami, które uderzały w moje przedramiona jak młot pneumatyczny w asfalt.

Zamknąłem oczy i liczyłem. Znalazłem moment, w którym ciosy Buliego zwolniły. Wykorzystałem to i uderzyłem go dwa razy w nos. Coś chrupnęło, ale nie byłem pewien, czy to

przypadkiem nie moje kości. Po tych ciosach głowa Buliego odskoczyła, więc złapałem go w okolicy torsu i rzuciłem na bok. Zaczęliśmy się szarpać. Podejrzany ważył co najmniej sto dwadzieścia kilogramów – ciężko dyszał, ale uderzenia miał mocne. Wyczułem to, gdy walnął mnie w żebra.

Sprzedalem mu kolejne ciosy – tym razem w skroń, nie zważając na ból kostek u rąk. Trochę go ogłuszyłem, dzięki czemu zyskałem na czasie. Odwróciłem podejrzanego na bok i złapałem za gardło. Zastosowałem dźwignię. Tłuścioch – mimo że blokowałem mu dostęp do tlenu – zaczął się miotać. Trafiał mnie łokciami, gdzie popadnie.

– Dobra, Szady, puść go! – krzyknął Błona z pistoletem przygotowanym do strzału. – Szady! Mamy go! Szady, bo go udusisz!

Poluzowałem ucisk. Podejrzany zachłysnął się powietrzem. Wiedziałem, że z duszeniem trzeba uważać, jednak nie mogłem przestać. To był naprawdę długi i ciężki dzień.

Błona podał mi kajdanki, skułem Buliemu ręce za plecami. Dla jego bezpieczeństwa, nie swojego.

– Gdzieś ty był, do cholery?!

– Wypieprzyłem się przy strumyku i straciłem orientację. Nie biegam tak jak ty. – Błona zadzwonił do dyżurnego na głośnomówiącym. – Koniec akcji, zatrzymaliśmy podejrzanego.

Dźwignąłem się z klęczek, aby otrzepać się z trawy, błota i piasku. Część bardziej rozmazywałem po spodniach.

- Przekażcie podejrzanego najbliższej grupie i udajcie się na miejsce zdarzenia do Szelewa – odpowiedział dyżurny. -
Oddzwońcie z samochodu.

WYNIK ZERO

Krew?

Pihon stawiał na bezduszny minimalizm. Białe kafelki i szare sufity lepiej wyglądały obryzgane brunatną cieczą. Otaksowałem halę z progu. W chwili gdy zakładałem obuwie ochronne, Błona gdzieś się ulotnił. Postanowiłem samemu wejść do środka.

Fortuna klęczał przy ogromnej plamie, która na pierwszy rzut oka przypominała zasychającą krew. Wokół niego – z aparatem w ręku skakał Suchy, jego uczeń i świeży absolwent szkoły kryminalnej w Poznaniu. Co naciśnięcie spustu migawki strzelał fleszem.

Przystanąłem obok Fortuny. Z rękoma w kieszeniach przyglądałem się ponad trzymetrowej plamie krwi. Już na pierwszy rzut podejrzewałem, że ktokolwiek w niej leżał – czołgał się w stronę wyjścia. Wśród tych śladów rozróżniłem niewyraźne odciski dłoni i palców.

– Ktoś musiał nieźle oberwać, wykluczyłbym samobójstwo. – Fortuna wstał i obejrzał się za siebie. Na maszynie do wyciskania owoców leżał test OBTI. – Jak dobrze widzisz, nie ma szans na to, żeby osoba podcięła sobie żyły, później próbowała się ratować, a następnie, jeśli zemdląca tutaj – pokazał na drugą, szerszą kałużę krwi – po prostu

wyparowała. Poza tym te niewyraźne ślady odcisków dłoni są podejrzane. – Fortuna podszedł bliżej mnie. – W tym miejscu leżą włosy – zauważył. – Nie wydaje mi się, że ofiara sama to sobie zrobiła. – Złapał za pasek do sprawdzania krwi i skierował go w moją stronę: wykazywał dwie kreski. – Krew, jak widzisz, jest ludzka. Zaraz pobiorę próbkę, jak tylko Suchy skończy robić zdjęcia.

– A co z tymi plamami? – Pokazałem ochraniaczami na butach na miejsce, w którym widniała rozmazana krew.

– Wygląda na to, że ktoś próbował ją zetrzeć. Przynajmniej taka mogłaby być jedna z wersji wydarzeń, ale więcej powiem po szczegółowych analizach. Dobrze wiesz, jak to działa.

Suchy właśnie przykładał do rozbryzgów miarki centymetrowe, wyciągnął też kilka metryczek śladowych i dalej fotografował plamy.

– Tylko uważaj, żebyś mi niczego nie spieprzył! – upomniał go Fortuna.

Suchy tylko pokiwał ręką.

– Dobra, Fortuna, ale musisz mi dać cokolwiek. Cokolwiek, człowieku – powiedziałem. – Kogo szukam? Kobiety? Mężczyzny? Jakieś podpowiedzi? – Obszedłem brunatną plamę, wypatrując śladów ciągnięcia, ale nic takiego nie znalazłem. Przykucnąłem. Metaliczny zapach się nasilił. – No, daj mi coś, człowieku. Widzę, że wygląda to źle, plama krwi jest pokaźna, nie sędzę, żeby ktoś to przeżył, mam rację?

– Denerwujesz mnie. – Fortuna schylił się przy kępkach włosów zanurzonych we krwi. – Daj mi chwilę. Zobaczę, co da się zrobić, jasne? Idź, przesłuchaj świadka. Albo pokręć się jak reszta policjantów. Poszukaj ciała. Zrób coś pożytecznego, niech naczelnik będzie z ciebie dumny.

Przeszedłem się wewnątrz hali. Doszedłem do drzwi ewakuacyjnych i zjazdu do piwnicy, który kończył się metalową bramą. Na nich widniała naklejka ostrzegająca przed promieniowaniem, a po lewej stronie wisiał czarny czytnik na karty. Wiedziałem, że samodzielnie się tam nie dostanę, więc cofnąłem się do Fortuny. Po drodze zauważyłem białoczerwone taśmy przyklejone do framug otwartych bram wjazdowych z hali obok.

Przyglądałem się pracy techników i doszedłem do wniosku, że bez ciała nie mamy żadnej sprawy. Niby krwi było dużo, ale żaden prokurator nie postanowi wszcząć śledztwa bez nieboszczyka. Nawet taki prokurator pokroju Broczka, z którym najczęściej pracowałem.

– Szady, wyjdź stąd – mruknął Fortuna, który wyjmował pęsetą włosy. – Zadzwoń, jak będę coś wiedział. Naprawdę, gościu: idź przepytac świadków, zrób swoją robotę.

Wzruszyłem ramionami. Na razie świadomość, że krew należała do człowieka, musiała mi wystarczyć. Wyszedłem z hali. Przy ogrodzeniu stał Błona w towarzystwie trzech osób. Wydawało mi się, że rozmawia z dyrekcją. Kojarzyłem tę

czarnowłosa, choć nie pamiętałem jej nazwiska. Brała udział w biegu o Puchar Komendanta w Rzucewie.

Zamierzałem do nich podejść, ale na metalowych schodach ewakuacyjnych spostrzegłem kogoś bardziej interesującego.

Poszedłem wzdłuż ściany po wydeptanej ścieżce, aż dotarłem do Zdzicha Zabiegłego, poprzednika Fortuny, technika kryminalistyki, który jeszcze pracował w policji, jak mnie przydzielono do komendy w Pucku. Uśmiechnąłem się i podałem mu rękę.

– No, no, no, panie Zabiegły – powiedziałem. – Słyszałem, że pracujesz w ochronie, ale nie wiedziałem, że dałeś się przekonać do tego miejsca. To ten wystrój wewnątrz, czy szyld z brokułem na chłodni ciebie do tego skłonił?

Zdzichu wyjął czerwone lucky strike i skierował paczkę w moją stronę, odmówiłem. Po półrocznej przerwie ciągnęło mnie do palenia – szczególnie gdy dym papierosowy poleciał z wiatrem na moją twarz.

– Zacząłem w ochronie, bo to miała być nudna robota za średnie pieniądze – odpowiedział Zdzichu z fajką między zębami. – Ale za mną się wszystko ciągnie. A ty co? Nie masz co robić, że do mnie przyszedłeś?

– Można tak powiedzieć. – Podciągnąłem się na pręcie, by rozciągnąć obolałe nogi. – Powiesz mi, co powinienem wiedzieć? Może być długa historia.

Obok nas przeszło dwóch policjantów w mundurach. Świecili latarkami w trawę.

– Miałem zmianę z Wioletą Misztalewską i tym nowym, chyba Mateuszem, czy Mariuszem. – Zdzichu zmarszczył czoło. – Nie wiem, jak on się nazywa. Nie mam takiej dobrej pamięci do wszystkiego jak ty. – Na tę uwagę się uśmiechnąłem. – Wioleta poszła na standardowy obchód koło pierwszej w nocy. Stwierdziła, że musi wejść po coś do technicznych i nie wzięła ze sobą nowego. Po około trzydziestu minutach zadzwoniła do mnie, płacząc i bełkocząc. Powtarzała w kółko: budynek o-dwa, budynek o-dwa. Zostawiłem więc nowego, by sprawdzić o co chodzi. – Skupił wzrok na żarze papierosa. – Znalazłem ją skuloną przy ścianie. Płakała. Jak podszedłem bliżej, wskazała palcem na halę. Wszedłem, bo spodziewałem się tam zobaczyć trupa, lub stado trupów. Zamiast tego znalazłem krew. Okazało się, że Wioleta słabnie na widok krwi. – Wybałuszył oczy i wydał wargę. – Po wejściu na halę zapaliłem światło, sprawdziłem najbliższy teren, a później was zawiadomiłem. Nie szwendałem się, aby nie zdeptać śladów.

– Nie sądziłeś, że gdzieś tam dalej leży konający człowiek?

– Widziałeś, ile tam jest krwi? Większość życia poświęciłem policji, byłem jednym z najlepszych techników w naszym województwie. Na oko widzę, że ta kałuża to co najmniej cztery litry. Jeśli ta krew należy do jednego człowieka, to szukacie trupa.

Przez okna obserwowałem techników w białych kombinezonach i czerwonych ochraniaczach na butach,

kładających na podłodze hali numerki. Utrwalali to zdjęciami.

Suchy coś na nich krzyczał i machał przy tym dynamicznie rękoma.

– A co z rejestrem pracowników? – Pacnąłem dłonią w kark, żeby zabić komara. Skurczybyki szybko wybudziły się w tym roku.

– Mamy rejestr pracowników. – Zdzichu zgasił papieros o podeszwę buta, następnie zawinał go w chusteczkę, którą chwilę później schował do kieszeni.

– Więc?

– Z Zakrzewskim sprawdziliśmy stan przed twoim przyjazdem – odpowiedział, wstając ze schodów. – Na szczęście jest przestój technologiczny, więc pracowników nie było dużo. Policzyliśmy kilka razy. Nikogo nie brakuje. Właśnie w tym jest problem. Ktokolwiek tam się wykrwawił, nie widnieje w naszym systemie, ani w systemie ochrony od strony budowy.

– Pięknie – skwitowałem. – Po prostu pięknie.

Przetarłem oczy, co jedynie pogłębiło szczypanie. Dotarło do mnie, że spędzę tutaj kilka długich godzin, a już nie spałem od dwudziestu dwóch. Pieprzone życie w policji. Dlaczego zdecydowałem się w niej pracować?

Żaby odpowiedziały mi rechetem.

HALA

– Powiedziałem, że nie zamykamy terenu – mówił Błona. – Proszę robić to, co dotychczas, my będziemy się tu tylko rozglądać. Jeśli nie znajdziemy ciała, nie ma tematu.

Kiwnąłem głową do zebranych osób. Oprócz dyrektor Ciesińskiej, której nazwisko przypomniało mi się po ujrzeniu jej twarzy, stał tam prezes Ezman, czarnowłosy mężczyzna w garniturze droższym od mojej miesięcznej wypłaty, oraz kierowniczką produkcji, Zielińska. Przynajmniej tak przedstawił mi ich Zabiegły, żebym oszczędził sobie zbędnych pytań. Moją szczególną uwagę przykuła Zielińska, nie z powodu pociągłych rysów twarzy – czy śniadej karnacji przypominającej mi o mojej byłej – a przez swoje zachowanie. Trzęsła nogą i unikała kontaktu wzrokowego.

– Czyli nie przeszkadzicie nam w przerwie technologicznej? – zapytał Ezman. – Musimy naprawić maszyny, zmodernizować trzydziestą linię i naprawić transporter przesuwający palety na hali naświetlania. Gonia nas terminy, a dopiero co podpisaliśmy umowę z Rosją. Nie chcielibyśmy tego stracić.

Oparłem się o płot, nie przyciągając ich uwagi. Błona dalej tłumaczył im zasady naszego działania i poprosił o kredyt zaufania. Żałowałem, że najwyższe głowy Pihona nie

rozumiały powagi sytuacji, w końcu na ich hali znaleziono kałużę ludzkiej krwi.

– Na halę o-dwa nikt nie ma teraz wstępu, proszę nie przeszkadzać technikom w pracy, ponieważ możecie zanieczyścić ważne dowody. Nie wolno państwu tam wchodzić, aż do zakończenia czynności.

Dyrektor coś odpowiedziała, ale już nie słuchałem. Przeszedłem się asfaltem wzdłuż płotu odgradzającego zakład od pól. Mgła w tym miejscu żyła swoim życiem. Zza jej wysokich pasm wyłaniały się skrzydła wiatraków, a na ich grzbietach rozbłyskiwały się czerwone światełka. Zapach trocin roznosił się po polach i wciąż był intensywny, chociaż tartak stał dwa kilometry od Pihona.

Szukałem śladów. Po drodze naliczyłem cztery punkty kontrolne, które służyły do monitorowania obchodów ochroniarzy. Przyklejono je na słupkach ocynkowanych. Sprawdziłem, czy przypadkiem nie da się ich zdjąć, ale mocno trzymały. Zanotowałem w pamięci, aby się dowiedzieć, ile razy w nocy chodzą tą drogą.

Ogniska płotu były nienaruszone, ale na wprost drzwi od hali o-dwa zauważyłem wygięcia i odpryski farby. Przyjrzałem się lampom masztowym – żadnych kamer.

Niedobrze. Teren otwarty, niechroniony wizyjnie. Z doświadczenia wiedziałem, że obchody wykonuje się co dwie-trzy godziny. Jeśli w tej firmie też tak robiono, to morderca miał sporo czasu na pozbycie się ciała. Syknałem.

Zawróciłem do Błony i elity Pihona.

– Dlaczego w tym miejscu nie ma kamer? – zwróciłem się do Ciesińskiej, która wykrzywiła usta i uniosła brew.

– To teren budowy. Nie widzieliśmy potrzeby instalowania kamer. Zbyt łatwo by było o ich uszkodzenie.

– Na hali również brakuje kamer?

– Tak – szepnęła. – Nikt z nas nie mógł przewidzieć, że dojdzie tutaj do morderstwa. – Spojrzała na Błone. – Domniemanego morderstwa, sierżancie Szadurski. To spokojna okolica.

Podrapałem swędzący kark. Pieprzony komar. Kątem oka ujrzałem Zielińską. Wpatrywała się we mnie bez ruchu. Tym razem nie uciekła pierwsza wzrokiem.

– A nie odnotowaliście kradzieży? – drażyłem temat.

– Nie robiliśmy inwentaryzacji od początku roku – odpowiedziała Ciesińska. – Mogę zlecić przeliczenie towaru, ale to trochę potrwa. Pewnie kilka dni.

– Rozumiem. A może mi pani powiedzieć, co się kryje za bramą w podziemiach na hali o-dwa? Albo najlepiej powiedzieć mi, jak mam się tam dostać?

– Mogę pana tam zaprowadzić, o ile pan sobie życzy. Na miejscu mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania.

– Jak wrócisz, przepytamy świadka pierwszego na miejscu zdarzenia – dopowiedział Błona, ale odmachalem mu tylko ręką. To mogło poczekać.

Przed wejściem na halę poprosiłem Ciesińską, aby założyła obuwie ochronne i czepek na głowę, żeby nie zanieczyścić miejsca, choć wątpiłem, że to coś da. Na hali o-dwa było mnóstwo różnych śladów, budowlańców, ciekawskich pracowników i innych niepowołanych osób trzecich. Zaprowadziła mnie pod bramę i przyłożyła kartę do czytnika. Po zamruganiu diod na zielono brama się uniosła i przed nami rozciągnęła się ciemność. Ciesińska pstryknęła włącznik, przechodząc bardzo blisko mnie. Ledwo powstrzymałem kichnięcie od jej słodkich perfum.

Moim oczom ukazała się hala podobna do tej na parterze, różnica była taka, że oddzielono ją trzymetrowym płotem w połowie. Zdążyłem zauważyć, że z tej strony stawiano palety na transporter, a linia z drugiej strony przenosiła je dalej, najpewniej do chłodni. Mimo że się rozglądałem i kazałem Ciesińskiej iść za sobą, nie znalazłem żadnych śladów krwi.

– Co to za miejsce? – zapytałem z ciekawości.

– Naświetlamy tu żywność, dzięki czemu pozbywamy się zanieczyszczeń mikrobiologicznych i przedłużamy datę ważności owoców i niektórych warzyw.

– Ale produkujecie mrożoną żywność... – Zmarszczyłem czoło. – Po co to?

– Nie wiem, czy się pan z tym spotkał, ale odmrożone truskawki innych firm zamieniają się w papkę. Dla nas ważne jest, żeby jakość żywności była na najwyższym poziomie, nie chcemy sprzedawać ludziom śmieci.

– Ale czy promieniowanie nie jest niebezpieczne?

– Podajemy bezpieczną dawkę, minimalną, która nie zagraża ludziom. To nie Czarnobyl, panie Szadurski. W tym miejscu staramy się o najwyższej jakości produkty, które są w pełni bezpieczne. Oczywiście oznaczamy je odpowiednio i informujemy konsumentów o naświetlaniu. Niczego nie staramy się ukrywać, tym bardziej, że jesteśmy jedną z dwóch takich firm na terenie Polski. Druga, pod Warszawą, zajmuje się napromieniowywaniem przypraw.

Przejechałem ręką po zgolonej głowie. Chociaż temperatura w tym pomieszczeniu zdawała się podwyższona, zrobiło mi się zimno. Senność dawała się we znaki.

– Więc tędy wjeżdża paleta? – dopytałem; nie mogłem się oprzeć. Nigdy nie słyszałem o czymś takim, ale prawda była taka, że rzadko przygotowywałem samodzielnie posiłki i jadałem w domu.

– Panie Szadurski, tędy wjeżdża kontener załadowany żywnością na paletach. Czasami są to kartony, czasami tylko skrzynki. – Pokazała palcem na transporter. – Później na panelu, przy którym pan stoi, ustawiamy dawkę i czas naświetlania. Na przykład dla truskawek wynosi on sześć minut, na dawce dwóch grejów, dzięki czemu żywność już wstępnie zamrożona i zapakowana do kartonów zachowa znacznie dłuższą świeżość, a my zaoszczędzimy pieniądze nie tylko na utylizacji. Częściej napromieniowujemy żywność w opakowaniach, żeby zapobiec przypadkowemu skażeniu. I

naprawdę – uśmiechnęła się – jesteśmy bezpieczną firmą. Nie robimy niczego, co mogłoby zaszkodzić ludzkiemu życiu. – Puściła mi oczko, poczułem się jak boski żigolo. – Po odpowiednim czasie naświetlania kontener wyjeżdża z drugiej strony, maszyna wyjmuje paletę i kładzie ją na podłogowej taśmie. A ta prowadzi ją do mroźni we wcześniej zaprogramowane miejsce, bądź cofa na produkcję w celu dalszej obróbki.

Chciałem wtrącić, że aż tak bezpieczni nie byli, skoro na hali wyżej znaleźliśmy krew, ale zrezygnowałem. Z przyzwyczajenia sprawdziłem telefon; brakowało tutaj zasięgu.

– Czy możemy sprawdzić, czy ta linia była używana dzisiejszej nocy?

– Możemy. – Ciesińska podeszła do panelu i uruchomiła go. Na ekranie ujrzałem parametry podobne do tych, o których mówiła wcześniej. – Ostatnio promieniowaliśmy ziemniaki, panie Szadurski. Tutaj dawka jest mniejsza od truskawek, bo robimy to dlatego, żeby nie kiełkowały. – Nie pytałem, czy pokrojone na plasterki ziemniaki też potrafią kiełkować, nie chciałem się zbłąźnić. – Proszę bardzo. – Wskazała palcem daty, obok których ciągnęły się dawki, czas naświetlania oraz nazwisko, domyśliłem się, że należące do operatora. – Ostatni raz używaliśmy naświetlania dwudziestego kwietnia, czyli przed rozpoczęciem przestoju technologicznego. Ostatnia zmiana, nocna, naświetlała ziemniaki. Nic więcej tu nie ma.

Przyjrzałem się historii, nie miałem się do czego przyczepić, zatem odpuściłem. Zastanawiałem się, czy nasz informatyk policyjny nie będzie chciał do tego zajrzeć, żeby sprawdzić wersję Ciesińskiej.

– Kto ma dostęp do tej hali?

– Wyłącznie operatorzy maszyny oraz operatorzy sztaplerek, którzy są aktualnie na zmianie. Nie wpuszczamy tutaj nieupoważnionych ludzi, panie Szadurski. Napromieniowywanie może być niebezpieczne w przypadkowych rękach, więc nie dopuszczamy do niego osób trzecich. Zresztą to bardzo droga inwestycja, która zwraca się po latach. Wydaliśmy na tę halę grube miliony, nie mogę pozwolić, żeby jakiś Ukrainiec mi ją zepsuł. Francuzi siedzą nad naszymi głowami, chcą wyników.

Pokiwałem głową, tyle rozumiałem i cieszyłem się, że mało osób ma dostęp do tego miejsca. Poza tym czy to policja, czy firma prywatna – i tak liczyły się statystyki, to też umiałem zrozumieć.

– A dział techniczny?

– Mamy wyspecjalizowany zespół do ewentualnych napraw maszyn, ale w czasie przestoju linią zajmuje się firma zewnętrzna. Pracują w porannych godzinach, nie mam pojęcia, czy ta maszyna działa.

– Mogę namiar na tę firmę? Jeśli można, chciałbym, aby moi ludzie z nimi porozmawiali.

– Oczywiście, podam panu, jak tylko stąd wyjdziemy. Zadzwoń do inżyniera, który ich koordynuje.

– Pani Ciesińska, czy w zakładzie pracuje dużo ludzi?

– Ponad czterysta osób na dobę w okresie produkcji. W czasie przestoju skład ogranicza się do działu technicznego, ochrony, ewentualnie myjki lub dziewczyn z działu jakości, które pilnują poziomu czystości na halach. Musiałby pan zapytać ochronę o listę.

– Już to sprawdzaliśmy, dziękuję. Czy w jakiś sposób możemy zablokować bramę wjazdową na halę naświetlania, żeby się nie zamykała? Chciałbym, żeby technicy przyjrzeni się temu miejscu.

– Cze... – przerwała. – Czemu? Chce pan sprawdzić całą halę?

– Oczywiście, to miejsce jest bardzo blisko miejsca zdarzenia. Co prawda nie wiemy, co tam się stało, czy jest ciało i gdzie je wyniesiono, ale nie możemy odrzucić żadnej ewentualności. – Rzuciły mi się w oczy kontenery stojące po drugiej stronie. – Po co ta siatka? – Złapałem za krzemowe ogniwa, żeby sprawdzić stabilność ogrodzenia. Mocno trzymało.

– Zapobiegamy powtórnemu napromieniowywaniu żywności.

– Zdarzało się coś takiego?

– Nie. Nie odnotowaliśmy takich wybryków – powiedziała, spoglądając na kontener z dziesiątką przybitą do blachy. – Jednak wolimy dmuchać na zimne. Tak naprawdę instytuty odpowiedzialne za sprawdzanie żywności nie mogą określić

dawki, jaką napromieniowało się żywność, więc za wszelką cenę chcemy uniknąć sytuacji, w których ktoś będzie rzucał w naszą stronę oskarżenia. Wie pan, każdy kombinuje jak może i chce zdobyć łatwą forszę. Zabezpieczamy się przed tym, dlatego w tym miejscu jest więcej kamer niż na zewnątrz. Nie chcemy szkodzić konsumentom, bo to nie sprzyja biznesowi.

Opuściliśmy halę naświetlania i przy drzwiach ewakuacyjnych przypomniało mi się jeszcze jedno pytanie:

– Pani Ciesińska, proszę mi powiedzieć, czy korzystacie z hali o-dwa? Widzę tam taśmy naklejone na bramy, ale widzę też, że po jednej stronie ciągnie się linia produkcyjna. Czy ten teren jest odcięty?

– Niezupełnie. – Skrzyżowała ręce na klatce piersiowej. – Przed rozpoczęciem przestoju technologicznego prowadziliśmy testy tej linii, trwały jedną dobę, na dobre nam to nie wyszło. Maszyny nie były poprawnie skalibrowane, taśmy się zacinały, niektóre jechały zbyt szybko, piece nie dogrzewały odpowiedniej temperatury, frostery nie chciały mrozić. Wie pan, pierwsze koty za płoty, chociaż w tym przypadku kosztuje nas to grube tysiące. – Westchnęła. – Ta hala ma służyć przede wszystkim nowym produktom, które ściągamy z zagranicy. Nie mogę jeszcze o nich rozmawiać, obowiązuje mnie tajemnica, ale mogę powiedzieć, że jak nam się uda, będzie to prawdziwa bomba na polskim rynku.

– Czyli od tamtej próby żaden z pracowników Pihona tutaj nie przebywał?

– Nie, tylko firmy zewnętrzne odpowiedzialne za ten sprzęt, ewentualnie technicy, którzy będą opiekunami tej hali. Dopiero po przestoju zamierzamy ruszyć z kolejnymi próbami. Czyli w okolicach dziesiątego maja.

– Skoro nie korzystacie z tych linii, dlaczego używacie tej hali naświetlania?

– Jest nowocześniejsza. Poza tym z powodu dwóch basenów ładowanych po cztery kontenery jesteśmy w stanie wykonać znacznie więcej naświetlania produktów w tym samym czasie. Na starej hali możemy wykonać naświetlanie jedynie trzech kontenerów jednocześnie.

– OK, w takim razie rozumiem. A czy pracownicy na sztaplarkach przejeżdżają przez tę halę? – Wskazałem w kierunku Fortuny i Suchego.

– Niekoniecznie, hale pakowania są ze sobą połączone, dzięki czemu łatwo o dostęp do dolnego poziomu. Wykonaliśmy w tym celu zjazdy z dwóch stron, tak że operatorzy sztaplarek nie powinni zagłębiać się na tę halę.

Podziękowałem jej za pomoc i wziąłem od niej numer telefonu. Poprosiłem ją również o dostęp do kamer, zgodziła się je udostępnić. Cieszyłem się, współpraca z tą firmą szła w dobrym kierunku.

Odprowadziłem ją na zewnątrz. Następnie poszedłem do Błony, aby porozmawiać ze świadkiem.

MUZYKA GRA W TLE

Wioleta Misztalewska według dokumentów tożsamości miała dwadzieścia trzy lata, chociaż przypominała dojrzewającą trzydziestkę. Na zdjęciu z legitymacji ochroniarza wyglądała o wiele lepiej, a to pewnie dlatego, że podkreśliła tam swoją latynoską urodę i ukryła zbędne kilogramy poza kadrem. Dzisiaj makijaż jej spływał, a białą koszulę zastępowało czarne ubranie tuszujące kształty. Siedziała na tylnej kanapie radiowozu z traperami postawionymi na asfalcie. Obróciła w dłoniach chusteczkę i przetarła nos. W świetle latarni błysnął brokat na jej tipsach.

Skorzystałem z chwili, by wciągnąć tabakę. O ile się orientowałem, w zakładowej oczyszczalni, obok której przebywaliśmy, spływały chemiczne substancje używane podczas mycia hal. Więc dlaczego wydawało mi się, że zamknięto mnie w wychodku? Tabaka minimalnie zniwelowała ten smród.

– Opowiedz nam wszystko ze szczegółami. – Błona położył łokieć na dachu radiowozu. Palił papierosa.

– Już mówiłam innemu policjantowi.

– Musisz nam powiedzieć jeszcze raz. – Przykucnąłem przed nią w poszukiwaniu kontaktu wzrokowego. Nic z tego. – Wiem, że jesteś zmęczona i możesz być w szoku, ale to ważne, abys

teraz z nami porozmawiała. Zaraz po tym kolega odwiezie cię do domu.

– Jeszcze nie zakończyłam służby. – Zerknęła na zegarek na nadgarstku, widniał na nim napis „Now is a good time”.

– W tej sytuacji to nie ma znaczenia. Policja i tak będzie na miejscu przez kilkanaście godzin. Zadzwonimy do twojego przełożonego, wyjaśnimy mu wszystko.

Pokiwała głową, pociągając nosem. Zerknąłem na Błone, który przewrócił oczami i podszedł do bagażnika. Wyciągnął małą wodę niegazowaną i podał Wiolecie.

Napiła się łapczywie, aż ściekło jej po brodzie.

– Szłam na standardowy obchód. Czas obejścia tego terenu zajmuje około trzydziestu minut. To duży zakład, a my musimy obejść ściany, płoty i dobudowane magazyny. – Westchnęła. – Wszystko było w porządku. Zapowiadała się spokojna noc.

– O której to było godzinie? – dopytałem.

– Koło pierwszej wyszłam na obchód. Nie wiem dokładnie, nie pamiętam co do minuty, ale na komputerze powinna być dokładna godzina. Zawsze zapisujemy pierwszą informację podczas wyjścia, szczegóły dopisujemy po powrocie. – Gniotła butelkę w palcach. – Kiedy wyszłam zza zakrętu, wszystko było w porządku. Sprawdziłam pierwsze drzwi, odbiłam punkt i poszłam dalej. O drugiej w nocy jest tutaj ciemno, nawet oświetlenie nie pomaga. Po podejściu do drugich drzwi, tych od hali o-dwa, pociągnęłam za klamkę i drzwi się otworzyły. A

nie powinny. Z początku nie chciałam wchodzić do środka, tylko zadzwonić do technicznego, aby się przeszedł i je zamknąć. Ale... coś mnie tknęło. Wszedłam.

Przymknąłem oko na jej pomyłkę językową, choć mimowolnie przypomniła mi się siostra. Karolina nie przepuściłaby nikomu.

– Co cię tknęło?

– Zauważyłam dziwną plamę na podłodze, zaraz przy drzwiach. Wszedłam do środka, ale zrobiłam tylko jeden krok. Było tam ciemno i strasznie śmierdziało. – Przetarła czoło dłonią. – Wiecie panowie, jak pachnie krew? Wydaje mi się, że wydziela bardzo metaliczny zapach, jakbym wachała zardzewiałą blachę. Z tym mi się to skojarzyło. Niemal natychmiast zadzwoniłam do Zdzisia. Poradził mi, żebym na niego zaczekała. Chyba... – Błądziła wzrokiem po pęknięciach w asfalcie. – Niezbyt pamiętam, bo złapał mnie atak paniki. Strasznie boję się krwi. Mdli mnie na jej widok. Czasem mdleję.

Upiła wody. W tym czasie podniosłem się z kucek, aż strzeliło mi w kolanach. Starość nie radość, powiadają.

– Wszędzie było pełno krwi – kontynuowała. – Mnóstwo krwi. W życiu nie widziałam jej tyle... – Przetarła palcem skórę pod okiem i rozmasowała bardziej tusz do rzęs. – Zdzichu kazał mi zostać na miejscu. Gdy przyszedł, wezwał policję.

– Czyli dotykałaś tylko klamki?

Skinęła głową.

– A nie zauważyłaś niczego podejrzanego? Nie widziałaś nikogo przeskakującego przez płot? Nie słyszałaś krzyku? Trzasku drzwiami? Może słyszałaś jakieś kroki? Szelest trawy...? – Po ostatnim pytaniu przyszło mi na myśl, że przesadzam.

– Nie. – Spojrzała w kierunku, gdzie niedawno stała elita Pihona. Potem przerwiała wzrok na mnie. Widziałem jej zaczerwienione i szkliste oczy. – Proszę tego nikomu nie mówić, ale miałam słuchawki w uszach. To niezgodne z regulaminem i mogą mnie za to wyrzucić z pracy. Po prostu pracuję tutaj już pięć lat i z przyzwyczajenia wiem, że nic się nie dzieje na tym obiekcie... – Odchrząknęła. – Nie działa. Zawsze idziemy skrótami, przez trawę, i boję się, że na coś nadepnę albo się o coś przewrócę, więc patrzę pod nogi. A muzyki słucham głośno. Zwyczajowo o tej porze i tak nikogo tutaj nie ma. Proszę... – Znowu pociągnęła nosem, chyba starała się nie płakać. – Proszę tego nikomu nie mówić. Z tej pensji udaje mi się studiować. To dobra praca. Jest blisko, jest zmianowa, ustawiamy sobie grafik według własnych potrzeb. Proszę. Nie chcę zostać zwolniona...

– Zachowamy to dla siebie – włączył się Błona. – A czy będąc w środku, wciąż miała pani słuchawki na uszach?

– Do czasu wykonania telefonu. Nie wiem przez ile czasu. Bardzo mi przykro, ale nic nie słyszałam i nikogo nie widziałam. Ani na zewnątrz, ani w środku. – Kopnęła w

kamień. – Przepraszam. Nawet nie powinno mnie tu być. Kazali mi przyjść do pracy.

– A czy podczas obchodu zachodziła pani w jakieś nietypowe miejsca? Rozmawiała z kimś pani? – spytałem, nawet nie wiedziałem po co.

– Nie. Czas przejścia obchodu musi być mniej więcej taki sam. Nasz kierownik potrafi zadzwonić nawet w nocy, jeśli coś się nie zgadza.

– Dobrze. – Pstryknąłem palcami. – Teraz nasz kolega się panią zajmie.

Odszedłem, bo nie mogłem dłużej wytrzymać tego smrodu z oczyszczalni.

Po ominięciu metalowych schodów przeciwpożarowych zadzwonił Fortuna. Poinformował mnie, że krew należy do kobiety, tak samo jak włosy. Rude, naturalne. Tylko tyle mógł mi powiedzieć bez specjalistycznych badań z Gdańska. Byłem mu wdzięczny i przesłałem to Zakrzewskiemu. Woląłem jemu zostawić odkrycie tożsamości poszukiwanej – wczoraj wrócił z urlopu, miał więcej krzepy niż ja...

I wcale mu nie zazdrościłem, gdy zadzwonił do mnie godzinę później, że zidentyfikował kobietę, której krew zalała halę. Nazywała się Natalia Nyżyńska i pracowała w firmie jako brygadzistka.

TRZECI

– Co ile chodzicie na obchód?

Udało mi się dorwać Zabiegłego na palarni przy dyżurce.

Błona w tym czasie leżał w brawie i odsypiał. Zazwyczaj tak robiliśmy, gdy zapowiadały się długie nadgodziny.

– Czasem co dwie godziny, czasem co dwie i pół. Niekiedy odpuszczamy obchody, zwalając na pogodę – odpowiedział Zabiegły. – Nie naciskają na nas mocno. Niby to sprawdzają, ale od kiedy zmieniła się firma ochroniarska, dostaliśmy więcej luzu.

– A tej nocy? Co jaki czas byliście na obchodzie?

– Nie pamiętam dokładnie. Najpierw coś koło dwudziestej, potem koło jedenastej i wtedy koło pierwszej. – Zaciągnął się fajką aż do filtra. Ugasił ją w popielniczce i od razu sięgnął po następną. Wysunął do mnie paczkę, ale dzielnie odmówiłem. – Jeżeli chcesz dokładne godziny, to po spaleniu sprawdzę w elektronicznej książce służby.

– Będę wdzięczny. – Podrapałem się w ugryzienie po komarze. – Powiedz czemu Wioleta powiedziała mi, że wasz kierownik sprawdza wasze obchody?

– Sprawdza, ale jest z Gdańska czy innego zadupia, a tam pogoda bywa inna.

– Rozumiem. Standardowo macie służby w dwie osoby?

– Tak. W dzień para mieszana, między innymi z powodu lepszego wizerunku. Według nich kobiety są bardziej komunikatywne i mają wycucie. Natomiast w nocy siedzi dwóch facetów.

– Zanim zajrzemy do książki, powiedz mi jeszcze: to co Misztalewska robiła na służbie, skoro w nocy mają siedzieć faceci?

– Nagle się zamieniła. – Ruszył w kierunku dyżurki. – Poprosiła o dodatkową służbę, ale nie podała mi powodu. Musiałbyś się zapytać Janusza Grunholza, bo z nim załatwiała zamianę. Podam ci namiary na niego. – Podyktował numer, zapisałem go w telefonie. – Siedzimy w dwójkę ze względu na centralę przeciwpożarową na dyżurce. Dyrekcja ma szaf na punkcie bezpieczeństwa. Jak widać, to bezpieczeństwo mija się z prawdą.

– No, kamer na tyle zakładu nie ma.

– Bo są idiotami. Goście, którzy do nas przyjeżdżają, żartują sobie, że do NASA szybciej się włamać niż do Pihona. Ale ludzie z zewnątrz nie wiedzą, że to tylko pozory.

– Dlaczego?

– Połowa kamer nie działa. – Wzruszył ramionami, kończąc drugiego papierosa. Zdażyłem już zapomnieć, jak Zabiegły szybko pali. Powolny i skrupulatny w pracy, błyskawiczny i niechłujny na przerwie. – W maju, w zeszłym roku, w czasie burzy piorun walnął w radary wojskowe, które są niedaleko nas i coś się spaliło. Padły te lepsze kamery, optyczne.

Niestety nie dało się systemu reanimować, albo dyrekcja Pihona po prostu olała sprawę. Teraz działają tylko nowe kamery, czyli domówki. Nawet jeśli coś na nich zauważycie, to piksele.

– Taka firma i nie posiada kamer z optycznym zoomem? – Wyjrzałem z palarni na kamerę. – Faktycznie wygląda na taniochę. To w ogóle działa?

– Działa, ale nie odczytasz nawet numerów rejestracyjnych. Próbowaliśmy raz znaleźć samochód, który stuknął auto pracownika z laboratorium. Nic z tego.

– Mają podczerwień?

– Mają, ale jakość jeszcze gorsza niż w dzień.

– A te na produkcji?

– To samo – odpowiedział Zabiegły, zerkając na zegarek. Było po siódmej, jego zmiennicy zaczęli pracę.

– Ile już tutaj pracujesz, Zdzichu?

– Prawie cztery lata. Miałem zamiar się zwolnić w przyszłym miesiącu, bo syn znalazł dla mnie pracę na jednostce, ale w tym przypadku nie wiem, czy nie pójdę stąd od razu. Chciałem uciec od trupów, nie je przyciągać.

– Może to znak, żeby wrócić do policji? Fortuna chętnie cię weźmie pod swoje skrzydła. Narzeka, że terazniejsi technicy to idioci.

Zabiegły się roześmiał i wytknął mi język. Uwielbiałem ten styl starego technika. Mimo tego wszystkiego, co widział w pracy, wciąż miał pozytywne podejście do życia.

Poszedłem za nim do dyżurki.

Wewnątrz – na biurowych krzesłach, podrapanych i zniszczonych – siedziało dwóch ochroniarzy ze spuszczoneymi głowami. Odezwali się tylko po to, aby się przywitać i przedstawić. Kobieta nazywała się Janina Lac, a mężczyzna Sebastian Górski, brat szkolonego pracownika z nocnej zmiany. Ich nastroje wpasowywały się w zimny wystrój pomieszczenia, wręcz podkreślały brudnobiałe ściany, zakurzone i rozklekotane meble oraz wybrakowane z fug kafle podłogowe. Nie dowierzałem, że międzynarodowa firma może tak zaniedbać miejsce pierwszego kontaktu ze światem zewnętrznym. Gdzie tu dobry wizerunek, o którym wcześniej wspomniał Zabiegły?

Zdychu pokazał mi przebieg nocnej zmiany w książce elektronicznej. Okazało się, że pierwszy obchód wykonali około dziewiętnastej, drugi koło dwudziestej drugiej, a trzeci rozpoczął się za piętnaście pierwsza i nie dobiegł końca.

PROZA

Po wejściu do domu uchyliłem okna w sypialni i poszedłem do łazienki. Rozebrałem się, ciuchy wrzuciłem do pralki. Ustawiłem standardowy program sportowy, następnie wszedłem pod prysznic. Puściłem ze słuchawki gorącą wodę.

Myślałem o sprawie. Przesłuchaliśmy tylu ludzi, ilu zdołaliśmy, ale od nikogo nie wyciągnęliśmy ciekawych informacji. Jeden z pracowników działu technicznego potwierdził moje podejrzenia, że w trakcie przestoju nikt nie sprawdzał nowych hal. Obchody technicznych odbywały się raz na dobę, trwały dwie godziny i nie obejmowały jeszcze części rozbudowy. Nalałem żel pod prysznic na gąbkę i zacząłem się szorować.

Morderca miał mnóstwo czasu na zamordowanie oraz ukrycie ciała. Nikt w opuszczonej części nie przebywał od ostatniego obchodu ochrony, czyli od dwudziestej drugiej. Czy mogłem trafić na bardziej pechową sprawę...?

Błona z naszym informatykiem starał się przejrzeć nagrania w serwerowni Pihona. Po rozmowie z Zabiegłym wątpiłem, że to coś pomoże. Ich technologia, mimo ogromnego budżetu, równała się ze starą nokią wśród smartfonów.

Wyszedłem spod prysznica i owinałem się w pasie ręcznikiem. Przez moment przeglądałem się w lustrze,

rozważając zgolenie brody. Opuściłem to sobie, gdy odezwał się ból zmęczonych mięśni. Potrzebowałem snu, nie lepszego wyglądu. Poza tym tydzień temu zużyłem ostatnią ostrą golarkę.

W przedpokoju zwróciłem uwagę na zdjęcie w ramce. Zrobił nam je przypadkowy turysta na wakacjach w Zakopanem. Ja, Alicja i mój przyszywany syn, Krystian. A myślałem, że wszystkie wspólne fotografie wyrzuciłem. Schowałem ramkę do szuflady i przykryłem szalami.

Doczłapałem się do łóżka. Usiadłem i dla pewności sprawdziłem telefon. Żadnej wiadomości od Błony ani Zakrzewskiego. Już zamierzałem się ułożyć do snu, gdy jednak przyszedł esemes: *Za pół godziny jedziemy na serwerownie. Wpadaj.*

Dwie sekundy później położyłem głowę na poduszce. Śniłem o strzelaninie w płonącym kościele.

POZA KADREM

Mruknałem i odwróciłem głowę w stronę telefonu. Nie otwierając powiek, starałem się go dosięgnąć. Po dwukrotnym pomaćaniu stolika nocnego – w końcu go znalazłem. Podsunałem go pod twarz i uchyliłem jedno oko. Szczypało. W głowie mi szumiało. Brało mnie na mdłości. A na telefonie czekała na mnie jedna wiadomość głosowa od Zakrzewskiego i pięć esemesów od Błony. Zamierzałem im odpowiedzieć, ale oko jakoś samo się zamknęło. Zasnąłem.

Ocknałem się z większym pokładem energii. Mięśnie rwały, ale już nie tak bardzo, jak wcześniej. Znowu szukałem telefonu, aby sprawdzić godzinę. Przeczesałem koldrę, poduszki, szafkę nocną. Znalazłem go na podłodze. Zamiast dwunastej trzydzieści, kiedy to zamierzałem się obudzić, dochodziła czternasta. Cholera! Dwadzieścia nieodebranych połączeń od Błony, jeden od naczelnika Wróbla oraz informacja o słonecznej pogodzie.

Zerwałem się z łóżka, potknąłem o własne buty i poleciałem na szafę. Chwyciłem z krzesła koszulkę, spodnie i bluzę. Ubierałem się w podskokach do łazienki. Przeplukałem twarz wodą, usta płynem do płukania. Założyłem buty, zapomniawszy o skarpetkach. Już wybiegłem na korytarz, gdy

przypomniało mi się o broni i odznace. Wróciłem do pokoju w tym samym momencie, co zawyła pralka.

– Karolina, wywieś moje pranie! – krzyknąłem na klatce schodowej do siostry. – Dzięki!

W drodze do Szelewa zahaczyłem o McDonald. Kuzynka podała mi kawę bez kolejki. W sumie trzy kawy. Jedną dla mnie na drogę, drugą dla Tediego i trzecią dla Błony, jeśli znajdę go jeszcze w Pihonie. Spróbowałem do niego oddzwonić, ale nie odbierał. Potrafił się gniewać lepiej od wszystkich moich byłych kobiet razem wziętych. Liczyłem na to, że nie zdążył przejrzeć nagrań z tych stu dwudziestu kamer.

Podjechałem na parking dla gości.

Za pierwszym razem zaparkowałem za blisko stalowych słupów podtrzymujących zadaszenie, więc wycofałem i podjechałem jeszcze raz. W biegu potknąłem się o krawężnik, omal nie rozlewając kawy na chodnik.

Nie przepadałem za pośpiechem, dlatego po wejściu na dyżurkę postanowiłem odetchnąć, ale się przeliczyłem. Cuchnęło w niej potem, a zaduch wzmacniała skrzecząca klimatyzacja. Ustawili ją na trzydzieści stopni.

Na widok Sławka Frydryka, zeszłorocznego zwycięzcy Maratonu Ekstremalnego Policji, wzdrygnąłem się. Jadł jabłko wpatrzony w telefon. Jak on mógł jeść w tym smrodzie?

W przeciwieństwie do sztywno siedzących na krzesłach ochroniarzy – nie zwrócił na mnie uwagi. Cwaniak

Chrząknąłem, wskutek czego ten dwudziestopięcioletni chłopak zarzucił na plecy długie włosy spięte w kucyk i uśmiechnął się szeroko jak Joker z Batmana.

Gdy miewałem gorsze dni, wyobrażałem sobie, jak gołę gówniarza na łyso.

Nie wiedziałem, dlaczego jego włosy tak mnie denerwowały. Mogłem zapuścić własne, a jednak wolałem strzyc się na szeregowego z brodą Davida Beckhama. Tak łatwiej wtapiałem się w ulicę, za to Frydryk mógłby co najwyżej pracować jako tajniak na placu zabaw.

– Do czasu zakończenia przeszukania terenu wspomagamy ochronę na bramie – powiedział Frydryk. – Błona siedzi w serwerowni, pierwsze wejście po prawej, pod schodami. Nie wiem, czy ta kawa wystarczy, aby go udobruchać.

Machnąłem ręką. Nie przepadałem za takimi komentarzami. Szczególnie wtedy, gdy to ja zawiniłem.

Serwerownia okazała się małym pomieszczeniem – półtora metra na metr. Mieściła się tu metalowa szafa, biurko i dwa krzesła ze szkolnej ławki. Postawiłem obok Błony kawę, ale z początku nie zwrócił na nią uwagi. Na mnie też nie.

– Wiesz, co oznacza pół godziny? – Błona sięgnął po kubek i siorbnął łyka przez otworek w wieczku. – Zimna.

– Jak już, to chłodna. Gdzie Tedi?

– Wrócił do firmy, nic tu po nim.

Zerknąłem na monitor podzielony na szesnaście okienek. Żadnego z tych miejsc nie rozpoznawałem, a co gorsza

brakowało mi tam kamer zewnętrznych.

– Co to za nagrania? – Też napiłem się kawy. Faktycznie zimna. – Gdzie podwórze?

– Tu masz korytarz prowadzący na hale o-dwa, tu wejście do chłodni od strony magazynu, tutaj kolejne wejścia na hale produkcyjne, a tu stara hala do pakowania towaru. – Błona pokazywał mi odpowiednie klatki długopisem z logo Miejskiego Ośrodka Kultury Sportu i Rekreacji w Pucku. – Na razie nie znalazłem niczego podejrzanego. Magazynierzy na wózkach przewożą towar, jakieś białe ludki przy nich przystają i coś spisują. Robole w czarnoszarych ciuchach grzebią przy maszynach. Nikt nawet nie przeszedł koło wejścia na interesującą nas halę o-dwa.

– I patrzysz na to przez tyle godzin? Co z resztą kamer? Chcę wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz, a nie w środku.

– Serio? – spytał ironicznie Błona, unosząc ramiona. – Myślisz, że na to nie wpadłem? Ale żebyś mnie nie posądzał o niewypełnianie swoich obowiązków, to wtedy, kiedy smacznie spałeś, ja robiłem wszystko, co mogłem dla tej sprawy. Otóż na tych kamerach widać praktycznie wszystkich pracowników, na szczęście było ich mało ze względu na ten przestój technologiczny. Dwudziestu pracowników, czyli wszyscy, których wstępnie przesłuchaliśmy w nocy. Dwóch magazynierów, dwie babki z laboratorium, sześć techników. – Zdjął wieczko z kubeczka. – Pozostała dziesiątka to siedem

pracowników z firmy myjącej, w tym Ukraińcy, oraz trzech pracowników ochrony.

– Super, ale to wciąż nie tłumaczy, dlaczego nie pokazujesz mi podwórka.

– Bo oprócz wjazdu na teren budowy podwórka nie ma. – Przetarł usta dłonią. – Wczoraj o godzinie trzynastej odcięto dostawę prądu. Przywrócono go o godzinie dziewiętnastej. Niestety z nieznanym mi przyczyn do życia wrócił tylko jeden serwer. Te czternaście kamer jest wszystkim, co mamy. I zanim powiesz, że widziałeś wczoraj obraz z kamer na dyżurce, wyjaśnię – uniósł palec – że dobrze widziałeś, ale niestety obraz nie nagrywał się na dyski. Są puste, wszystkie. Wygląda na to, że podczas przerwy dostawy prądu uległy awarii. Tedi stara się o wyciągnięcie dysków i zabranie do laboratorium, ale jak wiesz, wciąż nie ma ciała, więc nasze działania są ograniczone.

Zadarłem głowę i podrapałem się po szyi. Miałem wrażenie, że furia rozsadzi mi żołądek. Spodziewałem się niespodzianek z kamerami, ale nie aż takich.

– Przecież to idealne warunki do zatuszowania morderstwa – pomyślałem na głos.

– Taaaa. Niby nikt z pracowników nie wiedział o awarii kamer, ale nie jestem przekonany. W takich firmach informacje szybko się rozchodzą. Na szczęście udało mi się ustalić, że w potencjalnych godzinach zdarzenia na hali większość pracowników siedziała na stołówce.

– W ten sposób nie dowiemy się, co tu się stało i gdzie jest ciało. – Znowu się podrapałem, tym razem w nos. – Oglądaj dalej, ja pójdę powęszyć. I dowiedz się, dlaczego to gówno nie działało i kto o tym wiedział. Bez przypuszczeń. Chcę fakty, zeznania, konkrety.

Wyszedłem, zostawiłem po sobie kubek z kawą. Najchętniej zamknąłbym wszystkich w izolatce i torturami wyciągnął z nich informacje. O ile łatwiejsze byłyby śledztwa, gdyby stosowano takie niszowe rozwiązania...

Na zewnątrz moją uwagę przyciągnął czerwony wóz strażacki. Wjeżdżał przez bramę przeciwpożarową na teren zakładu. Zatrzymał się przy Fortunie i zbiorniku z wodą. Podeszedłem bliżej, zauważając Zakrzewskiego bawiącego się telefonem.

– Co tam, Fortuna? – Przywitaliśmy się uściskiem dłoni.

– Poszukiwanie ciała ciąg dalszy. Opróżniamy zbiorniki z wodą. Już prawie kończymy, został nam teren zewnętrzny. Chłopaki zabrali się za baraki od strony budowy, a na końcu przeszukamy halę naświetlania i mroźnię. Przeszukujemy też zgliszcza wokół zakładu, ale na razie nic. To duży teren.

– Czemu jeszcze nie przeszukaliście hali naświetlania? Przecież jest najbliżej miejsca zdarzenia.

– Przejrzałem ją pobieżnie, tylko na tyle otrzymałem pozwolenie. Elita Pihona tłumaczy się, że ze względu na zagraniczną i zaawansowaną technologię chcą ją chronić

przed osobami z zewnątrz. Gadałem z górą, mają to załatwić, ale potrzebują więcej czasu.

Obszedłem zbiornik. Na oko mógł mieć trzysta metrów sześciennych, więc pomysł z przeszukaniem nie wydawał się głupi. Tylko czy aby na pewno? Już po pierwszym okrażeniu oszacowałem, że na ten genialny pomysł wpadła osoba bez wyobraźni, więc wykluczyłem Fortunę. Aby otworzyć zbiornik, potrzeba kluczy do kłódki, dodatkowo na górę prowadziła wąska drabina z osłoną. W jaki sposób ktoś miałby tam wejść z ciałem? I czy nazbyt nie ryzykowałby zdemaskowania? Za plecami ciągnęła się główna droga oraz parking dla pracowników.

Z wozu strażackiego wysiadł mój kolega, dowódca plutonu straży pożarnej w Pucku, Marek Dampc. Facet dorównujący mi wzrostem i wagą. Szkoda, że nie podzielał mojego zamiłowania do walk. Chętnie zmierzyłbym się z nim na ringu. Dampc założył kurtkę, na mój widok zasalutował.

– Szukacie Elisy Lam? – spytałem.

– Prośb od Fortuny się nie ignoruje. Pomożemy wam spuścić wodę z obu zbiorników, i tyle nas widzieliście. – Marek podszedł do drabinki przy zbiorniku. – Szady, myślisz to samo, co ja?

– Że wrzucenie tam ciała jest jak *Mission: Impossible*?

– Właśnie. A co z psami? – spytał Zakrzewskiego Dampc. – Korzystaliście z nich?

– Gdańsk naciska, abyśmy wykorzystali wszystkie możliwe środki do rozwiązania tej sprawy – odpowiedział za niego Fortuna. – Ta sprawa podbija pierwsze strony gazet. Z psów zamierzamy skorzystać, ale w tej chwili są na innej akcji. Robimy, co możemy, by zamknąć dzioby przełożonym i mediom.

Także szukamy trupa. Żałowałem, że nie istniała technologia jak w *Raporcie mniejszości*. Wolałbym ratować ludzi, zapobiegać zbrodniom – niż bawić się w tropienie psychopaty po fakcie.

Usiadłem na krawężniku, zaraz obok mnie przysiadł Zakrzewski.

– Kiedy sparing, Szady?

– Dam ci znać. Na razie rozwiążmy tę sprawę, bo powieszą nas na komendzie dla przykładu. Rozmawiałeś z rodziną zaginionej?

– Rozmawiałem, ale niczego ciekawego się nie dowiedziałem. Zaginiona jest w separacji z mężem i mieszkała u siostry. Ani jej mąż, ani dzieci nie przejęli się jej zniknięciem. Siostra jest w delegacji, wyjechała w piątek wieczorem, wtedy ostatni raz widziała Natalię, gdy ta odwoziła ją na lotnisko. Właśnie wraca do Polski, skontaktuje się z nami, jak tylko wróci. Poza tym w okolicznych szpitalach nikt nie przyjmował Nyżyńskiej.

Otrzymałem esemesa od Karoliny, początkowo chciałem go zignorować, ale ostatecznie zajrzałem w link, który mi podesłała. Oglądałem chwilę na wyciszonym głosie.

– Co mówiłeś na temat braku zainteresowania rodziny zaginięciem Natalii Nyżyńskiej? – Skierowałem w jego stronę telefon. Nagranie z konferencji prasowej ktoś wrzucił na YouTube. Mąż płakał i opowiadał ckeliwe historie o zamordowanej żonie, pomiędzy szlochem błagał społeczeństwo o pomoc w rozwiązaniu sprawy morderstwa. – Co mu powiedziałeś?!

– Nic, zapytałem tylko... – Jego telefon zadzwonił. – Kurwa, mam pozamiatane przez tego idiotę. To prokurator... Tak, słucham? – Podniósł się z krawężnika i odszedł.

W tym samym momencie parking przed Pihonem zapełniały wozy telewizyjne, same sławne radiostacje: TVN, Polsat, TVP1. Nie brakowało też reporterów z naszej lokalnej telewizji TTM i radia Kaszebe. Zmyłem się stamtąd, zanim ktokolwiek spróbowałby ze mną rozmawiać.

SPRAWDZIAN

Podjechałem pod rodzinny dom Wiolety Misztalewskiej. Po przesłuchaniu w Pihonie policjant odwiózł ją na Grodzisko w Pucku. Ich dom wyróżniał się wśród wykończonych i pomalowanych bliźniaków nieocieplonymi ścianami z pustaków i nieskoszonym trawnikiem porośłym mleczem. Nawet brama, przed którą zaparkowałem, straszyla pokrzywionymi deskami owiniętymi metalową siatką.

Przed zapukaniem do domu Misztalewskich postanowiłem spróbować jeszcze raz połączyć się z Januszem Grunholzem. Ucieszyłem się, gdy tym razem nie przywitała mnie poczta głosowa. Na wstępie się przedstawiłem.

– W czym mogę pomóc, panie Szadurski? – spytał Grunholz. Przelykał przy tym ciężko ślinę. Przyzwyczailem się, że ludzie denerwują się podczas rozmowy z policją. Przeczytałem artykuł jakiegoś psychologa, który zrzucał ten stres na autorytety i władzę.

– Dlaczego nie pojawił się pan na nocnej zmianie z soboty na niedzielę?

Grunholz umilkł na siedem sekund. Gdyby nie dyszenie do słuchawki pomyślałbym, że przerwało nam połączenie. Nie lubiłem zwlekania, ale grzecznie czekałem.

– Wczoraj o jedenastej rano zadzwoniła do mnie Wioleta i poprosiła o zamianę. Zgodziłem się, bo w przeciwieństwie do niej, dla mnie praca w ochronie to kieszonkowe. Utrzymuję się z emerytury.

– Czy to normalne, że Misztalewska zamienia się na służby?

– Na dniówkach się zdarzało, bo fryzjer, bo rzesy, bo paznokcie. – Westchnął. – Na nocce zdarzyło się pierwszy raz. Dziewczyny nie chodzą na nocki od pół roku, takie zarządzenie kierownika administracji i ona o tym wie. I nie przypominam sobie, żeby za mojej kadencji w Pihonie kobiety pracowały na nockach. Mimo wszystko radzę skontaktować się z naszym liderem, Sebastianem Górskim. On zajmuje się grafikami, ma ich kopie i może powiedzieć coś więcej.

Pokiwałem głową, chociaż rozmówca nie mógł mnie widzieć.

– A podała powód zamiany?

– Niestety – odpowiedział po namyśle. – Bynajmniej sobie nie przypominam. – „Bynajmniej”. Przymknąłem oko, by powstrzymać się przed poprawieniem Grunholza, chociaż nienawidziłem tego błędu językowego. – Chyba wspominała coś o przestoju, małej liczbie ludzi i dodatkowym zarobku. A może chodziło o szkolenie nowego? Nie pamiętam. Wioleta jest szkoleniowcem, tak że mogło chodzić o młodszego Górskiego. Panie Szadurski... – Zrobił pauzę. – Czy Wioleta jest podejrzana?

– Nie, nie – odpowiedziałem pewnie. Sam nie wiedziałem, dlaczego tak uczepliłem się Wiolety. Coś mi w niej nie

pasowało. Albo po prostu prowadziła mnie intuicja.

– To dobrze, bo Wioleta to dobra dziewczyna. Może faktycznie ostatnio uderzyła jej woda sodowa do głowy, ale mimo tego zawsze dbała o swoich. I chciała dobrze.

– Woda sodowa? – spytałem, poprawiając się na fotelu. Zgasilem silnik bravy.

– No tak. Szkolenie pracowników równa się z wyższą pensją i przywilejami. Niektórzy pracownicy traktują ją jak kierownika. Wioleta ma w sobie coś takiego, co sprawia, że czuje się do niej respekt. Nie musi się nawet odzywać. Może to kwestia postawy. Bywało też, że kłóciła się często z Sebastianem o grafiki. Wychodziła na dłuższe obchody. – Przestał przełykać ciężko ślinę. – Wie pan, jak to bywa w takich zakładach. Nie wolno nam się zadawać z pracownikami. Wioleta, ze względu na swoją pozycję, ostatnio się zapomniała. Rozmawiała ze wszystkimi pracownikami, jakby byli jej przyjaciółmi. Nawet z kierownikami przeszła na „ty”.

– Przecież długo tam pracujecie. Czy taka bezpośredniość w tych okolicznościach nie jest czymś normalnym?

– Nie. Gdyby ktoś z Francuzów lub prezesów z Torunia się o tym dowiedział, byłoby to równoznaczne z jej i pracownika zwolnieniem. Od kiedy Wiolety ojciec stracił pracę za granicą, ledwo wiążą koniec z końcem. A dziewczyna ma jeszcze studia do skończenia. Codziennie ostrzegałem ją przed konsekwencjami, ale nie chciała słuchać. Młodość ma swoje prawa, sierżancie.

– Czyli miała z kimś romans?

Firanka przy głównych drzwiach domu Misztalewskich się poruszyła.

– Tego nie powiedziałem. O ile mi wiadomo, Wioleta ma kogoś spoza firmy. Od roku, chyba. Nie wiem, czy wdawałaby się w romanse w firmie. Tam ludzie są dwulicowi, sprzedajni. Gdyby ich posada byłaby zagrożona, lub mogliby dostać premię, sprzedaliby nawet własną nerkę. Tamci ludzie... Oni nie są normalni.

Drzwi frontowe się uchyliły i stanęła w nich Misztalewska w różowym szlafroku. Jak zobaczyłem ją w tym stroju, w którym gruby brzuch zlewał się z piersiami bez stanika, mimowolnie przypomniał mi się film *Flubber* i tańczące w nim zielone gluty.

Wioleta oparła się o framugę ze skrzyżowanymi rękoma na klatce piersiowej i skinęła do mnie głową. Nawet z samochodu widziałem jej sińce pod oczami.

Podziękowałem Grunholzowi za pomoc, następnie wysiadłem z auta. Przy otwieraniu furtki musiałem uważać, by nie wypadła z zawiasów.

– Pani Wioleto. – Na betonowych schodach werandy kiwnąłem do niej głową. – Mam do pani jeszcze kilka pytań. Możemy porozmawiać?

Bez słowa weszła do domu, zostawiając drzwi otwarte. Wziąłem to za zaproszenie.

– Proszę nie zdejmować butów – powiedziała. Dla własnego spokoju porządnie wytarłem podeszwy w wycieraczkę. – Ten dom jest w wiecznym remoncie.

Nie znalazłem wzrokiem niczego na potwierdzenie tych słów. Brakowało narzędzi, typowych białych śladów od tynkowania, plam farb, rozłożonych gazet, jakichkolwiek oznak, że w tym domu przeprowadzano remont. Wręcz przeciwnie: przedpokój był pomalowany na czysty fioletowy kolor, wisiały obrazy, na podłodze wypolerowane płytki.

– Napije się pan czegoś? – zapytała, gestem zapraszając mnie do kuchni.

– Właściwie, pani Wioleto, przyszedłem na chwilę. Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego wzięła pani tamten nocny dyżur. – Czekałem, czy zeszywnieje, a może chociaż wytrzeszczy oczy. Szukałem w niej oznak strachu. – Czy może mi pani wytłumaczyć, czemu znalazła się pani w Pihonie tej nocy?

– Ja... – Wypuściła głośno powietrze i zmarszczyła czoło. – Wydaję mi się, że już z panem o tym rozmawiałam. Zadzwonił do mnie kolega i poprosił mnie o zamianę. A ja nigdy nie gardzę dodatkowymi służbami, o ile takowe się trafiają. Wie pan: jako studentka potrzebuję pieniędzy.

– Rozumiem. – Odchrząknąłem. – Pani Wioleto, gdzie są pani rodzice w tej chwili?

– Pojechali z moją siostrą na zakupy. Powinni być za kilka godzin. – Przetarła zaczerwienione oczy. – Czy to prawda, że

znaleźliście ciało? Widziałam konferencję. Zabito tam tę brygadzystkę?

– Pani Wioletto, przyjechałem na rutynową kontrolę, żeby zadać kilka pytań. Chciałem się dowiedzieć, czy przypadkiem nie przypomniała sobie pani czegoś cennego. W sprawie śledztwa niestety nie mogę się wypowiadać, podpisywałem umowy o poufności.

Zrozumiałem, że jeszcze nie mam czego u niej szukać, ale jak tylko znajdę ciało, a miejsce zdarzenia stanie się miejscem morderstwa, nie omieszka jej przemaglować w pokoju przesłuchań... Zamierzałem z nią jeszcze porozmawiać, gdy zadzwonił Błona. Musiałem wracać do Pihona.

PALETA

Kierownik ochrony przypominał przerośniętego Gargamela z rudymi, krótko ściętymi włosami i piegami na twarzy. Jego wykrzywiony nos ruszał się na boki z każdym wdechem. Nie mogłem się powstrzymać, aby na niego nie zerkać. Przed rozpoczęciem rozmowy, na którą nas wezwał, czekałem, aż Błona skończy spisywać dane z legitymacji kierownika do podręcznego notesu.

Przebywaliśmy w poczekalni dla kierowców mieszczącej się w stróżówce. Proste pomieszczenie, kran ze zlewem, kilka szafek i stoły z drewnianymi krzesłami. Zresztą niewygodnymi, więc wolałem postać.

– Czuje się jak w kiepskim filmie detektywistycznym z lat siedemdziesiątych. – Tomasz Możyc poprawił się na krześle i naprężył klatkę piersiową. – A poprosiłem was o rozmowę, bo chodzi o moich ludzi. Dlaczego ich męczycie, gdy morderca chodzi na wolności?

– Nie za bardzo rozumiem, co ma pan na myśli. – Błona włożył notes do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Prowadzimy sprawę i chcielibyśmy zebrać jak najwięcej faktów, które mogłyby nam pomóc w jej rozwiązaniu. Nikogo nie męczymy.

– Znam się na waszych zasadach. Jeszcze dziewięć lat temu byłem komendantem i wiem, jak to działa. Wsadzacie za

kratki każdego, nawet jeśli tylko jedno słowo nie zgadza się w zeznaniach. Mogę was zapewnić, że moi ludzie są ostrożnie dobierani.

– Więc nie ma się pan czego obawiać – odparował Błona. – Skoro pana ludzie są dobrze dobierani, to nic im nie będzie.

– Za każdym razem obrywa się ochronie. – Westchnął; maska twardego pękła. Na twarzy pojawiły się zmarszczki zmartwienia, a jego palce wystukiwały rytm piosenki, której nie rozpoznawałem. – Tak to jest, jak jest się firmą zewnętrzną. Wszystko w pierwszej kolejności spada na nas.

– Nas interesuje, co stało się na hali o-dwa. Nie jesteśmy zainteresowani podziałem w Pihonie.

– To czemu dręczycie Wioletę Misztalewską? Dzwoniła do mnie przed chwilą i poinformowała mnie o wizycie domowej.

– Nie możemy dzielić się szczegółami śledztwa. Przecież pan o tym wie, skoro sprawował pan stanowisko komendanta, prawda?

Możyc zmarszczył czoło i spojrzał na Błone pod brwi. Na moim partnerze nie zrobił najmniejszego wrażenia, wręcz wywołał u niego cień uśmiechu.

– Posłuchajcie panowie – oparł łokcie na stole – Wioleta Misztalewska ma swoje za uszami, ale nie ma nic wspólnego z tym, co stało się na hali. Nawet jeśli jest to morderstwo, tak jak usłyszałem w mediach. Dziewczyna jest młoda, wmieszała się w jakieś gówno i chciała wyjść z tego z twarzą. Wy za to panowie serwujecie jej emocje, których nie musi przechodzić.

– Nie rozumiem, rozmowy jeszcze nikomu nie zaszkodziły. Jeżeli pan chce, może jej pomóc i przybliżyć nam, w jakie gównio się w mieszała. Z Szadym uwielbiamy takie historyjki.

Możyc przyjrzał mi się z uwagą, najbardziej skupił się na mojej twarzy. Poczułem się jak obiekt w muzeum. Z przyzwyczajenia podrapałem się po nosie, żeby zasłonić trzy pieprzyki ułożone w trójkąt. Nie lubiłem ich, chociaż nie drażniły mnie tak jak moje chude nogi. W dzieciństwie wyglądały jak patyki, teraz mimo dodatkowych kilogramów nadal wpędzały mnie w kompleksy.

– Dziewczyna się zakochała – powiedział, wciąż wpatrzony we mnie. – Z tego, co zrozumiałem, najpierw wdała się w romans, później spotkała na swojej drodze wielką miłość. Tej nocy miała się wyplątać z romansu. Ale o kogo chodzi i dlaczego, musicie się jej zapytać. To dobra dziewczyna, chociaż popełnia błędy. To wciąż dziecko.

– Widziałem młodszych od niej z zakrwawionym nożem w ręce – skwitował Błona.

– Wiem – przytaknął Możyc. – Też widziałem. Wiem też, że nie można nikomu ufać w stu procentach, bo ludzie przystawieni do muru są gorsi od szcurków. Trzeba patrzeć każdemu na ręce. Ufaj, ale sprawdzaj, jakby to powiedziała jedna ważna persona.

Przestałem przyglądać się pęknięciu na płycie sufitowej.

– Więc przyznaje mi pan rację? Dobrze, że rozmawiałem z Misztalewską?

– Proszę, abyście obchodzili się z nią delikatnie. – Odchrząknął. – Panie Szadurski, czy to nie o panu pisano w gazetach? Czy to nie pan złapał naśladowcę Rezona? Co prawda nie podano nazwiska, ale środowisko szepcze.

– Więc niech szepcze dalej. Panie Możyc, czy to wszystko, co ma nam pan do powiedzenia? Jesteśmy w trakcie prowadzenia śledztwa i wolałbym nie tracić czasu na rozmowy przy kawie, bez kawy.

– A więc to pan... – Możyc odsunął krzesło z piskiem i wstał. – No to jestem już spokojny. Chciałem się tylko upewnić, że sprawa nie jest w rękach jakiegoś idioty.

Błona rzucił na mnie przelotne spojrzenie – tyle wystarczyło, bym odczytał, że on także nie zrozumiał intencji Możycy. Czy faktycznie chciał się spotkać tylko po to? Pożegnaliśmy się uściskiem ręki, którą Możyc przytrzymał zbyt długo. Miał zimny, ale pewny uścisk.

Po jego wyjściu zaburczało mi w brzuchu. Miałem ochotę na Big Maca, kurczaka i zimną colę. Na deser nie pogardziłbym karmelowym latte.

Kulinarne fantazje przerwał mi dźwięk telefonu...

Dostałem esemesa od mojej eks – Alicja poprosiła mnie o spotkanie. Fakt, że nie dodała żadnych emotikonów, odebrał mi apetyt. Zdażyłem radzić sobie bez niej, a tu niespodzianka: ponownie sobie o mnie przypomniwała. Zamierzałem odpisać, jednak do poczekalni wszedł funkcjonariusz Frydryk. Zasalutował.

– Pojawił się jeszcze ktoś, kto chce z wami porozmawiać. Czeka na was w biurze magazynu logistyki.

Schowałem telefon - bez odpowiadania Alicji. Ominąłem Frydryka i kątem oka zauważyłem, że Błona wciąż siedział na krześle. Pracowaliśmy na pełnych obrotach, więc wcale mu się nie dziwiłem.

Dogonił mnie dopiero na pasach dla pieszych.

Magazyn logistyki znajdował się na wprost dyżurki. Zdawał się być fortecą wysokich chłodzi, na których widniał szyld Pihona. Brokuł z marchewką, a wśród nich wkomponowana nazwa firmy. Mało pomysłowe, ale dosadne logo. Po lewej stronie biurowca ciągnęło się pięć ramp załadunkowych z zadaszeniem i oświetleniem, które właśnie wybudzało się ze snu. Lamy świeciły na zielono. Czas uciekał zdecydowanie za szybko.

Wbiegłem po schodach i pociągnąłem drzwi. Wewnątrz wyczułem zapach gorącego ciasta, sera oraz szynki.

W firmowej kuchni siedziało dwóch funkcjonariuszy w mundurach. Zajadali pizzę z pudełka i popijali kawę. Szczęściarze. Zaburczało mi w brzuchu.

Po wejściu do biura magazynierów poczułem mieszankę zapachów tak różnych od poprzedniego, że aż mnie zemdliło. Jakbym wszedł do męskiej szatni po meczu. Bez namysłu obszedłem biurko, by uchylić okno.

Błona podszedł do kierownika. Przywitali się. Padło nazwisko, ale nie dosłyszałem. W tym czasie moją uwagę

pochłonał monitor, na którym wyświetlał się skomplikowany schemat z ciągiem wąskich korytarzy. Domyślałem się, że w ten sposób obserwują ruchy palet po chłodni.

– Sierżant sztabowy Marcin Szadurski. – Wyciągnąłem rękę do kierownika magazynu. Był to starszy mężczyzna w okularach, z zaczesanymi na żel włosami. Część siwizny prześwitywała przez czarne pasma. Zazdrościłem mu czupryny. Może czas, żebym zapuścił włosy...?

– Karol Gwizdun, kierownik magazynu. – Uśmiechnął się, ale po chwili spoważniał, jakby zdał sobie sprawę, że nie wypada.

– Wybaczcie, że was wezwałem, ale sam nie mogłem do was z tym przyjść. Spójrzcie na to.

Błona kiwał głową jak człowiek z chorobą sierocą. Nie rozumiałem schematów i symulacji, które pokazywał nam Gwizdun. Dodatkowo czułem ostrą woń wody kolońskiej, przez którą zachciewało mi się kichać. Co oni mają z tymi perfumami w Pihonie?

– Przyjrzałem się chłodni. Nie zabrało mi dużo czasu wychwycenie nieprawidłowości. Otóż podczas przestoju prowadziliśmy testy nowych linii, czyli puszczaaliśmy palety różnej wielkości, niejednokrotnie krzywo ustawione lub wyłamane i w ten sposób wychwytywaliśmy, na jakie rzeczy możemy sobie pozwolić w czasie działania produkcji. – Wskazał palcem na diagram. – Tutaj macie informacje o naszych wynikach. Nie są zadowalające, ale nie o tym chciałem wam mówić. – Postukał w klawiaturę i wykres się

przesunął. – Widzicie to? O godzinie dwudziestej pierwszej zakończyliśmy oficjalne testy. Linia jest prosta, aż do... – Przewinał. – W pół do drugiej w nocy. Tutaj widać ponowne uruchomienie suwnicy na krótki czas. Niemniej jest to czas potrzebny do przestawienia jednej palety.

– Czy to możliwe, aby ktokolwiek z magazynierów tego używał? – spytałem.

– Nie. – Smród papierosów z ust kierownika się nasilił, więc się wyprostowałem. – Program działa na nasze zlecenie, owszem, my autoryzujemy wjazd palet na chłodnię, ale można to zrobić swobodnie ze strony produkcji. Ze względu na nasz dzienny tryb pracy niektóre interakcje można wykonać z poziomu komputera na hali naświetlania.

– Kto zna hasło?

– Trudno mi powiedzieć. – Wzruszył ramionami. – Teoretycznie powinni znać kierownicy oraz operatorzy sztaplarek. Ewentualnie brygadziści. W praktyce może znać każdy, kto kiedykolwiek przechodził obok komputera akurat podczas wpisywania do niego hasła. To bardzo proste hasło. I zanim zapytacie: nie, nie ma osobnych haseł. Każdy z użytkowników działa na jednym z poziomu administratora ustawionego na przypadkowe imię i nazwisko. Jednak! – Uniósł palec, widząc nasze miny. – Dobra wiadomość jest taka, że nad komputerem znajduje się kamera. Na szczęście na hali napromieniowania dbają o bezpieczeństwo.

Miałem ochotę przekląć, ale zatrzymałem soczyste słowo dla siebie. To wcale nie była dobra wiadomość.

Gwizdun w tym czasie wstał z krzesła i podszedł do monitora wiszącego na ścianie przy drzwiach. Przyłożył palec do jednego punktu.

– Powód, dla którego was wezwałem, jest tutaj. – Spojrzałem od niechcienia. – Niezidentyfikowana paleta zatrzymała się w rzędzie „S”, w linii dziesięć na jedenaście.

Mi to nic nie mówiło, ale Błona przybrał przerażony wyraz twarzy i spojrzał na sufit.

– Na samej górze? – dopytał. – Ile to ma metrów?

– Najwięcej, ile udało się wynegocjować: trzydzieści – odpowiedział Gwizdun. – Niestety w tym czasie nie mogę ściągnąć tej palety zdalnie. W programie powstały błędy, których nie potrafię usunąć. Może to dlatego, że ktoś nadał pałecie błędne etykiety.

– Błędne etykiety?

– Nowy system został zaprogramowany w ten sposób, żeby nie tylko czytał etykiety i ustawiał je w odpowiednim rzędzie z tymi samymi produktami. Zaprogramowaliśmy również przedział wagowy oraz wzór dobrze ustawionej palety. Program skanuje ją i sprawdza, czy się mieści w normach. Jeżeli nie, to ją cofa. W tym przypadku ktoś nadał pałecie etykietę marchewek.

– Czyli teoretycznie nasza paleta może być zwykłymi marchewkami? – Błona drapał się po brodzie. Sam się przed

tym powstrzymywałem.

– Może, ale nie musi. Program przez renowacje ma luki. Spotkaliśmy się już z tym: raz na dziesięć palet program przyjmuje złe palety. Wciąż nad tym pracujemy. – Przeczesał dłonią włosy. – Poza tym pozwoliłem sobie ściągnąć techników z Ameryki. Powinni u nas być w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– To za długo – skwitowałem. – O wiele za długo. Możemy się do niej jakoś dostać?

– To jest chłodnia – podkreślił Błona.

– I tak, i nie – odpowiedział Gwizdun. – Teoretycznie możemy sprawdzić, co się znajduje na palecie, albo spróbować sprawdzić. Jednak ostrzegam, że tam temperatura sięga minus trzydziestu stopni. Te stroje...

– Rozumiem. – Wciągnąłem głośno powietrze i przytrzymałem je w płucach. – Ale i tak spróbujemy. Nalegam. Nie mamy tyle czasu, aby czekać na odpowiedź techników. Gdyby się okazało, że to zwykła marchewka, naczelnik urwałby mi co nieco. – Odwróciłem się do Błony. – Pójdę sprawdzić chłodnię, a ty w tym czasie idź do Fortuny. Dowiedz się, jak im idzie ze zbiornikami i halą naświetlania.

Teraz ja spojrzałem w sufit. Szkoda, że nie umiałem latać jak Superman.

NIESPODZIEWANY RUCH

Gwizdun zapiął zamek kurtki pod samą szyję. Nigdy nie bałem się niskich temperatur, ale tym razem wziąłem przykład z niego. Poprawiłem też rękawiczki. Na szczęście pożyczył mi ubrania od magazynierów, jednak butów i spodni nie znalazł. Trudno. Czego nie robiło się dla pracy w policji?

– Najgorszy jest pierwszy strzał – ostrzegł Gwizdun, gdy szliśmy korytarzem biurowca. – Później jest tylko lepiej, sierżancie.

– Szady. Po prostu: Szady.

Zatrzymał się przed drzwiami z tabliczką „Rampy” i skinął głową. Otworzył je. Przygotowywałem się na najgorsze, ale po wejściu do środka się rozluźniłem. Nie takiego mrozu się spodziewałem. Co prawda wyczuwałem specyficzny zapach towarzyszący mrożniom chłodzonym gazem – taki kwaśnomdły mroźnik, nieco jak przeterminowana musztarda na zgniłych jajach zamknięta w plastikowym pudełku – tyle że tutaj plastik zastąpiono stalowymi elementami, które dodawały szczypty metalicznej otoczki.

– To dopiero początek, Szady. Rozgrzewka. – Zatrzymał się przed bramą i pociągnął za gumowy sznur, żeby ją unieść. – Zaraz zacznie się najlepsze.

Po lewej stronie ciągnęły się rampy. Gwizdun skręcił w prawo do metalowych drzwi z ukośną klamką. Przechylił ją i naparł barkiem na drzwi. Słyszałem odrywanie zamarzniętych uszczelek, aż mną wzdrygnęło. Po podejściu bliżej odczytałem napis na tabliczce: „Uwaga! Niskie temperatury!”

I faktycznie zaczynało się najlepsze...

Przy ziemi mknęła biała para. Niezbyt przerażająca, dopóki nie okuła moich nóg. Chłód zatrzymał mój krok w powietrzu, zamrowił w piszczelach i aż zapiekł w stopy... Jasna cholera! Miałem wrażenie, że wszedłem tu bosy.

– Musicie mieć dobry system chłodzenia – powiedziałem dla podtrzymania rozmowy. Nie podobały mi się te ciemności i ten mróz.

– Najlepszy, choć i niebezpieczny. – Przeszedł pod paleta, zrobiłem to samo. – Tutaj ściągamy towar gotowy do załadowania.

– Co znaczy: niebezpieczny? – Zatrzymałem się przy ofoliowanej rurze, widniała na niej naklejka „Glikol”.

– Do klimatyzacji używamy na przykład glikolu, ale do podtrzymywania minusowej temperatury w chłodni stosujemy amoniak. Nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jaką moc skrywa w sobie amoniak w systemach chłodniczych. Jest nie tylko tani i czysty, czyli pozbawiony tych wszystkich zanieczyszczeń, ma również właściwości silnie żrące i zabójcze, jest wybuchowy. Na szczęście Pihon nie szczędzi na ochronie przeciwpożarowej, dzięki czemu najmniejsze wycieki

gazu są wylapywane przez czujki. Mają ten gaz pod kontrolą. Zresztą gdyby doszło do wycieku, a maszyny by zawiodły, to sporo ludzi by go wyczuło. Ma charakterystyczny i gryzący zapach.

– Czyli nie wybuchnie? – Tylko tyle mnie interesowało.

– Bez ingerencji człowieka lub poważnej awarii technicznej: nie – odpowiedział Gwizdun, łapiąc za metalową klamkę od kolejnej przesuwanej bramy. – Co prawda latem miewamy problemy z utrzymaniem amoniaku w odpowiedniej temperaturze, ale jeszcze nie doszło do wycieku. Wiesz, w maszynowni, gdzie dwadzieścia cztery godziny na dobę chodzą sprężarki, nie jest łatwo o niskie temperatury, szczególnie jak na dworze jest trzydzieści stopni na plusie.

– Nie wiedziałem, że do chłodzenia używa się amoniaku – przyznałem.

– I wcale nie musiałeś. Nie wszystkich interesuje ten temat, a amoniak jest stosowany w chłodnictwie od wieków, został pierwszy raz użyty przez francuskiego inżyniera nazwiskiem Carre. Z biegiem lat ludzie nauczyli się wykorzystywać walory amoniaku w bezpieczny sposób. Wiedzą, że nie wolno go łączyć z miedzią, dlatego budują rury stalowe, nie mówiąc już, że dzięki amoniakowi oszczędzamy miejsce. Ten gaz może być przewodzony przez stosunkowo wąskie rury, co dla nas jest istotne. – Zakasłał. – Przygotuj latarkę. Tak jak wspomniałem w biurze: część chłodni, przez którą przejdziemy, została wyłączona z prądu na czas renowacji.

Dżinsy mi zamarzły i drapały w skórę. Z całych sił starałem się nie zawrócić. Ignorowałem też szczypanie uszu pod czapką.

Weszliśmy w ciemny korytarz oddzielony kurtyną z plastikowych pasów. Nie spodziewałem się, że Gwizdun puści te pasy, jednym oberwałem w twarz. Przekląłem w myślach. Udałem, że wcale mnie nie zabolalo, wyjąłem z kieszeni latarkę i teraz oświetlałem drogę przed sobą. Gwizdun w tym czasie włączył czołówkę.

– Naprawdę nie ma czegoś bezpieczniejszego od amoniaku?

– W przyrodzie nie ma rzeczy czarno-białych, Szady. Nie ma też ideałów. Wbrew pozorom amoniak jest przyjazny środowisku, jego GWP i ODP jest równe zero.

– Jego: co? – Poświeciłem latarką na paletę z marchewką mrożoną, przyglądałem się etykietce.

– To współczynniki oddziaływania na ocieplenie klimatu i niszczenia warstwy ozonowej. Poza tym amoniak bardzo szybko rozpuszcza się w atmosferze. Możemy się pochwalić tym, że jesteśmy prawie eko.

– Dużo tego potrzebujecie w Pihonie?

– Na niektóre pytania lepiej nie znać odpowiedzi. – Poprowadził mnie dalej korytarzami utworzonymi z palet. – Uwaga, będzie wąsko – ostrzegł Gwizdun.

Nie posłuchałem. Barkiem uderzyłem w paletę, aż cofnęło mnie o dwa kroki. Zacisnąłem wargi. Mogło być jeszcze

gorzej? Ustawilem się bokiem i przeciskałem przez labirynt palet z logo Pihona.

– W tym miejscu są zwroty. Czekają na utylizację.

Skinałem głową, chociaż nie mógł tego zobaczyć. Szedłem krok w krok za nim, żeby się nie zgubić w tych korytarzach z palet.

Ku mojemu zdziwieniu to miejsce było ogromne. Minęliśmy kilka rozwidleń i miałbym problem, aby stąd wyjść. Gwizdun stanął, odbiłem się od jego pleców.

– Teraz uważaj na te schody. Są bardzo wąskie i śliskie dla nieodpowiedniego obuwia, więc trzymaj się barierek. Pójdę przodem.

Gwizdun wskakiwał co dwa stopnie. Znowu mnie zgubił, bo schody faktycznie były śliskie. Musiałem uważać, gdzie i jak stąpam. Mniej więcej w połowie się zatrzymałem i poświeciłem latarką w dół. Nie podobała mi się ta wysokość, a czekała mnie jeszcze wspinaczka.

– To tylko siedem metrów! – krzyknął Gwizdun, przebierając w kluczach. – Chodź. Nie radzę tobie za długo stać na tym mrozie.

Posłuchałem go. Mróz dźgał mnie w odsłonięte części ciała. Twarz szczypała, sztywna jak po botoksie. Na samej górze poświeciłem na sufit. Sterczały z niego kawałki śniegu i sople lodu. Tutaj przestałem wyczuwać zapach chłodni, możliwe, że zamarzył mi nos.

– Uwaga, Szady. Zaczyna się prawdziwa jazda. Posadzka trzyma temperaturę minus pięćdziesięciu stopni. Jesteś gotowy, aby tam wejść? Czy się rozmyśliłeś?

Zrezygnowanie w tym momencie byłoby czystą głupotą.

Weszliśmy do głównej mroźni. Jeśli wcześniej myślałem, że idę na bosy, teraz wyobrażałem sobie, jak każdy krok zdziera mi skórę ze stóp. Myliłem się wcześniej: dopiero teraz zamarzyły mi dzinsy, w wyniku czego chodziłem szeroko na nogach, jakbym długo jeździł konno.

Stałem przy barierce, zgasilem latarkę. Przed nami rozciągały się regały sięgające sufitu. W większości wypełnione paletami z mrożonkami różnej maści. Pomiedzy regałami błądziły przewodnice. Musiałem przyznać, że robiło to na mnie imponujące wrażenie.

– Idziemy? – Gwizdun schodził po schodach.

– Idziemy – potwierdziłem. – Daleko ta paleta?

– Na samym końcu, niemalże na najwyższym poziomie. Zaprowadzę cię.

Zeszliśmy po schodach do furtki, którą Gwizdun otworzył za pomocą klucza. Podążając za nim, uważałem, aby się nie potknąć. Z każdym krokiem czułem, jak spodnie boleśnie ocierają się o skórę. A zawsze chciałem zwiedzić Antarktydę. Zmieniłem zdanie...

Wyjąłem jednak latarkę i pilnie przyglądałem się mijanym paletom.

Zapiekanka, mieszanka do zup, kalafior, szpinak, mrożone owoce... Ciekawiło mnie, czy było coś, czego ta firma nie robiła.

Zatrzymaliśmy się przy marchewce. Gwizdun wskazał palcem w lewo.

– To tutaj. Niestety, jak sam widzisz, paleta, która nas interesuje, jest zakryta. Poczekajmy na techników.

Przechyliłem się i poświeciłem między paletami. Niestety widok zasłaniały mi kartony owinięte folią. Syknałem. Nigdy nie byłem cierpliwym gościem, więc i w tym przypadku takim się nie stałem. Wyszukałem wystarczającej dla mnie przestrzeni. Nim Gwizdun zaproponował, wdrapałem się na podłużny dźwigar. Słyszałem gderanie za swoimi plecami. Wspiąłem się kilka poziomów, na szczęście część palet ustawiono tak, że się zmieściłem.

Po chłodni echem rozniósł się pisk. Wsłuchałem się. Ten pisk był dziwny, jak odpalenie starego agregatu. Zignorowałem go i wróciłem do wspinaczki.

Wskoczyłem na paletę, wyprostowałem się i odwróciłem wokół własnej osi. Folia pod moimi butami zatrzeszczała, a kartony się wygięły. Miałem nadzieję, że nie pociągną mi za to z wypłaty.

Gwizdun krzyknął coś niezrozumiale. Nie śmiałem mu powiedzieć, żeby się zamknął. Rozpraszał mnie. Przeszedłem na kant palety i podparłem się na dźwigarze. Mróz szybko przeszył moją dłoń. Wychyliłem się, by poświecić latarką na

oznaczenia literowe poszczególnych rzędów palet. Szczypały mnie palce. Jeszcze trochę...

– Szady! Złaź stamtąd! Słyszysz?!

Słyszałem, jednak zlokalizowałem rząd „S”. Był nade mną. Spróbowałem odepchnąć się od szyny, ale nie dość, że rękawiczka mi do niej przymarzła, to jeszcze kartony pod mną się ugięły. Straciłem równowagę i upadłem na kolana – po drodze chwyciłem się szyny drugą ręką... Ale ze mnie idiota! Ze strachu opuściłem latarkę, która poturlała się po palecie i spadła z tych dwudziestu paru metrów na betonową posadzkę. Gdzieś między regałami rozniósł się trzask pękającego plastiku oraz szkła. Odetchnąłem z ulgą. Cieszyłem się, że nie podzieliłem jej losu.

Po uregulowaniu oddechu i opanowaniu drżenia nóg wysunąłem głowę poza metalowe szyny. Widziałem paletę. Byłem pewny, że to ta, której szukaliśmy. Widziałem co z niej wystaje i zapiera o metalowe pręty.

– Szady! Uciekaj stamtąd, do kurwy nędzy!

Odwróciłem głowę i zauważyłem zbliżającą się do mnie ciemność. Znacznie intensywniejszą, mroczniejszą. W moim kierunku zmierzała paleta wypełniona po brzegi towarem. Syknąłem, próbując się wyprostować, ale okazało się, że teraz obie rękawiczki przymarzły do metalu. Niech to jasna cholera! Jeszcze pół metra i ważąca ponad pół tony masa we mnie uderzy! Wyjąłem dłonie z rękawiczek i się wyprostowałem... Ponownie odetchnąłem z ulgą. Niestety: nie na długo. Kiedy

przeskakiwałem na drugą paletę, kartony pode mną znowu się zapadły. Runąłem na plecy, i przeturlałem się na bok, czekając na zderzenie.

Spadałem. Niewiele myśląc, chwyciłem stalową rurę. Zabolało. Dotknięcie zmrożonego metalu gołą dłonią nie było najinteligentniejszym posunięciem i kosztowało mnie sporo wysiłku, aby nie wypuścić z rąk tej stali. Wisiałem kilkanaście metrów nad ziemią, czując, jak mróz wżera mi się pod skórę, aż do kości. Też zachciało mi się szarżować. Wolną ręką odpiąłem zamek kurtki, by ją z siebie zrzucić.

Udało mi się po dłuższej chwili. Zbyt długiej chwili. Przerzuciłem rękaw kurtki przez rurę i złapałem ją z drugiej strony. Czekano na mnie najtrudniejsze zadanie – oderwanie ręki.

– Sierzancie! – krzyk Gwizduna mnie zirytował.

Zrobiłem to szybko. Zabolało tak bardzo, że mnie zamroczyło.

Nie czekałem na dalsze niespodzianki, rozbijałem się na kurtce, zanim pękłaby w szwach. Nogami zahaczyłem o paletę przede mną. Nie zostałem na niej długo, but mi z niej zjechał. Zrobiłem mocniejszy wymach, prawie jak na huśtawce, następnie zaryzykowałem i się puściłem.

Wylądowałem tyłkiem na palecie z plastikowymi skrzyniami, popękały z trzaskiem. Cudem udało mi się odwrócić na bok i zaprzeć się rękoma o przykrywę skrzyni. Kiedy chciałem wstać, poślizgnąłem się na zakrwawionej dłoni. Na szczęście

dzięki refleksowi tą zdrową złapałem stalowy pręt, by nie wpaść pomiędzy ofoliowany towar a dźwigary poprzeczne. Odetchnąłem, krzywiąc się z bólu.

– Sierżancie, niech pan stamtąd zejdzie! – Gwizdun kolejny raz krzyczał. I chyba dodał coś jeszcze, ale jego dalsze słowa rozmazało echo. Rozpłynęły się w mrozie, i w moim bólu.

Cofnąłem się na palecie i odwróciłem na plecy. Pisk chodzącej suwnicy nie ustawał, jednak nie zaniepokoiło mnie to na tyle, bym chciał stąd zejść. Przyłożyłem zranioną dłoń do klatki piersiowej – ledwo mogłem zginać w niej palce. Zamknąłem oczy. Mróz przeszywał mnie na wskroś, tym bardziej, że moje ciepłe odzienie po części wisiało na dźwigarze, a po części pewnie spoczywało gdzieś na ziemi. Leżałem w temperaturze minus trzydzieści stopni – w samym swetrze i z krwawiącą ręką. Moje ciało opanowały konwulsje, których nie mogłem powstrzymać. Czułem, jak mróz ciąży mi na klatce piersiowej. Jak wszystko we mnie drży.

Wtedy nastąpiła ciemność... Zmusiłem się i uchyliłem powieki.

– No niech to jasny gwint! – Przeturlałem się.

Nienawidziłem spadać. Uświadomiłem sobie, że najbardziej w życiu nienawidzę spadać, szczególnie nieświadomy miejsca, w które przyjdzie mi lupnąć.

Uderzyłem w inną paletę, odbiłem się od niej, walnąłem kręgosłupem w dźwigar i znowu poleciałem na coś twardego. Opadłem na brzuch.

Jakie było moje zdziwienie, gdy otworzyłem oczy i przeczytałem z etykiety: „Groszek”. Zaśmiałem się, ale już nie zamierzałem odpoczywać i dawać wściekłym maszynom sposobności, by mnie zmiażdżyły. Przeczłołem się na kartonach do ich końca, byle w stronę światła. Uśmiechnąłem się na widok zmartwionej miny Gwizduna. Dzieliło mnie od niego pół metra, więc spadać musiałem znacznie dłużej, niż zarejestrowałem.

Nie ważne. Zeskoczyłem z palety na kucki, uważając przy tym na zranioną dłoń. Gwizdun pomógł mi się podnieść i ustać na nogach.

– Jakim cudem to gówno zadziałało?! – spytałem na schodach, kiedy już poczułem się bezpieczniejszy.

Odpowiedzi nie uzyskałem.

ZAMROŻONA KREW

Po akcji z wściekłą paletą pojechałem do szpitala. Trafiłem na dyżur Alicji, co nie poprawiło mojego nastroju. Podczas opatrywania rany nawet na mnie nie spojrzała, chociaż wiedziała, jak bardzo uwielbiam jej oczy. Brązowe, błyszczące w słońcu – migoczące zielenią podobną do kwitnącej zatoki. Urodzie Alicji nie brakowało niczego, mimo że narzekała na orli nos, który moim zdaniem podkreślał jej pociągłą twarz i wystające kości policzkowe.

Przyglądałem się, jak bandażuje poparzenie. Wdychałem zapach jej balsamu kokosowego. Swoją intensywnością przykrywał nieprzyjemny smród chemikaliów i środków czystości SORu. Mimowolnie przypominałem sobie, jak w opaloną skórę wcierała krem na noc, a później kładła się obok mnie, wprowadzając do mojej duszy harmonię, jakiej nie mogłem osiągnąć za dnia. Ale pomimo zakochania zrezygnowałem z tego kobiecego lekarstwa na wszelkie zło.

W głębi duszy łudziłem się, że może za mną tęskni. Co prawda od naszego rozstania minęło pół roku, Alicja układała sobie życie z innym, jednak nie mogłem nic poradzić na kłębiące się we mnie uczucia.

Były bardziej zdradliwe od cienkiego lodu na jeziorze.

Wypuściła mnie z maścią, garścią leków przeciwbólowych i receptą. Zamierzałem spytać o esemesa, ale wyszła z gabinetu bez pożegnania.

Zamiast do apteki pojechałem do Pihona. Po moim wypadku w chłodni poprosiłem Dampca, żeby zdjął paletę z brygadą strażaków. Na czas ich działań odcięto prąd, zabezpieczono również miejsce zdarzenia przed osobami trzecimi. Swoją obecnością zaszczyił nas także Broczek – stary prokurator miesiąc przed zawałem zobaczył martwą Nyżyńską przede mną. W końcu mogliśmy otworzyć śledztwo z odpowiednim wsparciem służb mundurowych z Gdańska.

Ominąłem wozy telewizyjne i reporterów gawędzących przy magazynie palet. Niedaleko nich stał Broczek w obcisłej koszuli z przeupoconymi pachami oraz plecami. Wycierał chusteczką czoło, jakby miało mu to pomóc w zatuszowaniu swoich mankamentów przed kamerami. W chwili gdy przejeżdżałem przez szlaban, dołączył do niego komendant i wręczył mu marynarkę.

Zaparkowałem przed schodami na logistykę. W drzwiach spotkałem Gwizduna, którego odprowadzał Frydryk. Zdziwiła mnie jego ciągła obecność na terenie.

– Szady, czekałem na ciebie. Mogę ci coś pokazać? – spytał Gwizdun, cofnęliśmy się do jego biura. – Sprawdziłem, o co mnie prosiłeś. Okazało się, że program został ustawiony na konkretną godzinę, aby przenieść kilka palet do załadunku. To, że akurat w tym miejscu i czasie tam byłeś, to czysty

przypadek. Morderca zaprogramował suwnice tak, aby zakamuflować paletę z ciałem. Zobacz. – Pokazał mi kilka map magazynu. – Widzisz? Kilka palet miało trafić do sektora marchewek, kilka do groszku, kilka do mieszanych. W życiu byśmy się nie połapali, o co chodzi, tym bardziej, że planowaliśmy przerwę. Nikt by tu nie zaglądał przez kolejną dobę.

– A ciało zostałoby zapomniane, przynajmniej w teorii. – Zmrużyłem oczy. – Wiesz, kto ma dostęp do tego programu? Przecież nie wszyscy mogą wycofywać towar z załadunku, prawda? Nie zrobisz tego z poziomu produkcji?

– Nie, ale możesz to zrobić kilkoma kliknięciami z naszego biura. Chłopacy przyznali, że nie zamknęli drzwi prowadzących do ramp załadunkowych, tak że każdy mógł tu wejść i to ustawić. Przejść przez chłodnię od strony produkcji.

– Dziękuję.

Poszedłem obejrzeć ciało.

Leżała w pozycji embrionalnej owinięta w folii na palecie i niebieskiej policyjnej płachcie. Z tego idealnego portretu śpiącej królowny odstawała wyłamana w stawie łokciowym ręka, spoczywająca nienaturalnie obok włosów. Zamrożona krew na niebieskawej skórze podkreślała ich rudość. Błyski flaszki aparatu trzymanego przez Suchego tylko uwidaczniały bladość jej posinionej, oszronionej cery. Dźwięk migawki przyprawił mnie o ból głowy.

Przykucnąłem. Poczułem, jak denatka przeniknęła chłodnią – tą mieszanką gazów oraz stali. Oprócz tego była niemalże bezwonna – nie pachniała słodkimi ani gorzkimi perfumami, ani kremem do ciała. Pozbawiono Natalię kobiecości – nie miała makijażu, wymalowanych paznokci czy ułożonych włosów. Roztapiająca się krew na jej twarzy przypominała łzy na ikonie Matki Bożej. Dopilem ostatni łyk kawy, którą kupiłem w McDonaldzie. W otoczeniu zamordowanej słodki karmel smakował smalcem z grudkami, a mleko spleśniała maślanka. Skrzywiłem się, powstrzymując odruchy wymiotne.

Natalia przed śmiercią nosiła biały uniform, taki jak pracownicy produkcji, tyle że ten poplamiała krew i przedziurawiło ostrze. Powstrzymałem się, żeby jej nie dotknąć. Nad wyraz smutna twarz Natalii wyzwoliła we mnie ojcowskie instynkty. Chciałem ją przytulić, zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Mógłbym opowiedzieć jej o brutalnym świecie, dać kilka rad, jak pokonać otaczające nas zło, przetrwać i być szczęśliwym. Ochronić ją przed niebezpieczeństwem. Poczuć jej łzy na karku, czy szyi, doznać tej świadomości ukojenia cudzego bólu. Później ułożyć Natalię do łóżka i przeczytać bajkę na dobranoc z dobrym zakończeniem.

Już zamierzałem wyciągnąć ku niej rękę, gdy przypomniałem sobie gdzie jestem. Chrzęst odrywanej uszczelki i pisk zamarzniętych zawiasów przywołał mnie do porządku. Nie stałem nad łóżkiem Natalii, tylko nad jej

dotychczasowym grobem. Głaskanie po czole nie wchodziło w rachubę.

Na Nyżyńską padł cień w kształcie kija z nadmuchanym balonem na krańcu. Nie musiałem się obracać, żeby rozpoznać Kierszkę, współpracującego z naszą komendą medyka sądowego. Śmierdział chlorem na odległość.

– Nie idziesz zobaczyć występu Broczka? Zwołał konferencję na parkingu i wydaje oświadczenie. – Kierszka przykucnął obok; podczas zakładania rękawiczek na swoje wychudzone dłonie i krzywe palce strzelał nadgarstkami. – Oficjalnie otwieramy sprawę morderstwa Natalii Nyżyńskiej.

Podziwiałem tego człowieka. Liczył ponad sześćdziesiąt lat, zdrowie utrzymywał dzięki diecie wege i pływaniu, o czym nie świadczyły wyłącznie szerokie barki, ale także zniszczone chlorem, nastroszone włosy. I nie podziwiałem go za kondycję fizyczną albo wiedzę medyczną, lecz za podejście do życia. W przeciwieństwie do mnie – trupy stanowiły jego codzienność, badał je na miejscu oględzin, później kroił w prosektorium, jednak nigdy nie zapominał o uśmiechu i pozytywnym nastawieniu.

– Możesz mi coś powiedzieć na temat jej śmierci?

– Tak na szybko? – Nabrał powietrza w policzki, później wypuścił je przez przymknięte usta. – Kobieta została dźgnięta kilkukrotnie w okolicach klatki piersiowej i pleców, oprócz tego poderżnięto jej gardło. – Kierszka wskazał długopisem kosmyki rudych włosów, które opadały na jej szyję. – Cięcie

jest nierówne, tyle widzę. Na razie nie jestem w stanie określić więcej szczegółów, ale dobrze widzisz, jak to wygląda. Wolałbym, żebyś dał mi więcej czasu, dopiero zaczęliśmy, a nie mamy go dużo ze względu na roztopiające się dowody. Musimy działać ostrożnie, ciało jest zamrożone, przylega do niego folia, która nasiąknęła jej krwią. To potrwa, Szady. Nie chcę niczego spieprzyć, bo nie tylko Gdańsk patrzy mi na ręce. Po tej konferencji będzie się nam przyglądać cała Polska i połowa Francji, która zarządza Pihonami na całym świecie.

Jeszcze przez chwilę przyglądałem się Natalii. Miała zamknięte oczy, a czerwone kawałki lodu oblepiły jej rzęsy, brwi i włoski w nozdrzach. Naprawdę łudziłem się o inne zakończenie dla tych poszukiwań.

Przeżegnałem się i pocałowałem bursztynowy krzyżyk, który dawno temu otrzymałem od babci. Niech Bóg ma w opiece wszystkie ofiary morderstw i nieszczęśliwych wypadków. Amen.

RDZA

Podmuch zimnego powietrza nadchodzącego z pól dobudził mnie po kilkugodzinnej drzemce w biurze logistyki. Czekałem na więcej informacji od Kierszki albo od Fortuny, więc zaszyłem się na górnym piętrze, żeby odpocząć. Obudziłem się za późno, obolały i zeszywniały od spania w pozycji siedzącej. Dochodziła pierwsza w nocy. Przystanąłem na schodach od logistyki, nie mogąc zapomnieć widoku martwej kobiety. Patrol stojący przy szlabanie zachowywał się niezwykle głośno, śmiali się i krzyczeli, co rozpraszało moje myśli, ale i wzbudziło we mnie gniew. Coraz mniej współczucia w policyjnych szeregach. Nikt nie pomyślał, by oddać szacunek ofierze brutalnego morderstwa.

Zszedłem po schodach, rozglądając się na boki. Wiatr szeleścił liśćmi drzew, gdzieś śpiewały jaskółki, obok dyżurki mrugał halogen w latarni, przed którą latało stado much. Znalazła się też ćma. Wyjąłem z kieszeni latarkę i ruszyłem w kierunku oczyszczalni. Oświecałem rów i wysokie trawy. Domyślałem się, że ludzie Fortuny sprawdzili teren, ale wiedziałem, że tej nocy więcej nie zasnę. Wystarczyło, bym zamknął oczy, a jej rude włosy wychodziły na pierwszy plan.

Trasę od magazynu logistyki do hali o-dwa przeszedłem dwa razy. Przy drugim podejściu przeskoczyłem przez płot, aby

lepiej przeszukać rów i piaszczystą szosę. Znalazłem tam rozmaite śmieci, podpaski, papier toaletowy oraz ludzkie i zwierzęce ekstremy. Przy końcu płotu przeskoczyłem z powrotem na teren zakładu. Przeszukałem trawę, śmierdzącą oczyszczalnię, tuje i kwiaty.

Po trzeciej w nocy skończyłem przeszukiwać kolejny kawałek zakładu. Nie znalazłem nic, co mogliby przegapić moi koledzy. Niczego niepozornego, a podejrzanego. Czysto. Na co liczyłem...?

Wszedłem w kolejny zakręt. Przeszukałem cały teren, obszedłem też staw przy wjeździe na budowę. Wylądowałem znowu przy oczyszczalni, gdzie smród gryzł w gardło. Przystanąłem przy zbiorniku z wodą i skupiłem wzrok na białej bramie ewakuacyjnej. Czemu wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi? Podszedłem bliżej, przyjrzałem się słupkowi prowadzącemu, przy którym wisiała kłódka. Poświeciłem na nią latarką. Mimo że biała farba odchodziła płatami i bramę pokryła rdza, kłódka wyglądała na nową. Niklowany pałąk błyszczał, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że ktoś niedawno ją wymienił.

Przyjrzałem się błotnistej drodze prowadzącej do osiedla oddalonego dobre cztery kilometry od Pihona. Zauważyłem na niej ślady opon i butów. Ktoś, kto przemieszczał się tędy na piechotę, musiał się spieszyć, bo jego odcisk obuwia wskazywał poślizgnięcie się na błocie.

Chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do Fortuny, który powinien jeszcze przebywać na terenie zakładu. Dopiero gdy usłyszałem jego zaspany głos, zrozumiałem, że się myliłem.

– Którędy wjeżdżaliśmy na teren w dniu morderstwa?

– Słucham? – dopytał Fortuna, ziewnął.

– Czy ktokolwiek z naszych wyjeżdżał przez białą bramę ewakuacyjną? Jest zaraz przy oczyszczalni i drugim zbiorniku z wodą.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odpowiedział. – Z tego, co wiem, wszyscy przejeżdżali przez główny szlaban. Nie ruszaliśmy bocznych bram. Ale, ej... – Odniosłem wrażenie, że Fortuna drapie się po głowie. Czekałem cierpliwie. – Teraz już pamiętam tę bramę. Podczas opróżniania drugiego zbiornika wjechała tamtędy straż. Na początku nie mogliśmy znaleźć kluczy, bo ten, który dała nam ochrona, nie pasował, więc zostaliśmy zmuszeni, żeby ją przeciąć. Założyliśmy nową kłódkę i oddaliśmy klucze ochronie.

Rozłączyłem się i przykucnąłem. Wiedziałem, że Fortuna mnie skrzyczy za pobudkę po czwartej w nocy, ale miałem to gdzieś. Ktoś mógł tędy przejeżdżać bez wiedzy ochrony w dniu morderstwa, a myśmy wszystko zniszczyli.

Mój telefon zawibrował, byłem przekonany, że Fortuna oddzwania.

– Gdzie ty, do kurwy nędzy, jesteś?! – krzyknął Błona. – Mam ci założyć GPSa, żeby wiedzieć gdzie się szlajasz?!

Szukam cię kilka godzin! Czemu nie odbierasz ode mnie telefonów? Posrało cię?

– Tak, tak, tato, co jest?

– Po pierwsze, Tedi zgarnął dyski z serwerowni w Pihonie i niestety: ku naszemu nieszczęściu okazało się, że ktoś podmienił dyski. Te, które miały nam przybliżyć zdarzenia z chwili morderstwa, zniknęły. Nie wiadomo, co się z nimi stało.

– Ziewnął, powstrzymywałem się przed tym samym. – Ale mam ciekawszą informację. Okazało się, że nasza gwiazda z ochrony rozmawiała z brygadzystką tej nocy. Ciekawe, że nic o tym nie wspomniała.

– Skąd to wiesz? – Ruszyłem w stronę dyżurki.

– Dostaliśmy się wczoraj do służbowej szafki Nyżyńskiej, znaleźliśmy w niej telefon służbowy i ubrania na co dzień, ale nic ciekawego tam nie było. Typowe rzeczy, jakich używa kobieta. – Rozmasowywałem obolały bark. Mogłem jednak nie spać na służbie. – Ale za to poszliśmy śladem tego, czego nie znaleźliśmy, czyli telefonu prywatnego ofiary, który został odłączony z sieci równo o drugiej w nocy. Nyżyńska nie miała go przy sobie, w Pihonie też go nie ma. Domyśliliśmy się z Zakrzewskim, że zabrał go morderca, więc uderzyliśmy do operatora. Plus zechciał z nami współpracować i bardzo szybko wysłał biling jej rozmów. Jak się okazało, nie było to trudne, ponieważ co miesiąc sama go zamawiała. Stamtąd udało nam się wyciągnąć bardzo ciekawe informacje, między innymi jej rozmowę z Misztalewską.

- Co jeszcze udało wam się znaleźć?
- Przyjedź po mnie. Zaserwujemy Misztalewskiej śniadanie na dołku, a w międzyczasie opowiem ci resztę.

JONIZACJA

Przesłuchanie Wiolety do niczego nas nie doprowadziło. Odpowiadała na pytania zdawkowo, zaprzeczyła znajomości z Nyżyńską, jak i rozmowie z ofiarą przez telefon feralnej nocy. Zasłaniała się szokiem oraz tymczasową utratą pamięci. Błona chciał iść po biling, ale go powstrzymałem – wolałem zachować ten dowód na lepszy moment. Pragnąłem, żeby zamotała się we własnych kłamstwach. Po kilku latach służby zauważyłem, że ludzie lepiej współpracują po kilkunastu godzinach na dołku. Dla zasady maglowaliśmy ją pół godziny, aż rozbolała mnie głowa. Zostawiłem ją Błonie i wyszedłem po tabletki przeciwbólowe. Łyknąłem je na korytarzu z wodą z dystrybutora. W tym czasie Błona także stracił cierpliwość i odprowadził Misztalewską do celi.

Usiadłem przy biurku. Zdecydowałem się przejrzeć dowody, które zebrali i udokumentowali technicy. Wbrew pozorom sprawa zaczynała mi ściągać sen z powiek, a nie wiedziałem, jak długo wytrzymam odsypianie na fotelach i w samochodzie. Zanim włączyłem komputer, zadzwonił dyżurny.

– Przyszła do ciebie pani Zielińska, twierdzi, że ma bardzo ważne informacje w sprawie zabójstwa w Pihonie.

– Zielińska? – Upiłem łyk kawy, zastanawiając się nad nazwiskiem.

– Justyna Zielińska, pracuje w Pihonie.

– Już idę. – Odłożyłem słuchawkę.

Pół minuty później biegłem po schodach, ale musiałem się cofnąć po kartę. Więc po około dwóch minutach od telefonu odebrałem Zielińską z recepcji. Dopiero po ujrzeniu jej twarzy przypomniałem sobie, kim była. Widziałem ją w noc morderstwa, kręciła się przy dyrektorce. Zaprosiłem ją na górę.

W pokoju numer 318 zaproponowałem jej kawę. Odmówiła.

– A więc, pani Zielińska, z czym pani do mnie przychodzi? – Zamknąłem drzwi i usiadłem na krześle; zaskrzypiało. Zielińska bawiła się paskiem od torebki, którą trzymała kurczowo na kolanach. Dodatkowo trzęsła nogą, a jej obcas wydawał przy tym głuchy stukot.

– Panie Szadurski... – Odchrząknęła. – Powiedziano mi, że to pan złapał mojego brata i wsadził go za kratki. I...

– Kto pani powiedział? – spytałem, opierając łokcie na stole. Starąłem się nie okazywać zdenerwowania, a jedynie czyste zainteresowanie. Nie wiedziałem, na ile mi się to udaje. – I o kogo chodzi?

– Mój brat mi powiedział, bo dzisiaj pozwolono mu do mnie zadzwonić. Nawet nie wiedziałam, że znowu siedzi. Niestety naczelnik więzienia odmówił mi wizyty i pomyślałam... Pomyślałam, że z panem porozmawiam. Ma poważne kłopoty? Mój brat, Marek Balicki. Jak bardzo jest źle?

Uniosłem brwi. Zrozumiałem, o kogo jej chodzi. O złodzieja z nocy, w której wezwano nas do Pihona. Zastanawiałem się, co jej odpowiedzieć. Mogła mi się przydać w Pihonie, z drugiej strony nie jestem prokuratorem i takie rzeczy mnie nie interesują.

– Niewiele wiem, lepszym rozwiązaniem byłoby skontaktowanie się z prokuratorem Broczkiem. Podejrzewam, że on zajmuje się tą sprawą, a jeśli nie on, to będzie wiedział, kto. Moja rola się skończyła. – Wzruszyłem ramionami. – Proszę wynająć mu dobrego adwokata. To moja rada.

– Ale to tylko złodziej, nie zrobił nikomu krzywdy – szepnęła.
– Wie pan, jestem kierownikiem produkcji w międzynarodowej firmie, mam męża, dwójkę dzieci, nienaganną reputację. Mój brat nie poszedł w moje ślady, życie mu się nie ułożyło z kobietą, ma alimenty do płacenia. To nie jego wina, że nie może dostać dobrze płatnej pracy.

Kiwałem głową. Słyszałem to wiele razy. Nikt nie wini rodziny, nawet jeśli to przestępca. Zawsze winien jest system, okoliczności, była żona lub kuzyn mieszkający za granicą. Poprawiłem się na krześle; znowu zatrzeszczało.

– Nie da się tego złagodzić? – spytała. – Powiedział, że pana pobił. Czy to też jest w zarzutach?

– Tak, pani Zielińska, ale nie z mojej strony. Na akcji było jeszcze kilku kolegów i oni także dodali swoje pięć groszy. W tej chwili, na ile się orientuję, pani brat czeka w areszcie na

rozprawę. Tak jak mówię: proszę zadzwonić do Broczka. Ja mogę obiecać tylko tyle, że w wolnej chwili się temu przyjrzę.

Zauważyłem, jak zmarszczki na czole Zielińskiej znikają. Jej oczy stały się większe, a na ustach zawitał nieśmiały uśmiech. Powiedz ludziom, co chcą usłyszeć, a zdobędziesz ich uwagę i szacunek.

– Może być pani spokojna, postaram się pomóc, jak mogę – pociągnąłem wątek. – A w tym czasie, czy mogłaby mi pani powiedzieć coś o Natalii Nyżyńskiej?

Tym razem zaciskała torebkę, jakby ubijała drożdże. Opuściła wzrok na swoje palce, zajęła się zdrapywaniem resztek lakieru do paznokci z kciuka. Po skroni, spod blond grzywki, spłynęła kropla potu.

– Wie pan, pewnie kiedyś zamieniłam z nią parę słów, ale nic więcej nie wiem. Nie kontaktuję się z brygadzystami, pode mną są kierownicy zmiany i jeszcze koordynator. To z nimi spędzam najwięcej czasu. – Nabrała powietrza w poliki i zamrugła kilkukrotnie powiekami. – Może gdyby porozmawiał pan z kierownikiem zmiany, dowiedziałby się pan więcej. Ja niestety nie mogę sobie skojarzyć nawet jej brygady. Bardzo mi przykro, że nie żyje, ale nie umiem pomóc. Nie znam każdego pracownika w firmie.

Wstała z krzesła i cofnęła się do drzwi.

– Czy mogę już iść? Mam jeszcze jedno spotkanie w terminarzu. – Dostała czkawki. – Przepraszam, że nie mogę

pomóc, ale naprawdę będę wdzięczna za pomoc dla mojego brata.

Odprowadziłem ją bez dalszych pytań. Niepokoila mnie bladość jej skóry. Ewidentnie coś ukrywała, ale nie mogłem jej zatrzymać. Za aresztowanie z przeczucia naczelnik by mnie zawiesił.

Wróciłem do przeglądania dowodów z terenu zakładu. Dołączył do mnie Błona i zajął się czytaniem notatek drugiej grupy śledczej. Ich wnioski różniły się od naszych, skupiali się na osobach przebywających na terenie zakładu w noc morderstwa. W tym na pracowniku ochrony, Wiolecie Misztalewskiej. Dziwiłem się, że jeszcze nikt nas nie ochrzanił za jej zatrzymanie, z drugiej strony notatki zdawały się niekompletne, więc się tym nie przejmowałem.

W trakcie oglądania zdjęć z miejsca zbrodni zadzwonił Fortuna.

– Szady, mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość – zaczął. – Udało nam się przeszukać halę naświetleń, trochę się o to bili, ale w końcu morderstwo to morderstwo, więc mogli sobie pogderać. No i podczas przeszukania odkryłem, w jaki sposób ciało znalazło się w mroźni. – Zrobił przerwę, nie miałem siły go pospieszać. – Otóż ciało na palecie załadowano do kontenera numer dziesięć, machina zrobiła swoje, ciało w kontenerze przeszło przez basen i zostało naświetlone. To potwierdził Kierszka, poprosiłem go, aby sprawdził organy miernikiem i zgadnij, co wyszło... – Chrząknąłem. – Tak,

organy mają znikomą ilość promieniowania, nie zagrażają nam, ale potwierdziła się moja wersja. Poza tym ktoś próbował wyczyścić dowody, ale zrobił to niechlujnie. Znalazłem sporo śladów krwi w kontenerze, jak i na samej taśmie, która przewoziła paletę z ofiarą do mroźni. Wiedziałem, że ktoś próbował to zatuszować, ale cóż... Nie ma ludzi idealnych. Na moje szczęście. Teraz sprawdzamy dalszą drogę palety do mroźni, Suchy jest zadowolony, że pobawi się w śniegu. Tęsknił za zimą. – Zaśmiał się. – Cieszę się, że jestem starszy stażem.

– A sprawdzaliście panel sterujący maszyny do naświetlania?

Przypomniałem sobie rozmowę z Ciesińską, która pokazała mi historię logów. System nie zarejestrował użycia linii do napromieniowywania w nocy z soboty na niedzielę ostatniego weekendu kwietnia.

– Tak, nic nie znaleźliśmy, ale na nasze szczęście spece od tego są na miejscu, mieszkają we Władysławowie w hotelu. Ściągnęliśmy ich tutaj i faktycznie nie znaleźli w historii informacji o użyciu linii, jednak nie wykluczają, że ktoś grzebał w logach i usunął wszelkie ślady. Starają się to odzyskać.

– Super, dziękuję.

– A, Szady... jeszcze ta zła wiadomość – powiedział, zanim się rozłączyłem. – Widziałem, że Broczek dobrze się dogaduje z elitą Pihona. Od jutra pracownicy biura wracają do pracy,

udostępnia im dział administracji do użytku. Co gorsza obiecał im też, że za dwa dni odzyskają cały zakład.

No tak, wcale mnie to nie zdziwiło.

ZASILACZ

Na drugi dzień zasiedliśmy w Pihonie w salce konferencyjnej. Zdecydowaliśmy dowiedzieć się o Natalii Nyżyńskiej jak najwięcej, więc podzieliliśmy się rolami.

Zakrzewski przesłuchiwał zieloną brygadę ofiary, gdy ja z Błoną zajęliśmy się elitą Pihona.

Naprzeciw nas usiadła szczupła blondynka, była zgarbiona i wlepiała wzrok w paznokcie.

Tym razem nie stukwała obcasami ani nie ścisnęła w rękach torebki, ale wyglądała na równie spiętą, co wczoraj.

Wcale jej się nie dziwiłem. Znałem sekret Zielińskiej. Przynajmniej taką miałem nadzieję, że to z tego powodu się denerwowała, a nie z tego, że miała coś wspólnego z morderstwem. Szybko jednak wybiłem sobie ten pomysł z głowy. Miała zaledwie trzydzieści lat i była kobietą sukcesu. Poza tym ważyła nie więcej niż sześćdziesiąt kilo – mogłaby mieć problem z przeniesieniem ciała.

– Co pani wie na temat Natalii Nyżyńskiej? – spytał Błona, przenosząc wzrok z ust na oczy kierowniczkę. – Rozumiem, że rozmawiała już pani z moim partnerem, ale chciałbym się upewnić, że na pewno nic sobie pani nie przypomniała.

– Niestety, ale jej nie znałam – odpowiedziała. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że miała podobny głos do Céline Dion. –

Kierownicy zmiany znają najlepiej swoje brygadzystki. W tej firmie panuje konkretny schemat i każdy koordynuje swoje zadania.

– Czyli chodzi o to, aby w razie jakichkolwiek problemów zwalić winę na tych niżej postawionych. Doskonale to rozumiem. – Błona podrapał się po bujnych brwiach i uśmiechnął się, pokazując bielutkie zęby ze szparą między jedynekami.

– Nie jestem pewna, co to ma do rzeczy, panowie. Polityka firmy nie zabiła tej kobiety. Po prostu radzę się skontaktować z Jarkiem Dettlaffem, który jest odpowiedzialny za zieloną brygadę. On powie wam więcej. – Kompulsywnie tarła nasadą dłoni spodnie. Zastanawiałem się, czy coś z nich strzepywała, czy wycierała o nie pot. – Jarek zajmował się przyjęciem jej na to stanowisko. Zaraz podam jego numer telefonu.

– Nie, dziękuję – wtrącił Błona, kiedy chwyciła telefon. – Poradzimy sobie ze znalezieniem pana Jarka. Może pani już iść i zaprosić do nas pana Bulczaka.

Zielińska wyszła bez słowa.

Słyszeliśmy dźwięk jej obcasów rozchodzący się po korytarzu Pihona.

– Zauważyłeś to, co ja? – spytałem, korzystając z chwili samotności. – Ani razu nie powiedziała imienia ani nazwiska Nyżyńskiej. Używała samych bezokoliczników. Wczoraj, jak wspomniałem o temacie, od razu uciekła. Nie mogę tylko

zrozumieć, dlaczego. Przecież ma alibi na noc morderstwa, nie było jej w ogóle w pobliżu Szelewa. O co tu chodzi?

– Myślisz, że to czyni ją naszą podejrzaną?

– Jeszcze nie zdecydowałem. – Uśmiechnąłem się i wskazałem krzesło przed sobą. – Panie Bulczak, proszę usiąść.

Mężczyzna w okularach, łysy z brodą, usiadł na wskazanym przeze mnie miejscu. Dostrzegłem u niego buty marki Hugo Boss, oraz dżinsy z kolekcji Tommy Hilfiger, koszula i marynarka też wyglądały na markowe. Ciekawe ile mógł zarabiać? Jego atletyczna budowa nie umknęła mojej uwadze.

– Panowie. – Skinął głową.

– Panie Bulczak, pozwoli pan, że przejdę do konkretów – zacząłem. – Mamy kilka pytań o system kamer, jak również o ochronę. Z tego, co ustaliliśmy, jest pan odpowiedzialny za dyżurkę oraz ochronę zakładu, prawda?

Bulczak kiwnął głową na „tak”.

– Świetnie – kontynuowałem. – Chcemy się dowiedzieć, dlaczego monitoring nie został zainstalowany na nowej części budynku.

– Ponieważ tamta część nie została całkowicie oddana, nie widzieliśmy potrzeby zabezpieczenia jej kamerami na czas rozbudowy. Z tego, co się orientuję, rozmawialiście już z Jolą na ten temat, mówiła, że linia wciąż nie działa poprawnie. Poza tym tydzień temu zebrałem kilka ofert od firm, ale to trwa. Nie wykonam tego z dnia na dzień.

– Nie zależy wam na ochronie waszych ludzi i waszego towaru? – zapytałem. – Z tamtej strony można się dostać na teren niezauważonym.

– Mamy ochronę.

– Ochrona chodzi na obchody co trzy godziny. Zresztą kto kontroluje ochroniarzy i ich obchody? Monitorujecie to?

– Oczywiście. Tym zajmuje się nasz szef ochrony, Możyc. Niestety, ja nie mam czasu biegać za ochroną i ich pilnować. – Poprawił się na krześle. – Mam swoją robotę.

– Rozumiem. A czy do pana obowiązków nie należy nadzór nad kamerami? Bo interesuje mnie, dlaczego system kamer nie został reaktywowany po ponownym załączeniu prądu w sobotę? No i chciałbym wiedzieć, kto ma dostęp do serwerowni.

Bulczak poczerwieniał na twarzy – niech się wije robaczek w swojej skorupce.

– W soboty nie pracuję – odezwał się praktycznie szeptem. – A do serwerowni ma dostęp każdy technik obecny na zmianie, ochrona także, bo ma klucze i zna kod do alarmu. Uprzedzę pytanie: nasi informatycy zrobili jeden ogólny kod do serwerowni, a alarmy zainstalowaliśmy przeciwko szkodnikom, mamy ich tutaj trochę, przegryzały nam kable. Dźwięk ma ich odstraszać, a nie chronić wejścia przed naszymi ludźmi.

Przyglądałem się, jak Bulczak opuszcza głowę. Błona w tym czasie uruchomił grę na telefonie. Dźwięki aplikacji *Nibblers*

mnie bawiły.

– Czy to normalne, że w czasie przesłuchania policjant gra? – spytał Bulczak.

– To nie przesłuchanie, a zwyczajna rozmowa. Chcemy ustalić fakty, aby zrozumieć, dlaczego brakuje nam cennych informacji. Nie jest pan naszym podejrzanym.

Uwielbiałem mówić to ludziom. Działo za każdym razem – tym: także. Bulczak się rozluźnił i wypuścił powietrze z płuc w taki sposób, jakby wskoczył na dziurawy ponton.

– Rozumiem. – Zerknął na zegarek marki Roamer. Mimowolnie ponownie zastanowiły mnie tutejsze zarobki. – Tak jak wspomniałem: w soboty nie pracuję, więc tutejsze prace nadzoruje brygadzysta działu technicznego oraz jeden z naszych inżynierów.

– Super, prosimy ich nazwiska oraz numery telefonów. Chcielibyśmy z nimi porozmawiać.

Zmęczyła mnie ta psychologia. Wiele razy słyszałem, jak działają takie firmy, ale nie chciało mi się w to wierzyć. Bulczak podał nazwiska i numery, Błona zapisał je w notatniku.

– Proszę mi powiedzieć, czy kontroluje pan pana Możyca? Rozumiem, że szef ochrony ma za zadanie kontrolować swoich pracowników, jednak często zdarza się tak, że są zasypani robotą papierkową. Czy sprawuje pan nad nimi dodatkową pieczę?

– Oczywiście. W razie czego mamy kamery, które możemy w każdej chwili podejrzeć i skontrolować działanie naszych ochroniarzy.

– No dobrze, ale ustaliliśmy, że od soboty kamery nie działały. Jestem przekonany, że takie sytuacje zdarzały się częściej. Czy w jakikolwiek sposób ich pan kontroluje? Albo inaczej zadam pytanie: czy nadzoruje pan kontrole Możyca?

– Czy ma to jakieś znaczenie dla śledztwa? – Bulczak poprawił kołnierzyk koszuli. Chyba się pocił. – Już powiedziałem, że nie mam czasu biegać za ochroną. Mam...

– Swoje obowiązki. Tak, wiem. – Pokiwałem głową. Sam nie wiedziałem, dlaczego tak drażyłem temat. – A czy ma pan jakąkolwiek wiedzę o romansach w firmie? A ściślej chodzi mi o romanse między pracownikami ochrony a pracownikami Pihona.

Bulczak zamarł. Jego łysa głowa świeciła się od potu jak wypolerowany gres szklwiony.

– Nic nie wiem na temat romansów. Nie interesuję się tym.

– Rozumiem. Niczym pan się nie interesuje w tej firmie. – Odetchnąłem. – A teraz ostatnie pytanie: gdzie pan był w sobotę w nocy?

– Słucham? – Oczy Bulczaka się powiększyły. – Przecież przed chwilą powiedział pan, że nie jestem podejrzany.

– To standardowe pytanie. Proszę na nie odpowiedzieć.

– Byłem w domu, z siostrą. Przyjechała do mnie na urlop. – Bulczak wstał. – Czy to wszystko? Mogę odejść?

Zgodziliśmy się. W tej chwili nie mieliśmy więcej pytań.

Błona schował telefon do kurtki.

– Wierzymy mu?

– Ani trochę – odpowiedziałem. – Kto teraz?

NIETYKALNA

Na niebie ciągnęły się gęste chmury, wiatr wezbrał na sile i wyginał młode drzewa, które rosły wkoło mojego domu. Gdzie ta wiosna? Włożyłem kapsułkę do ekspresu i przesunąłem wajchę. Ekspres prychnął, a następnie wylał kawę. Cukier na dnie filiżanki zabarwił się na brązowo. W tym czasie łyknąłem przeciwbólowe, ręka wyjątkowo mi doskwierała. Z zaparzoną kawą wyszedłem na balkon. Nie zważyłem na niską temperaturę, po prostu tego potrzebowałem.

Usiadłem na leżaku, nogi oparłem na drewnianej balustradzie. Z tej strony miałem dobry widok na zatokę i półwysep helski. Żałowałem tylko, że do kawy nie zapalę. Po co ja to rzuciłem...?

Inżynier Radzbanek, obecny podczas wyłączenia prądu i napraw na terenie obiektu, stwierdził, że przepalił się zasilacz i nie sposób było go kupić w czasie weekendu. W wyniku tego oprócz kamer padły również telefony stacjonarne. Brygadzista działu technicznego potwierdził tę wersję. Dla nich priorytetem było przywrócenie telefonów stacjonarnych do poniedziałku. Poza tym nie wiadomo, kto podmienił dyski, faktycznie użyto hasła do alarmu, ale ogólnego, więc do niczego nas to nie doprowadziło.

Wkurzało mnie to. W przypadku morderstwa – kamery mogły okazać się kluczowe, pomóc nam zamknąć tę sprawę w ciągu kilku godzin. Tymczasem stanęliśmy w miejscu. Patolog sądowy wciąż się nie odzywał. Pewnie był zawałony trupami z wypadków samochodowych, które w czasie weekendu majowego stanowiły codzienność. Nie zazdrościłem mu.

Upiłem łyk espresso intenso. Mój spokój zakłócił ryk silnika, później trzaśnięcie drzwiami. Nasłuchiwałem. Zbliżała się moja życiowa zmora, bez której nie mogłem żyć. Przebiegła przez furtkę, piszczącą i rdzewiejącą. Po trzech minutach stanęła obok mnie.

– Słyszałam, że prowadzisz morderstwo w Pihonie! – krzyknęła Karolina. Dobrze, że mieszkaliśmy na obrzeżach Pucka, wśród pól i lasów. – Opowiadaj! – Usiadła obok mnie na krześle ogrodowym i klepnęła mnie w udo. – No mów, mów. Chcę mieć wyłączność!

– Prowadzisz blog internetowy. – Zmrużyłem oczy, pijąc kawę. Jej smak znacznie się pogorszył. – I dobrze wiesz, że nie mogę się dzielić takimi informacjami, nawet z tobą. Poza tym... – Westchnąłem. – To tylko blog.

– Nie obrażaj mojego bloga! Ma trzydzieści tysięcy followersów. Jeszcze kilka dni i pewnie zaproszą mnie do telewizji! Ze wszystkimi sławnymi blogerami i youtuberami się tak dzieje. O, mam pomysł! Może nagramy wywiad? Opowiesz coś o morderstwach! Na youtube mam jeszcze więcej subów! – Jej oczy błyszczały z podniecenia. – Czterdzieści pięć tysięcy!

Rozumiesz?! Nie wiem skąd to się wzięło. – Zaśmiała się. – No dobra, wiem, po prostu jestem cudowna.

– Widzę, że jak zwykle nie dociera do ciebie, co mówię. Nie waż się pisać nic na temat tej sprawy. Lepiej już zajmij się sprzątnięciem garażu i kuchni.

– Mogę ogarnąć cały dom, ale daj mi coś w zamian!

– Karolina... – ostrzegłem ją tonem, którym dawałem reprimendy. Zauważyłem, że od momentu zaginięcia rodziców nie potrafiłem się z nią kłócić. Za każdym razem widziałem w niej matkę. Miała jej oczy i nos. A to uruchamiało u mnie tę stronę, do jakiej nieczęsto się przyznawałem. Kochałem siostrę, więc nic nie mówiłem; wiedziałem, że równie mocno przeżywała stratę mamy oraz taty.

Patrzyła gdzieś w horyzont, więc zrobiłem to samo.

Przed zaginięciem rodziców mieszkanie na uboczu mnie denerwowało. Spokojne otoczenie – dom daleko od centrum, bez sklepów w pobliżu, plus częste braki w dostawach prądu, internetu i telewizji. W zimę nie dojeżdżały do nas pługi, tak że musiałem odśnieżać w tę i w tę ręcznie, żeby dojechać do pracy. Teraz przed naszym domem wyłożono drogę rowerową i większość z tych problemów zniknęła.

– Miałam nadzieję, że będziesz mi pomagał – odezwała się poważnie. Jej głos zakłócił mi wsłuchiwanie się w chlup wody w zatoce objijającej się rytmicznie o kamienie na plaży. – Dobrze wiesz, że się staram.

– A nie pomagam? Opłacam ten dom, chociaż druga połowa jest twoja i powinnaś się dokładać. Ze względu na studia nic od ciebie nie biorę. Kupiłem ci samochód, który też opłacam. Nierzadko daję ci pieniądze na żarcie. Masz źle? – Zerknąłem na nią urażony jej przytykiem. – Mam tylko pensję policjanta. Nie stać mnie na ekstrawagancję.

– Nie o to chodzi. Mam brata policjanta, a o wszystkim dowiaduję się ostatnia.

– Chcesz, żeby prokuratura dobrała mi się do tyłka? Mówię ci tyle, ile mogę. Resztę przekazuje do informacji publicznej rzecznik prasowy.

– A nie możesz mnie z nią zapoznać?

Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym spotkaniu. Rzecznikiem prasowym była kobieta tak bezwzględna, opryskliwa, rozpustna i zawistna, że wolałbym dać sobie rękę uciąć, niż spędzić z nią dziesięć minut. A gdyby była ostatnią kobietą na świecie i mielibyśmy uratować ludzkość, uciałbym sobie kutasa – byleby jej nie tykać.

– To czarownica – odpowiedziałem i spiłem ostatni łyk z filizanki. Odstawiłem ją na podłogę. – I nie przejmuj się, młoda. To tylko zbrodnie. Nie ma sensu na nich zarabiać. Z tego, co widzę, radzisz sobie beze mnie. Trzydzieści tysięcy czytelników? I czterdzieści pięć tysięcy widzów? – Poklepałem ją po ramieniu. – Moje gratulacje. Jesteś fejmem.

Roześmialiśmy się. Uwielbiałem słyszeć jej śmiech, bo od czasu zaginięcia rodziców bardzo rzadko radość gościła w

naszym domu. Przyznałem przed sobą, że sześć lat temu sam przechodziłem najmroczniejszy czas w swoim życiu.

– Myślisz, że nic im nie jest? – Wzrokiem śledziła rowerzystę z odblaskową kamizelką, którego niemal przewrócił silniejszy podmuch wiatru. – Myślisz, że za nami tęsknią? Że o nas myśla?

Broniłem się przed tym tematem. Na samą myśl o wypowiedzeniu tych słów – zatykało mnie. Ślina cofała się do przełyku razem z zawartością żołądka i ciężiej było mi oddychać. Do Karoliny wracało to częściej.

Westchnąłem ciężko. Teraz jeszcze bardziej przydałby mi się papieros. Albo cała paczka.

Karolina kończyła w tym roku dwadzieścia dwa lata, dzieliła nas dekada doświadczeń. W czasie tej tragedii była w wieku, w którym potrzebowała matki, damskiego wzorca do naśladowania. Położyłem rękę na jej plecach. Brakowało mi odpowiedzi. Poświęciłem na poszukiwania rodziców sześć lat.

– Posprzątaj kuchnię, dobra? A ja zajmę się garażem.

Wstałem w tym samym momencie, co przyszła wiadomość od Błony. Mieli wstępne wyniki autopsji, z tego względu naczelnik zwołał spotkanie z naszą grupą. Ucieszyłem się. I z postępu w sprawie, i z ucieczki przed siostrą. Widziałem po niej, że chciała kontynuować temat, ale kiedy pocałowałem ją w czoło, złagodniała.

Zabrałem z wieszaka kurtkę i pojechałem na komendę.

FLAGOWIEC

O dwunastej słońce przebijało się przez kraty policyjnych okien i świeciło w oczy. Zamierzałem zmienić miejsce, ale za późno się zdecydowałem. Do środka weszli naczelnik Wróbel, lekarz medycyny sądowej Kierszka oraz zastępca komendanta Niziołek. Nie zamierzałem im się narażać, tym bardziej, że naczelnik usiadł obok mnie.

Oprócz nas na salce konferencyjnej znajdowali się także Błona, Zakrzewski, trzech techników, w tym Suchy i Fortuna, oraz dwóch funkcjonariuszy, którzy zostali przypisani do naszej grupy operacyjno-śledczej jako pomoc w przynieś, podaj, pozamiataj. W pomieszczeniu z zamkniętymi drzwiami i oknami rozniosła się mieszanka zapachów: chloru, potu, ostrych perfum Niziołka, cebuli oraz tanich papierosów, co wywołało u mnie wstręt. Pochyliłem się, aby wciągnąć tabakę. Już po pierwszym zażyciu odczułem ulgę.

Jako pierwszy zabrał głos Niziołek. Opowiedział o priorytetach i podkreślił wagę morderstwa w Pihonie. Najwyraźniej moc Francuzów stopniowo do niego docierała, albo do gdańskiej komendy. Media nie przestały ani na sekundę buczeć o tej sprawie. Nawet sławni youtuberzy tworzyli filmiki w nieprawdopodobnym tempie. Po pięciu

minutach skończył paplać i oddał głos Wróblowi, nie racząc nas dłużej swoją obecnością.

– Zakrzewski – zaczął Wróbel. – Wyciągnąłeś coś nowego od zdruzgotanego wdowca?

– Niestety. Facet jest ciężki do rozgryzienia. Przed kamerami zgrywa pokrzywdzonego, ale widzę, że cieszy go ta atencja wokół niego i jego rodziny. Kiedy zapytałem o jego występ przed odnalezieniem ciała, stwierdził, że źle mnie zrozumiał. Nie wiem, jak można pomylić pytanie o miejsce pobytu żony ze stwierdzeniem, że umarła. Nic nowego nam nie powiedział, a ja nie zamierzam z nim więcej rozmawiać. Oberwałem już za to. Poza tym koleś ma alibi na czas morderstwa.

– Szady, czy wiadomo, jak ofiara znalazła się na terenie zakładu?

– Po otrzymaniu informacji od Szadego – wtrącił Suchy – sprawdziłem ogrodzenie na tyłach zakładu. Znalazłem tam kilka śladów biologicznych, pasowały do DNA Nyżyńskiej. Wczoraj otrzymaliśmy potwierdzenie z laboratorium. Musiała przeskakiwać przez płot.

– Później weszła do środka przez uchylone drzwi ewakuacyjne – dodałem. – Zauważyliśmy, że spora część zakładu jest otwarta podczas przestoju.

Wróbel pokiwał głową, ale minę wciąż miał niezadowoloną. Stary buc wiecznie chodził zniesmaczony.

Gdy na niego patrzyłem, wyobrażałem sobie pawiana, którego pozbawiono możliwości prokreacji, co mogło nastąpić

trzy albo dziesięć lat temu. Wątpiłem, by rzeczywistość daleko odbiegała od mojej wyobraźni.

– Fortuna.

– Na miejscu zbrodni zabezpieczyliśmy bardzo dużo śladów. Mnóstwo odcisków butów, większość pasujących do obuwia pracowników budowlanych. Wciąż jednak pracujemy nad odlewami. To samo tyczy się odcisków palców. Na miejscu znaleźliśmy ich ponad trzysta pięćdziesiąt. Część ludzi wciąż nad tym pracuje, ale z góry widać, że z tym daleko nie znajdziemy.

– Mogą się przydać w późniejszym procesie, więc róbcie swoje. – Naczelnik podrapał się po wystającym brzuchu.

– Nawet jeśli dopasujemy je do odpowiednich osób, to nie udowodnimy, w jakim momencie tam byli – dopowiedział Fortuna. – Nie robiłbym sobie z tego wielkich nadziei.

– Róbcie swoje, może morderca sam pęknie.

– Nie sędzę, szefie – odezwałem się, czym przykułem uwagę zebranych. – Widać, że morderstwa dokonano w afekcie, nie było planowane. Raczej myślę, że ktoś skorzystał z okazji albo coś się stało, i wyszło jak wyszło. Ktokolwiek zamordował, będzie trzymał to dla siebie, co widać po sposobie jego działania.

– A ty co? Bawisz się w profilerę? – zakpił Zakrzewski, co po mnie spłynęło. Oddam mu za ten przytyk na ringu.

– Niezbyt. Policjant z doświadczeniem widzi pewne rzeczy od razu – odparowałem i tak. Nie mogłem się powstrzymać. –

Gdybyś siedział więcej w terenie, zauważyłbyś to samo. Ofiara została zamordowana na terenie otwartym, ogólnodostępnym. Gdyby morderca planował zabić, na pewno wybrałby spokojniejsze miejsce, bez tyłu okien i drzwi. Mimo że na zakładzie przebywało mało osób, to i tak ktoś mógł się zawieruszyć. Przecież ludzie są ciekawi, prawda? Hala o-dwa została wybudowana na nowym sprzęcie, na innych sterownikach, ktoś ciekawy mógłby chcieć zobaczyć postęp. Dodatkowo w piwnicy znajduje się jedna z dwóch hal do promieniowania żywności w Polsce, która w porównaniu ze starą halą jest flagowcem w swojej kategorii. Ludzie są ciekawi, nawet ktoś z działu technicznego mógłby tam wejść. A to ryzykowne dla mordercy. – Zerknąłem na Wróbla, zyskałem jego zainteresowanie, więc pociągnąłem: – Poza tym fakt, że ciało zostało zafoliowane w niechlujny sposób, nasuwa na myśl pośpiech. Najwyraźniej morderca nie przemyślał do końca, co zrobić z ciałem i spanikował. Po ułożeniu ciała na palecie wysłał je do chłodni przez halę napromieniowania, która już działała od miesiąca, a to też bardzo ryzykowne zagranie. Można powiedzieć, że fartowne. Wiecie, jakie ryzyko istniało, że ktoś to zobaczy? Albo usłyszy? Ktokolwiek to był, działał nierozmyślnie, ale miał życiowego fuksa. Nic nie wskazuje na to, że zostało to zaplanowane, jednak...

– Po morderstwie zachował zimną krew – skomentował Zakrzewski.

– Właśnie chcę do tego nawiązać. Ktoś podmienił i wyniósł dyski twarde z serwerowni, a więc musiał działać naprawdę szybko. Z drugiej strony zastanawiam się, czy zrobiła to jedna osoba. W końcu pozbycie się ciała, podmienienie dysków i zatarcie śladów zajmuje czas. A paleta wjechała na mroźnię o pierwszej trzydzieści, chwilę potem na hali znalazła się ochroniarka, Misztalewska. Trochę dużo roboty jak na jedną osobę, prawda?

Nastąpiła chwila ciszy. Na parapecie usiadł gołąb, chwilę mi się przyglądał, poruszając główką na boki.

– Nie wpadłbym na to, gdyby nie to, że ktoś celowo zaprogramował suwnicę w magazynie logistyki tak, żeby wycofywała palety przygotowane na załadunek. W ten sposób morderca chciał zakryć ciało przed pracownikami, którzy zajmowali się renowacją szyn na starej chłodni.

– Fajnie, ale widzę dziurę w twoim rozumowaniu, Szady. Paleta z ciałem została przeniesiona w niedzielę, a wściekłe palety, które ciebie zaatakowały, uruchomiły się dobę później – zauważył Zakrzewski.

Znowu wzrok wszystkich skupił się na mnie.

– Tak. Też tego nie rozumiałem, ale po rozmowie z Gwizdunem mi się rozjaśniło. Ostatnie logowanie do systemu nastąpiło o pierwszej trzydzieści jeden w noc morderstwa. Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że morderca w wyniku pośpiechu popełnił błąd i źle ustawił datę. A ja znalazłem się po prostu w złym miejscu w nieodpowiednim

czasie. Przynajmniej tak na to patrzyłem do czasu, aż poprosiłem Gwizduna, aby pokazał mi wszystkie zadania, jakie zaprogramowano na ten dzień. Paleta z Nyżyńską miała wyjechać pod rampę numer pięć, gotowa do załadowania. Ktoś chciał w ten sposób zrobić zamieszanie i zwinąć paletę z naszym trupem.

– To całkiem prawdopodobne – skomentował Kierszka. – Twojej tezie o morderstwie w afekcie sprzyjają ślady na ciele. Ofierze zadano dziewięć ciosów w plecy oraz dziesięć ciosów w brzuch i okolice piersi. – Przyglądał się swoim butom. – Ciosy zadano tępym narzędziem, ale z taką siłą, że ciało przypomina podziurawiony balon z wodą. – Chrząknął. – Ofiara miała bardzo silną wolę walki, co widać między innymi po poderżniętym gardle. Zamrożona została po śmierci. Oczywiście zostawiam wam pełen raport do wglądu, wraz z dokumentacją zdjęciową.

– Czy na miejscu zbrodni znaleziono przedmioty, które moglibyśmy dopasować do ran? – Wróbel spojrzął po zebranych. – Nic nie znaleziono?

– Wciąż przeszukujemy teren, naczelniku – odpowiedział Fortuna. – Ta firma to istny labirynt. Staramy się przeszukać każdy kąt. Ale od odnalezienia zakrwawionego kontenera, w którym przeniesiono ciało ofiary, nic nie znaleźliśmy. Szukamy dalej. Nawet w tym momencie siedzi tam ekipa. Lada chwila powinniśmy skończyć i oddamy teren do dyspozycji firmy.

– A co z paletą? Znaleźliście na niej jakieś ślady?

– Mnóstwo, ale w większości zanieczyszczone. Poza tym nie możemy jednoznacznie stwierdzić, do kogo należały te ślady i czy cokolwiek miały wspólnego z morderstwem. Jak dobrze wiemy, to palety euro są wielokrotnego użytku, może ich dotyczyć mnóstwo osób, od magazynierów po pracowników sklepu, czy pracowników hali o-dwa, którzy ustawiają na paletach kartony z towarem. Ta sprawa jest bardzo skomplikowana, nie da się tutaj stwierdzić czegoś jednoznacznie.

– Ile waży taka paleta? – spytałem.

– Około dwadzieścia pięć kilogramów – odpowiedział Fortuna. – A czemu pytasz?

– A ile ważyła ofiara?

– Sześćdziesiąt pięć kilo – odpowiedział Kierszka. – Szady, do czego zmierzasz?

– Czyli razem z paletą ofiara ważyłaby dziewięćdziesiąt kilogramów. Albo zabił ją superkoks, albo co najmniej dwóch ludzi. Fortuna, czy znaleźliście ślady świadczące o tym, że ktokolwiek mógłby przewieźć ciało wózkiem widłowym?

– Nie, ale przyjrzymy się temu jeszcze raz.

– Więc szukamy dalej. – Naczelnik klasnął. – Dzisiaj o trzynastej mam konferencję prasową z Broczkiem, będziemy się starać załagodzić sytuację w mediach. Nasza rzeczniczka prasowa się o to postarała. Przez męża ofiary i świadków

obecnych na terenie w czasie morderstwa mamy prawdziwe piekło.

– A fakt, że biura zostały udostępnione do pracy, nam sprzyja?

– Biura zostały dokładnie przeszukane, reszta terenu jest zamknięta i strzeżona. Nie rozumiem, w czym problem, Błoński. – Do pokoju wszedł Broczek. – Nie jestem takim amatorem jak ty. Nie mamy podstaw, aby zamykać cały zakład poza miejscem zdarzenia i miejscem oględzin. Poza tym mam nadzieję, że spłoszę mordercę. Gdyby narzędzie zbrodni zostało na terenie, to morderca chciałby je odzyskać, czyż nie?

– Nie zapominaj o mediach – odezwał się Wróbel. – Jak wywiesz tanią prowokację, to nas oszkalują. Myślisz, że to niszowy kryminał z głupkami biegającymi z bronią? – Machnął ręką. – Zresztą nieważne. Gotowy na konferencję prasową?

– O to się nie martw. – Prokurator się uśmiechnął. Jego białe zęby dobrze komponowały się z siwymi włosami. – Fortuna, przyspiesz przeszukanie. Ty już wiesz, jak ludzi odpowiednio nastroić do pracy. Musimy się pospieszyć, bo Gdańsk naciska. Zjawili się dzisiaj u nas francuscy adwokaci i robią zadymę. – Wyobrażałem sobie, że z jego podwójnego podbródka zaraz wykluje się piskłę. – Szadurski i Błoński, czekajcie na siostrę ofiary i róbcie to, co robiliście dotychczas. Zakrzewski, zajmij się czymś, bylebyś więcej nie podchodził do Nyżyńskiego. – Poprawił marynarkę. – Do roboty, panowie!

SEKRET

Podałem Wiolecie Misztalewskiej kubki, jeden z wodą i drugi z kawą. Dziewczyna, jak na zatrzymaną w sprawie morderstwa, zgrywała rozluźnioną. Nie garbiła się, nie trzęsła nogami, nie tarła rękoma, nie pocila się ani nie uciekała wzrokiem. Patrzyła na kubki z neutralnym wyrazem twarzy. Nie umiałem stwierdzić, czy mój plan z przytrzymaniem ją na dołku zadziałał.

W pokoju przesłuchań panował spokój. Za duży spokój.

– Dlaczego nas okłamałaś? – spytałem.

Misztalewska spojrzała na mnie zielonymi oczami. Błona oparł stopę o ścianę.

– W związku z czym? – Przekrzywiła głowę. – Powinnam prosić o adwokata?

– To nie Ameryka – wyprzedził mnie Błona.

– Nic nie zrobiłam. Ale domyślam się, że mi nie uwierzycie, bo jasne, że gdybym zabiła, to i tak bym się nie przyznała. Nie jesteście idiotami. Poza tym macie jakiś cel w przetrzymywaniu mnie w tej śmierdzącej celi. Więc w związku z czym was okłamałam?

– Sama prosiłaś o nocną zmianę. Dlaczego?

– Te przesłuchania są poufne? – chciała się upewnić.

Odpowiedziałem skinieniem głowy. Zdało się, że jej barki opadły niżej.

– W czasie przestoju na terenie przebywa bardzo mało osób. Mój... – Przygryzła na moment dolną wargę i spojrzała w sufit.

– Można powiedzieć, że mój chłopak pracuje w dziale technicznym. Chcieliśmy zaszaleć i w końcu nadarzyła się okazja. Po prostu miałam ochotę bzyknać się z nim w gabinecie dyrektorki.

– Dlatego nie było ciebie tak długo?

– Tak. Wiedziałam, że kamery nie działają. Zorientowałam się po braku czerwonych diod. Żał było nie skorzystać z takiej okazji.

– Jak to nie działały? Nie było nawet podglądu?

– Nie. To przywrócili później, ale nie wiem, kiedy dokładnie.

Więc każdy mógł się zorientować po diodach, że kamery nie działają. Niepotrzebna była do tego osoba wybitnie mądra i błyskotliwa.

Odetchnąłem.

Zresztą nie wiedziałem, po co zajmowałem sobie tym głowę – nie mieliśmy dysków twardych, aby potwierdzić tę wersję.

– Podaj nam imię i nazwisko technicznego.

Upiła kilka łyków wody.

Dziwiło mnie, że żaden z technicznych nie wspomniał o potajemnej schadzce z Misztalewską. A przesłuchaliśmy wszystkich.

– Musicie mi obiecać, że nasz romans nie wypłynie. Zrozumcie, panowie: wyrzucają mnie z pracy na zbity pysk za romansowanie z pracownikiem Pihona. Regulamin jest bardzo zaostrzony, a dyrektorka jest walnięta.

– Ten techniczny to twoje alibi.

– A warunki dyktujemy my – odpowiedział Błona.

W szybę wenecką ktoś zapukał. Błona wyszedł sprawdzić, o co chodzi.

– Florian Wójcik – szepnęła. – Tylko naprawdę proszę o dyskrecję. To delikatna sprawa. Florian ma żonę.

– Rozumiem – odparłem, choć nie rozumiałem. – Wszystko rozumiem, ale chciałbym znać odpowiedź na jedno pytanie. Kamery padły w sobotę o czternastej, a ty zamieniłaś się koło jedenastej. Skąd wiedziałaś, że kamery nie będą działać i będziesz mogła swobodnie kopulować z kochankiem?

– Nie wiedziałam. W gabinecie dyrektorki i tak nie ma kamer. Droga do nich też jest pozbawiona monitoringu. Jedna kamera patrzy na główne wejście, i to wszystko. A do biur można się dostać jeszcze z magazynu i z drugiego korytarza.

Błona wrócił z kartkami papieru. Położył je na blacie.

– W dzień morderstwa rozmawiałaś z Nyżyńską. O, tu – wskazał palcem – widzisz? Chcemy wiedzieć bez owijania w bawełnę, dlaczego z nią gadałaś? I nie mów mi o zanikach pamięci, bo mnie szlag trafi.

– To? – Patrzyła na wykaz rozmów. – Włączył się alarm na dyżurce, chciałam sprawdzić, czy nic się nie dzieje, musiałam

zadzwoić do brygadzysty.

– Świetnie, widzę, że jesteś dobrze wyszkolona –
dopowiedziałem. – Ale teraz powiedz prawdę. Nie uwierzę, że
dzwoniłaś do Nyżyńskiej na telefon prywatny w sprawie
alarmu. Nie rozumiem też, dlaczego nam nie powiedziałaś o
tym, że ją znasz i że była tego dnia w zakładzie.
Oszczędziłabyś nam sporo czasu.

– Nie wiem, o czym mówicie, panowie, ja tylko dzwoniłam do
niej o alarm i...

– Przestań kłamać! – Błona uderzył w stół, aż Misztalewska
podskoczyła. – Wiemy, że kłamiesz! Nabijasz nas w butelkę od
samego początku! Przestań utrudniać śledztwo, bo cela stanie
się twoim przyjacielem na dłuższy czas! I mówiąc „na dłuższy
czas”, nie mam na myśli kilku tygodni, więc zrób sobie
przysługę i mów prawdę!

– Ja nic nie wiem, nic nie rozumiem! Panie Szadurski, ja nie
wiem, o czym mówicie. Owszem, zamieniłam się, ale nikogo
nie skrzywdziłam. I nie wiedziałam, że ona tam jest! Nie
miałam pojęcia! Myślałam, że siedzi w domu, tak mi
powiedziała, nie myślcie, że ją zabiłam!

Uniosłem brwi i odchyliłem się na krześle.

– A więc rozmawialiście? Co to za zabawa, pani Wioleto?
Zapomina pani, że to poważna sprawa? – pytał Błona. –
Mówimy tu o brutalnym morderstwie!

– Znałam Natalię, ale nie miałam nic wspólnego z jej
śmiercią! Tak, rozmawiałam z nią tej nocy i kilka razy

wcześniej, ale nie wiedziałam, że jest w Pihonie. Nie miałam pojęcia! I rozmawialiśmy o sprawach prywatnych, z których nie muszę się spowiadać!

– Pomyliła się pani, pani Wioletto. W sprawie o morderstwo lepiej mówić wszystko, nawet najbardziej wstydlive szczegóły, bo inaczej możemy coś opacznie zrozumieć, i bęc! – Pstryknął palcami. – Siedzi pani w pace za morderstwo.

– Proszę przestać mi grozić! Przecież powiedziałam, że nie miałam o niczym pojęcia! Nie wiedziałam, że krew należy do niej! Dopiero później... Później się dowiedziałam z telewizji.

– Ale nas pani okłamywała i tak. Udawała pani, że jej nie zna. Dlaczego?

– Panie Szadurski, ja chcę adwokata. Nic więcej nie powiem, bo myślicie, że ją zamordowałam!

– Dziwi się nam pani? Ciągle zmienia pani wersję. Nie zna jej pani, później dzwoni pani o alarm, a jeszcze później rozmawia pani z nią prywatnie, ale nie wie, że ona jest w zakładzie. Co pani ukrywa?

– Powiedziałam, chcę porozmawiać z adwokatem. Nic więcej nie powiem.

Zadaliśmy jeszcze kilka pytań, ale na nic się zdały. Misztalewska zamieniła się w kamień.

SZUKAJ W LUDZIACH

Planowany lot siostry Nyżyńskiej, Weroniki Guzickiej, został przeniesiony na następny dzień ze względu na złe warunki atmosferyczne. Powiadomiła nas o tym zaraz po przeczytaniu informacji na tablicy, więc nie traciliśmy czasu na bierne siedzenie. Pojechałem z Błoną do Pihona sprawdzić, jak szły przeszukania.

Na skrzyżowaniu w Pucku powstał korek ze względu na majówkę. Nie zazdrościłem kolegom z drogówki i w pewnym sensie, choć brzmi to samolubnie i złowieszczo, cieszyłem się ze śmierci Nyżyńskiej. Przynajmniej ominęła mnie „zabawa” ze złodziejami, pobiciami, wypadkami i zaginięciami – żniwami długiego weekendu... Zapaliło się zielone światło. Skręciliśmy w kierunku Władysławowa.

Błona przeklinał niedzielnego kierowcę przed nami, a ja w tym czasie obserwowałem wirujące komary, które z mojej perspektywy wyglądały jak małe tornada. Unosiły się nad drogą rowerową i polami. Jeszcze godzina i rozproszą się w różne strony, staną się niewidoczne. Tak jak to, co przegapiałem... Czego nie dostrzegalem?

Analizowałem sytuację. Ochrona zawiadomiła policję o odnalezieniu krwi, przyjechaliśmy na miejsce i czekała już na nas dyrekcja Pihona. Fortuna ze swoimi ludźmi sprawdził

halę; przeszukano i przesłuchano ludzi obecnych na terenie zakładu, odkryto tożsamość zaginionej. Przymknąłem oczy, wsłuchując się w wiatr dostający się do środka przez otwartą szybę. Brakowało podglądu z kamer, nikt nic nie widział. Pakt milczenia. Z pomocą kierownika magazynu odkryliśmy paletę z ofiarą.

Wyjechaliśmy z Gnieźdżewa. Poprosiłem Błone, aby skręcił pod wiatraki. Zrobił, co chciałem. Wysiadłem, przysiadłem na masce i zabrałem mu papierosa. Błona usiadł na schodach przy maszcie wiatraka. Oprócz hałasu silników słyszeliśmy szum łopat wirnika i pracę turbin.

– Też cię gryzie ta sprawa, prawda? – spytał Błona bardziej papierosa niż mnie. – Nie wiadomo, o co w tym chodzi.

Słońce zachodziło. Wciągnąłem powietrze nosem. Poczulem zapach wsi, zaleciało łąjnem z pól. Nie przeszkadzało mi to, w dzieciństwie spędzałem każde wakacje na gospodarstwie dziadków.

– Nie sądzę, że znajdziemy narzędzie zbrodni – dodał Błona, oglądając podeszwy butów. – Pewnie go tam dawno nie ma.

– Szukanie dowodów zostawmy technikom. Niech oni się martwią o metal, krew, odciski. Zajmijmy się ludźmi.

– Łatwiej mówić, gorzej zrobić. Dobrze wiesz, że Nyżyńska przeskoczyła przez płot, a nasi mordercy mogli mieć klucz do bramy ewakuacyjnej. Wyjazd bez wiedzy ochrony nie stanowił problemu. Śladów nie ma, bo rozjechała je straż. Adwokat Misztalewskiej polecił jej milczenie i wciąż nie możemy

skontaktować się z Ciesińskim, który tamtej nocy również rozmawiał z Nyżyńską. Zresztą gadałem z Broczkiem i stwierdził, że Ciesiński to słaby pomysł, dopiero jutro albo pojutrze wraca z Warszawy, jest na jakimś szkoleniu. Potem możemy z nim porozmawiać, pod warunkiem, że nie zrobimy zamętu, bo to mąż dyrektorki i nie chcemy, żeby Francuzi dokopali nam się do tyłków. Już w nas uderzają za Zakrzewskiego i jego wyczyn z mężem ofiary. Nie mamy kamer. Logi z panelu sterowania w hali naświetlania zniknęły. Szady, ja już nie wiem, czego my szukamy. Na co liczymy?

– Szukajmy w ludziach – odparłem. – Zgodziliście się ze mną, że to morderstwo w afekcie, a więc morderca mógł nie być przygotowany na taki ciężar. Może mamy więcej niż jednego sprawcę, ale to nawet lepiej. Daje nam to większe szanse na znalezienie słabego ogniwa.

– Dobra, ale nie rozumiem jednego. – Poczekał, aż przejeżdżający obok traktor się oddali. – Dlaczego skupiasz się na elicie z Pihona? Po co to przesłuchanie w biurowcu? Miałem ci zaufać, i tak jest, ale nie pojmuję, dlaczego oni.

– Nie zauważyłeś tego? – Uśmiechnąłem się przy zaciąganiu papierosem. – Jechaliśmy na miejsce zdarzenia z rezerwatu Beka. Od zgłoszenia dojazd na miejsce zajął nam około trzydziestu minut, nie pamiętam dokładnie, ale coś koło tego to było. Zahaczyliśmy po drodze o McDonald. Mimo tego przyjechaliśmy na miejsce, a na nas czekali tam...

– Ciesińska, Zielińska i Ezman – odpowiedział Błona. Zmrużył oczy. – A więc o to chodzi! Skoro jechali z Gdyni i Gdańska, nie mieli szans, żeby nas wyprzedzić. Do tego ich ubrania i makijaż... – Podniósł papierosa do ust. – Że też wcześniej nie skumałem.

– Poza tym komu łatwiej jest zmienić kłódkę? Szaremu człowiekowi czy dyrekcji? Możesz zlecić pracownikom zmianę kłódki i nikt tego nie zakwestionuje, bo boi się o posadę. Coś mi w nich nie gra, po prostu, takie przeczucie. Oczywiście nie odrzucam żadnej ewentualności, ale nad tą sprawą pracuje tylu ludzi, że możemy poświęcić się dla sprawdzenia mojej teorii?

– Jedźmy się przekonać. – Błona pstryknął papieros przed siebie. Jak wsiadałem do samochodu, zobaczyłem lecący z traw dymek.

Po przyjechaniu pod szlaban funkcjonariusz Frydryk skierował nas na halę do sektora s-jeden. Przez moment zastanawiałem się, czy nie ma innych policjantów na zmianie. Zerknąłem na zegarek, dochodziła dwudziesta pierwsza trzydzieści.

Przeszliśmy przez służbę i doszliśmy na halę o-zero.

Pomyślałem, że wolę smród rozkładających się zwłok i adrenalinę przy pościgach – od pracy w miejscu takim jak to.

Hala wyglądała jak ta, w której zamordowano Nyżyńską. Te same szarobure kafle i jasne podłogi. Pihon może należał do liderów wśród producentów mrożonej żywności, ale za gust

powinni dostać medal tandety. Chińczyki miały pewnie lepiej w fabrykach.

– Fortuna. – Skinąłem głową do szefa techników, który nurkował w metalowej beczce do mieszania ciasta. – Macie coś?

– A wy co tutaj robicie? – Jego głos roznosił się echem. – Nie macie co robić?

– Nie uczyli cię, że nie odpowiada się pytaniem na pytanie?

– Może kiedyś. – Fortuna wyskoczył z beczki i otrzepał dłonie z białego proszku. – Szukamy od kilku godzin i jak na razie znaleźliśmy masę ostrych, jak i tępych narzędzi, jednak nic, co mogłoby być potencjalnym narzędziem zbrodni. Otrzymaliśmy raport z Gdańska: ofiarę dźgnięto scyzorykiem. Ostrze dziesięć na trzy i pół centymetra. Z jednej strony wyżłobione.

Fortuna wyjął telefon i pokazał zdjęcia ran.

– Narzędzia zbrodni tutaj nie znajdziemy – stwierdziłem, przyglądając się ludziom w białych kombinezonach. Suchy przeglądał jeden z pieców. – Morderca zabrał je ze sobą.

– To samo powiedziałem Broczkowi, ale on ma swoje zdanie. Nie chce, żebyśmy pozostawili w śledztwie luki w przypadku rozprawy. Jest skrupulatny. Twierdzi, że musimy działać wzorowo, jakbyśmy kiedykolwiek sikali na jakąś sprawę. Odbiło mu i tyle.

– Przeprowadziliście może eksperyment procesowy? – spytałem. – Wiem, że to staroświeckie, ale mogłoby nas na coś

naprowadzić.

– Owszem. Zakrzewski wytypował kilka możliwości, ale żadna nie doprowadziła nas do narzędzia zbrodni. Przyjął też tezę o zabraniu scyzoryka przez mordercę.

– A przeszukaliście rowy, albo śmietniki w pobliżu? – dopytał Błona.

– Rowy tak, śmietników ze świecą szukać. Zabudowy są oddalone od Pihona o trzy kilometry w każdą stronę. Ale z drugiej strony, spójrzcie... – Fortuna pokazał kolejne zdjęcie rany, tym razem na zbliżeniu. – Widzicie to poszarpanie tutaj? Taka fala powstała przy pomocy specyficznego scyzoryka. Oczywiście można to podrobić, ale nie sądzę, aby ktokolwiek zadałby sobie tyle trudu. – Przesunął zdjęcie, tym razem pokazał nam scyzoryk: zamykany, z drewnianą rączką. – Takie ślady pozostawiały po sobie scyzoryki wykonane przez Żyda w getcie. W zamian otrzymywał zwiększone racje żywnościowe. Nie sądzę, aby właściciel się go pozbył, bo jest wart... – Poprawił czepek na głowie. – Około stu tysięcy dolarów. Między innymi ten falisty wzór świadczy o jego wyjątkowości. Pytaliśmy eksperta, ponoć niełatwo to podrobić. Porównaliśmy zdjęcia naszej ofiary do zdjęć ofiar zabijanych przez nazistów. Są identyczne.

– A jeśli sprawca nie zdaje sobie sprawy z wyjątkowości scyzoryka?

– Mało prawdopodobne, Błoński. Nikt nie trzyma już takich rupieci, chyba że mają dla kogoś szczególne znaczenie. Czy ty

posiadasz cokolwiek z czasów dzieciństwa? Swoje pierwsze noże...? Tak myślałem. Poza tym, kto nosi przy sobie tępy scyzoryk? Nie lepiej go naostrzyć? – Zablokował telefon. – Wartość tych scyzoryków jest wysoka ze względu na to oryginalne, tępe ostrze. Myślę, że nasz sprawca bardzo dobrze o tym wie.

– Ile wykonano takich noży podczas wojny?

– I to jest dobre pytanie. Ekspert stwierdził, że udokumentowano około jedenaście scyzoryków, ale ich prawdziwa liczba jest nieznana. Dostawali je zasłużeni żołnierze, którzy wymordowali rekordowe liczby Żydów. Niektórzy zostali anonimowi, bo bali się samosądów i egzekucji.

– Słodko... A ten ekspert wie, jak ustalić tożsamość szczęśliwych posiadaczy?

– Nie wiedział, ale dał nam wskazówki. Tedi nad tym pracuje.

– Stary dobry Tedi – skomentowałem.

Postanowiliśmy z Błoną pokreć się po zakładzie – udaliśmy się na miejsce morderstwa. Staraliśmy się wytypować własne teorie i stworzyć logiczny ciąg wydarzeń. Potrzebowałem tego, aby otworzyć umysł.

PRESJA

Dla podtrzymania pozorów wezwaliśmy pracowników z działu technicznego na ponowne przesłuchania. Tak jak myślałem – nie dowiedziałem się niczego nowego i była to czysta formalność. Nie zamierzałem jednak utrudniać życia innym, o ile się tego nie domagali. Stwierdziłem, że romans Misztalewskiej z Wójcikiem może zostać tajemnicą, dopóki nie będzie miał nic wspólnego ze śmiercią Nyżyńskiej.

Doczekałem się Wójcika.

Wszedł do pokoju przesłuchań i skierował się do krzesła. Obserwowałem go, cudem tłumiąc ziewnięcia.

Byłem tak wykończony, że nawet poruszanie ręką zadawało mi ból. Mięśnie domagały się odpoczynku, ale musiały jeszcze wytrzymać. Wójcik usiadł, niewiele tracąc na wysokości – ten mężczyzna mierzył zaledwie koło metra sześćdziesięciu. Pieg na twarzy, zmarszczki wokół oczu i ust, krótkie rudawe włosy i zdecydowanie za duży, krzywy nos. Czy taki typ naprawdę mógł się podobać kobietom? Mimowolnie spojrzałem na jego klatkę piersiową. Nosił obcisłą koszulkę podkreślającą dobrze wyrzeźbiony tors. Ile ciosów musiałbym mu zadać, aby go powalić...?

Chrząknął, co przywołało mnie do porządku.

– Chciałbym, aby to przesłuchanie było nieoficjalne – powiedziałem pierwszy i poczułem, jak moje słowa uchodzą za szybę, wprost do naczelnika Wróbla. – Od razu mówię, że o nic pana nie oskarżam, ale...

– Chce pan wiedzieć, czy spędziłem tamtą noc z Wioletą? – Uniósł podbródek. – Jestem jej alibi, a więc muszę to potwierdzić. A pan, nie wiedząc czemu, wezwał wszystkich na przesłuchanie, chociaż zainteresowany był wyłącznie mną. Sądziłem, że policja ma w dupie życie innych.

Powstrzymałem się przed zmarszczeniem brwi. Wójcik sprawiał wrażenie wyjątkowo nieprzyjemnego, jego ton był szorstki i twardy. Jest taki typ ludzi, których się nie lubi. Za darmo. Poza tym doszedłem do wniosku, że wystarczyłyby cztery ciosy. A może jeden porządny w twarz, i byłby nokaut?

– Tu chodzi o morderstwo – podkreśliłem.

– Nie byłem tej nocy z Wioletą.

Zasłoniłem dłonią usta, żeby ukryć ziewnięcie i poczekałem, aż Wójcik wyjmie z kieszeni telefon. Pogrzebał w nim, następnie położył go przede mną na blacie.

– Co to jest? – Czytałem wiadomości od Misztalewskiej.

– Esemesy, które wymieniliśmy tamtej nocy. Faktycznie planowaliśmy się spotkać i miałem ochotę ją zerżnąć, ale przed naszym spotkaniem trafiła się awaria maszyny na produkcji, jeden z techników coś zepsuł. Wiola pisała do mnie, jednak nie byłem w stanie odpowiedzieć. Nawet tych wiadomości nie dostałem na czas, bo na hali brakowało

zasięgu. Dostałem je, kiedy wyciągnęliście mnie z zakładu – mówił. – To pierwszy dowód, jaki mogę przedstawić. Miałem się z nią bzyknąć w gabinecie dyrektorki, ale do niczego nie doszło. Poza tym, chociaż miałem ochotę na tę dziwkę, to nie spieszyłem się do spotkania. Chciała ze mną zerwać, choć myślała, że się nie domyślam. O ile mi wiadomo, mieszkała z tym frajerem, Bulczakiem. Nie chciałem jej ułatwiać zadania.

– A drugi dowód? – spytałem, zignorowawszy jego „piękne” odzywki. Nie dałem po sobie poznać, że nie wiedziałem nic o Bulczaku.

– Pracowałem na hali przy piecach z drugim mechanikiem odpowiedzialnym za mój dział, Wesołowskim. Był tam też obecny elektryk, Kuźma. Proszę z nimi porozmawiać, na pewno potwierdzą moje alibi.

– Rozumiem, rozmawiałem już z nimi i zgodnie potwierdzili, że pracowaliście na hali przy piecach. Mimo tego nie potrafili wskazać nam godziny i tego, czy się rozdzieliliście. Byli tak pochłonięci pracą, że nie zwracali na pana uwagi. Nie zwracali uwagi na nic.

– Słuchaj, rozumiem, że podała mnie za alibi, bo chodzi o morderstwo. – Wójcik położył łokcie na stół. Mało brakowało, a przywaliłbym mu w skroń. Ugryzłem się w język, gdyż zależało mi na zeznaniach. Nawet jeśli ten typ miałby mówić mi na „ty”. – Pewnie się bała, że bez alibi możecie ją podejrzewać. Nie sądzę, aby ta zdzira była zdolna kogoś zabić. O Nyżyńskiej słyszała tylko plotki, nie miała z nią nic do

czynienia. No chyba, że akurat trafiła na pijanego człowieka i przedmuchowała kogoś alkomatem w jej obecności. Z tego, co wiem, Wioleta jej nie lubiła, ale kiedy pytałem, o co chodzi, odpowiadała, że nie może powiedzieć. Wszyscy podejrzewali, że Nyżyńska ma coś wspólnego z mężem dyrektorki, ale nie mieliśmy na to dowodów. Poza tym to tylko plotki. Dużo ich w tej firmie. O mnie gadali, że rucham wszystko, co przede mną nie ucieka. Mylili się, bo rucham tylko to, co cokolwiek sobą reprezentuje. Muszę mieć renome.

Podrapałem się po wyłysiałym zakolu. Zauważyłem pewien nacisk na nazwisko ofiary, więc postanowiłem zaatakować:

– A pan znał Natalię NYŻYŃSKĄ?

– Oczywiście. Była brygadystką hali s-jeden, drugiego działu, na którym się znam. Podczas zastępstwa często miałem z nią styczność. – Uśmiechnął się jednym kącikiem ust i tylko na chwilę. Na szczęście wychwyciłem to, mimo zmęczenia. – Była ostrą babką.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „ostrą”?

– No wiesz, szczupła, ładna, zadziorna. Potrafiła dopieć ludziom. Była wymagająca, chociaż wtapiała się w tłum. W Pihonie większość ludzi jest nienormalnych, bo nikt o normalnych zmysłach nie wytrzyma w firmie prowadzonej przez małolotę, co dawała dupy, by otrzymać to stanowisko. Zna pan dyrektorkę zakładu? Jest głupia jak but. Dla niej istnieją tylko liczby, nie interesują jej ludzie. Ma wyglądać

dobrze w tabelkach i zgadzać się w zerach na koncie. Reszta to zbędny balast.

– O ile mi wiadomo Pihon jest jedną z najlepszych firm w Europie.

Spojrzałem na bandaż na dłoni. Będę musiał zmienić opatrunek po przesłuchaniu.

– Ale nie polska filia – odpowiedział, patrząc na paznokcie zabrudzone od spodu. – W Pihonie było fajnie, dopóki prowadził go mężczyzna. Też bywały loty, ale nie aż takie. Od czasu jego awansu na stanowisko prezesa wszystko się sypie. Czarna cipa nie panuje nad niczym. Czekam tylko, kiedy to w końcu jebnie. Pewnie wiesz, o czym mówię, bo w policji też liczą się słupki i statystyki. Ona jest jak taki słupek. Zapomniała, że mali ludzie na nią zarabiają. A kiedy pracownicy są nieszczęśliwi, zaczynają się zgrzyty. Tak jest u nas. Zarabiamy gówniane pieniądze za wielką odpowiedzialność, chujowe godziny pracy, brak elastycznego urlopu, nieograniczoną ilość obowiązków, często niezwiązanych z naszymi posadami. O tym się nie mówi głośno, bo jak ktoś się odezwie, to zaraz zwalniają. Szukają dziury w całym tak długo, aż się dokopią.

– Nyżyńska ulegała presji? – dopytałem. Czułem, że z Wójcika sporo wyciągnę, był bardziej rozmowny niż pierwszego dnia.

– Tak. Niestety, ale tak. Często darła ryja, dwóch pracowników wyrzuciła z pracy, bo nie mogła się z nimi

dogadać. Byli dla niej za mądrzy i nie interesowało jej, kto ma rację. Przestała słuchać ludzi, tak jak dyrektorka. Odbijało jej coraz bardziej. Ostatnio zrugła kierownika zmiany, bo powiedział jej, że powinna wyluzować i uprawiać więcej seksu. Wpadła w szal, co jej się często nie zdarzało, przynajmniej nie z takich błahych powodów.

– Pamiętasz nazwiska osób, które wyrzuciła?

Podał mi nazwiska; zapamiętałem. Moja niezawodna pamięć nieraz ułatwiła mi życie. Nie lubiłem zbędnej pisaniny.

– Nie notujesz? – zapytał, a ja pokręciłem głową. – Dziwne, ale OK. Nie znam dobrze tych wyrzuconych, ale jednego ostatnio spotkałem. Ułożył sobie życie, pracuje w tej chwili w zakładzie ze śmieciarkami, jako spawacz. Ma dobrą pensję i lepsze godziny pracy. Wyglądało na to, że był wdzięczny Nyżyńskiej za wyrzucenie.

– Rozumiem, ale i tak to sprawdzę. – Poprawiłem się na krześle, klamra od paska wbijała mi się w brzuch, aż szczypało. – A pana nic nie łączyło z Natalią Nyżyńską?

Wójcik wybałuszył na mnie oczy, ale zaraz potem się uśmiechnął.

– Spodziewałem się tego pytania. Z Nyżyńską miałem romans, lata temu, nie trwał długo, ale miło to wspominać. Dziewczyna była naprawdę dzika w łóżku. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, to się uśmiecham. Znasz taki typ kobiety? Wchodzi w pamięć, chociaż wiesz, że nie możesz z nią być. Że to, co było, już nie wróci. – Westchnął. – To były dobre

czasu. Wtedy nie mogłem się doczekać, jak ją spotkam i wezmę od tyłu.

Chrząknąłem, zamierzałem go powstrzymać od podawania kolejnych szczegółów.

– Przepraszam, zagalopowałem się. – Sam się powstrzymałem. – Ale to taka strata. Naprawdę była dobra w łóżku i wyczyniała wszystko, o co ją poprosiłem. Było ostro.

– Kto kogo rzucił?

– Oboje doszliśmy do porozumienia, że musimy to skończyć. Bzykaliśmy się ponad trzy miesiące, ona zaszła w ciążę. Nie byłem pewien, czy to moje dziecko, ale nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Jej mąż był rąbnięty, gdyby się dowiedział o naszym romansie, to by ją zajebał, później mnie. Jej mąż nie lubił konkurencji, ale uwielbiał, kiedy Natalia zapieprzała za dwie osoby. Dlatego łatwo było nam się bzykać, bo okazji było sporo. Ale dziecko? To już nie moje rodeo. Ona przyznała mi rację. Wmówiła mężulkowi, że to jego i na tym skończyła się nasza znajomość. Teraz rzadko rozmawialiśmy i chodziłem na inne zmiany. Mijaliśmy się.

– Czyli to przeszłość? Nie chciał pan poznać dziecka?

– Oczekuję mojego dziecka, z żoną. To dla mnie ważniejsze od przelotnych ruchanek w kibelkach. Nyżyńska to rozumiała. Ja też. Nie kontaktowałem się z nią od tego czasu. I tak jak mówię, teraz miała romans z kimś innym. Wszyscy o tym huczeli.

– Dobrze. Rozumiem. – Pobujałem się na krześle. – Macie straszne zawirowania w tej firmie.

– U nas jest tyrania. Nie podoba się, to spierdalaj, tam są drzwi. Nikt nie przejmuje się ludźmi, bo na ich miejsce wezmą Ukraińca. W tych czasach jest to bardzo łatwe. Większość moich znajomych zastanawia się, czemu tam pracuję i sam nie umiem na to odpowiedzieć. Polacy uciekają przed tym zakładem. Czarna pizda tak zniszczyła ten zakład, że trudno jest znaleźć dobrych i inteligentnych pracowników. Nie za takie pensje, kiedy głupi chleb potrafi kosztować pięć złotych. Teraz muszę i tak szukać innej roboty, bo dziecko niedługo się urodzi. Nie wiem, może wrócę do wojska.

Chciałem wtrącić uwagę, że tam nie ma tylu kobiet do bzykania, ale się powstrzymałem.

– Czyli nie wiadomo, czy Nyżyńska spotykała się z kimś z firmy?

– Tego nie wiem, nie śledziłem jej, ale tak jak wspomniałem, chodziły plotki, że dawała dupy mężowi dyrektorki. Wcale by mnie to nie zdziwiło, tym bardziej, że Wioleta trzymała z tą czarną pizdą i mówiła mi o niechęci dyrektorki do Nyżyńskiej. Ciężka sprawa. – Westchnął znowu. – Jeśli to była prawda, to nie chciałbym być na miejscu tej szmaty. Zwolnienie Nyżyńskiej groziłoby pozwem o molestowanie seksualne, a to prowadziłoby do zawalenia się jej imperium. Czy w takim przypadku nie lepiej pozbyć się problemu i zamordować dziwkę, co dobierała się do mężulka?

NOKAUT

Rafał Zakrzewski patrzył na mnie spod brwi. Z czoła ściekał mu pot, a z kącika ust krew. Jego źrenice rozszerzyły się tak, że zakryły tęczówki. W innym wcieleniu mógłby zostać bykiem, albo King Kongiem. Zakrzewski przetarł pot z czoła rękawicami bokserskimi i postukał nimi o spodenki ze śliskiego materiału. Zdecydowanie za bardzo stylizował się na amerykańskich bokserów, nawet klatkę piersiową wypinał podobnie do nich.

Stałem przy linii wytyczającej granicę ringu. Ramiona poruszały mi się w rytmie szybkiego i zdyszanego oddechu. Straciłem formę po rozstaniu z Alicją. Wzięłem głęboki oddech. Wytarłem twarz w koszulkę i na nowo uniosłem gardę. Dzięki adrenalinie ból w dłoni zelżał, albo się do niego przyzwyczaiłem po pięciu minutach walki.

– Atakujesz czy czekasz na nokaut? – Zakrzewski strzelił karkiem. Gdyby nie fakt, że potrafił się bić, uznałbym to za próżną próbę zastraszenia. Czułem, jak nogi mi się trzęsą. Na jaką cholere przebiegłem te trzynaście kilometrów przed sparingiem?

Ruszyłem. Zrobiłem unik przed pierwszymi prostymi Zakrzewskiego, kolejne przechwyciłem i zakręciłem się wokół niego. Zarzuciłem mu rękę na szyję i uderzyłem kilka razy w

głowę. Zrewanżował się uderzeniami z łokcia – nie mocnymi, ale celnymi. Dwie sekundy po tym leżeliśmy na ziemi w uścisku.

– Słyszałem, że znowu otrzymałeś zgodę na rozmowę z Nyżyńskim. Co powiedział o romansie? – spytałem, skupiając się na uścisku na szyi.

Zakrzewski przechylił się na bok i sprzedał mi dwa ciosy z sierpowego pod żebra. Ledwo je wyczułem, jednak rozproszyły mnie na tyle, aby się wyślizgnął. Kolanem uderzył mnie najpierw w bok, później w kręgosłup. Przez chwilę sparaliżował mnie ból, myślałem, że rozkruszył mi kręgi.

Doszedłem szybko do siebie. Wstałem i odskoczyłem.

– Stwierdził, że nic nie wiedział na temat romansu, ale za bardzo się nie zdziwił. – Wywalił trzy szybkie w moje przedramiona. – Podsumował, że jej matka była kurwą, więc ma to we krwi. Postawił się w roli zbawcy, który dał jej szansę na normalne życie. Przyrzekał, że ożenił się z nią, aby jej pomóc. Pozwolił jej zaznać prawdziwej miłości, którą ona odrzuciła na własne życzenie.

Uderzyłem go z lewego prostego, a następnie kopnąłem z pięty w mięsień podkolanowy. Przykląkł, odsłoniwszy twarz. Była odsłonięta przez nanosekundy, ale tyle wystarczyło, bym trafił pięścią w kość jarzmową i otarł się o jego nos.

– Kurwa, Szady! – Z pozycji klęczącej rzucił się na moje nogi. Podciął mnie i usiadł na mnie okrakiem. Studziesięciokilowy goryl okładał mnie pięściami po uszach, czole, zakolach...

Wziąłem duży wdech, chociaż powietrze było ciepłe i suche. Liczyłem w myślach, ile ciosów zadaje mi Zakrzewski. Pomyliłem się przy piętnastu. Uśmiechnąłem się i cierpliwie czekałem. Ciosy Zakrzewskiego zwalniały, z każdym uderzeniem w gardę stawały się słabsze...

Wystawiłem łokieć. Zakrzewski nadział się nań pięścią, w wyniku czego jego rytm się rozchwiał. Udało mi się zrzucić z siebie byka, przeczołgać się i chwycić go ponownie za szyję. Lubilem podduszać bydlaka.

– Jak to się stało, że żona, kurwa czy nie kurwa, umiera, a on nie docieka prawdy? Jak to się stało, że jest taki obojętny na jej śmierć, chociaż przed kamerami płacze jak dziecko?!

Popełniłem błąd nowicjusza i dopiero teraz to zauważyłem. Zakrzewski wsunął rękę pod moją dźwignię. Dzięki temu uciekł mi bez problemu.

– Może to psychopata? – spytał, stając naprzeciwko mnie. – Jak dla mnie kolo ma coś nie teges pod sufitem. Ustawił dzieciaki przeciwko matce, tak je zmanipulował, że ani jedno nie przejęło się wieścią o jej śmierci. A miała trójkę dzieci! Trójkę, Szady! Chciałem z nimi porozmawiać, ale nasza psycholożka, Rzepielowa, się nie zgodziła. Wolą, żebym w to nie brnął, bo wkurzałem Nyżyńskiego. Według niej dzieci nie rozumiały, co się dzieje. Dla mnie to dziwne, bo jej najstarsza córka ma czternaście lat.

– Czyżby Rzepielowa utrudniała nam robotę? – Podrapałem się po głowie, odwróciłem na moment wzrok. Zakrzewski

wykorzystał to i znokautował mnie silnym ciosem w żołądek. Ocknąłem się na ziemi, walcząc o oddech.

– Broczek twierdzi, że rodzina nie ma nic wspólnego z jej śmiercią. – Zakrzewski przy mnie kucnął. – On ma teraz strasznie dużo do powiedzenia, nie wiem, co się odmieniło naszemu prokuratorowi. Jego zdaniem Nyżyńska coś ukrywała, w coś się wmieszała, ale w zakładzie pracy, gdzie została zamordowana. I to tam powinniśmy grzebać. Mamy pozwolić Rzepielowej pracować i urabiać jej rodzinę. – Odniosłem wrażenie, że mówi do mnie przez rozładowujący się megafon. – Poinformowano nas, że Nyżyńska często zostawała na nadgodziny. Zajmij się tym Szady, zamiast tarzać się po ziemi i kwiczeć jak świnia. – Wstał i zaczął rozwiązywać rękawicę. – Nie wiedziałem, że z ciebie taka pizda. To do następnej!

Skurczybyk: jak zawsze oszukiwał. Położyłem się na plecach. Starąłem się uregulować oddech.

TROP

– Czyli potwierdza pani, że Nyżyński wiedział o romansie żony? – Błona oparł się o stół i pochylił nad Guzicką. Czy on ją wachał...?

Spojrzałem w swoje odbicie w szybie weneckiej. Zastanawiałem się, czy stał tam Broczek albo Zakrzewski. Na samą myśl o nich złapałem się za brzuch.

– Oczywiście. – Otarła łzy chusteczką. – Moja siostra chciała od niego odejść. To ona przygotowywała go do rozwodu. Mariusz nie był na to gotowy, twierdził, że skoro pomógł jej uwolnić się od naszej matki, to stała się jego własnością. Natalia... – Wydmuchwała nos. – Natalia nie chciała tego dłużej ciągnąć. Kochała dzieci, ale nawet je zmanipulował. Umiał od siebie uzależniać. Wychował je tak, aby nie miały szacunku do matki. Traktowały ją źle, jakby była ich służącą, a nie matką. Żadnej miłości.

Błona rzucił na mnie spojrzenie.

Też mi się nie podobało, co słyszałem.

Zdawało się, że dosłownie wszyscy świadkowie kłamali.

– Nyżyński zeznał, że nie wiedział o romansie żony – podkreślił jeszcze raz Błona.

– Ten skurwiel o tym wiedział! – Rozerwała mokrą od łez chusteczkę. – Powiedział wam, ile miał kobiet, będąc w

związku małżeńskim? Ruchał wszystko, co popadnie. Natalia chciała... chciała... – Błona położył jej dłoń na barku, ale szybko ją zrzuciła. Co on wyprawiał? – Chciała tylko być szczęśliwa. Wiedziała, że Mariusz traktuje ją jak gospodynię domową, później jako maszynę do robienia pieniędzy. Nawet się nie kochali. Od dwóch lat. Wyobrażacie to sobie? Jak facet może wytrzymać tyle bez seksu?

– Pani Guzicka, czy słyszała pani od siostry, że mąż podnosił na nią rękę? – wtrąciłem się w teatrzyk Błony. – Zauważyła pani siniaki, blizny, obtarcia? Jakies stany lękowe?

Guzicka wzięła przethuszczoną grzywkę za ucho, odsłoniła opuchnięte oczy. Dla każdego śmierć Nyżyńskiej miała inną wartość.

– Mariusz nie był zdolny do przemocy fizycznej. Jest za bystry. On potrafił niszczyć człowieka od środka, pokazywał mojej siostrze, że nie zasługuje na miłość. Jest tylko kurwą i nikim więcej. A to nieprawda, chociaż ona mu wierzyła. Moja siostra mogłaby być kimś, gdyby tylko bardziej w siebie wierzyła. Wiecie, że ukończyła studia na najwyższych wynikach? Miała szansę, ale matka Mariusza przestała im pomagać przy dzieciach. Tak nagle. Stwierdziła, że Natalia musi siedzieć w domu. Chyba była zazdrosna o to, że Natalia była mądrzejsza od jej syna i się realizowała. I Natalia nie miała wtedy wyjścia. Chciałam jej pomóc, ale nie mogłam zrezygnować ze swojego życia. – Zaczesała włosy do tyłu. – Zaproponowałam jej pomoc, ale mnie odrzuciła. Jaka ze mnie

siostra? Dlaczego zostawiłam ją samą na ten weekend? Czemu jej nie pilnowałam?

– Nic by pani nie zmieniła – stwierdziłem, przykuwając jej wzrok. – Jeśli miała zginąć, i tak by zginęła. Była dla kogoś niewygodna i my dowiemy się dla kogo. To nie pani wina. Ani wina Natalii.

Oparłem się o krzesło naprzeciwko niej. Pomyślałem, że przesadziłem, ale poczekałem na jej reakcję. Żrenice Guzickiej się rozszerzyły.

– Znajdziecie skurwiela, który jej to zrobił?

– Postaramy się – odpowiedział Błona.

– Czy pani siostra miała w pracy wrogów? Opowiadała coś o tym?

– To Pihon – stwierdziła lakonicznie, jakby miało nam to coś powiedzieć. – Dla wielu tyle wystarczy. Pihon. Tam się szerzy dwulicowość i chciwość. Romanse, skargi i zdrady są na początku dziennym. Na tych wyższych stanowiskach jest jedna... – Zaśmiała się przez łzy. – Dupa, jak lubiła to powtarzać Natalia. Nieważne, do kogo mówisz, i tak spuszczasz się do jednej dziury. To inny świat. Niby firma francuska, ale takiego burdelu dawno nie widziałam. Niech panowie porozmawiają z kurierami, kierowcami firm przewozowych, albo pracownikami produkcji. Każdy powie to samo. Pihon to pojebana firma.

– Czyli wrogów pani siostra miała.

– Kilku Ukraińców, o ile pamięć mnie nie myli – odpowiedziała. – Może i kilku Polaków, ale mówiła, że z naszymi sobie radzi. Bała się natomiast jednego obcokrajowca, którego złapała w szatni z małpką, no wie pan: z taką małą buteleczką z wódką.

– Wylali go?

– Oczywiście, że tak. Tam jest zero tolerancji na alkohol. Natalia wezwała ochronę i po badaniu alkomatem wykazało prawie dwa promile. – Popukała się w czoło. – Moja siostra często powtarzała, że niektórzy są idiotami i nie widzą, na jakie zagrożenie się piszą. Przecież tam jest tyle maszyn! Aż szkoda gadać.

– Wie pani, jak nazywał się ten Ukrainiec?

– Niestety. Dla mnie nazywają się tak samo. Siergiej jakiśtam. Kierownik zmiany powinien wiedzieć więcej. Był przy tym, gdy Natalii grożono.

Wypuściłem głośno powietrze. Poczulem, że stałem się piłką kauczukową, która odbija się od ścian obracającego się kwadratu.

– Chodzi o Dettlaffa?

– Tak. Jarek był jej kierownikiem. Zawsze pracowali razem. Musi pan się jego zapytać, panie Szadurski. Będzie wiedzieć więcej. Siostra nie chciała za bardzo ze mną rozmawiać o tym Ukraińcu.

– Dziękuję. Ktoś odwiezie panią do domu.

– To tyle?

– Na dzisiaj tak – stwierdziłem. – Jeśli będziemy mieli więcej pytań, to zadzwonimy. Dziękujemy za przybycie. Jeszcze się odezwiemy.

Wyszliśmy z pokoju przesłuchań. Skinąłem głową do funkcjonariusza, który zaofiarował się na odprowadzenie Guzickiej. Sami poszliśmy do pokoju 318.

– Czy tylko ja mam wrażenie, że kręcimy się w kółko? – spytał Błona. – To duża firma. Jeśli ciągle będziemy się odbijać od osoby do osoby, to nigdy nie znajdziemy mordercy. Prędzej umorzą nam śledztwo.

– Musimy sprawdzić każdy trop – odpowiedziałem.

Usiadłem na krześle, położyłem nogi na biurko. Słyszałem jak odpadła z niego śruba, ale to zignorowałem.

– Wiem, wiem. – Machnął ręką. – Właśnie! Rozmawiałem z Zakrzewskim. Chwalił się, że cię znokautował. Dałeś się tej piździe z nadwagą?

Zakręciło mi się w kiszkiach.

– Spieprzaj. – Zerwałem się z krzesła. Pognałem zwymiotować.

ZŁA DECYZJA

Informacja o Ukraińcu na niewiele się zdała. Po rozmowie z kierownikiem zmiany wysłałem namiary do Tediego. Niepodważalne alibi obcokrajowca przyszło do mnie, nim doszedłem do gabinetu kierownika administracji, Bulczaka.

Serhii Vitalij przebywał od miesiąca na Ukrainie. Nie mógł wrócić do Polski jeszcze przez półtora miesiąca. Ciężko byłoby mu zadźgać Nyżyńską na odległość. Zlecenie morderstwa też nie wchodziło w grę przy ich zarobkach. Zaśmiałem się. Myślałem jak desperat o zabójstwach na zlecenie.

Zapukałem do drzwi. Bulczak siedział na swoim fotelu przed monitorem. Przepisywał coś z kartek papieru. Na mój widok zbladł i pogniótł dokument. Postanowiłem wykorzystać fakt, że jesteśmy sami. Przymknąłem za sobą drzwi.

– Panie Bulczak. – Przywitaliśmy się uściskiem dłoni. Bulczak się pocił, ale nie wytarłem ręki o spodnie. Wytrzymałem. Nie skorzystałem też z zaproszenia spoczęcia na krześle. W zamian przystanąłem przy parapecie i przyglądałem się samochodom na ulicy.

– Czy coś się stało, sierżancie? – Bulczak poprawił się na krześle, odchrząknął, a następnie potarł o siebie ręce. Dziwiło mnie, że na niektórych policja robiła wrażenie, gdy w tych

czasach nasza władza była ograniczona. Wewnętrzni tylko czekali na nadużycia.

– Chciałbym z panem porozmawiać o pani Misztalewskiej.

Bulczak znowu poprawił się na krześle. I odchrząknął. Założył nogę na nogę, ale szybko ją zdjął. Przeniósł spojrzenie ze mnie na drzwi. Tak krótki czas, a tak wiele reakcji. Powstrzymałem się przed uśmiechem. Z Bulczakiem mogło pójść łatwiej niż przypuszczałem.

– Dlaczego chciałby pan ze mną rozmawiać na ten temat? Nie rozumiem. – Patrzył teraz tylko na drzwi. – Jeśli ma pan zamiar rozmawiać o pracownikach ochrony, to proszę kierować się do ich przełożonego. Nie po to Pihon podpisuje umowy z zewnętrznymi firmami, żeby za nich odpowiadać.

– Chciałbym poruszyć temat pana relacji z Wioletą Misztalewską.

Kątem oka widziałem, jak osobówka wyprzedza traktor na zakręcie. Dostrzegłem też, jak Bulczakowi podskakuje grdyka. Na kolejny jego oddech musiałem poczekać aż pięć sekund.

– Jakie... – Odchrząknął po raz kolejny. – Przepraszam. Może wody?

Bulczak wskazał ręką na półkę ze zgrzewkami wody gazowanej i niegazowanej. Odmówiłem. Bulczak skorzystał. Wątpiłem, aby mu to pomogło. Zerknąłem za okno na mężczyznę w niebieskim stroju, który kosił trawę w rowie. Firma wracała do życia, mimo tragedii jaka odegrała się na ich hali.

– Co ma pan na myśli, wspominając o moich relacjach z Wioletą? To pracownik ochrony. Moje relacje kończą się na służbowych poleceniach.

– Wie pan, że każde kłamstwo, nawet to niewinne, sprawia, że w moich oczach staje się pan podejrzany, prawda? – spytałem, starając się brzmieć profesjonalnie i groźnie. – Czy noc na dołku odświeży panu pamięć?

Zbladł. Zatrzymał między palcami niebieską nakrętkę, którą się bawił.

– Daję panu ostatnią szansę – podkreśliłem, drapiąc się w bandaż na ręce. Parzyła, swędziała i rwała jednocześnie. – Czy łączyły pana intymne stosunki z Wioletą Misztalewską?

Bulczak wstał, zrobił małe kółko i przystanął przy szafie. Zawiesił wzrok na rolcie opuszczonej do połowy.

– Niech pan zrozumie, sierżancie. To nie może wyjść na światło dzienne. W tej firmie zabraniają stosunków z pracownikami, tym bardziej z pracownikiem ochrony. Mogą mnie oskarżyć o molestowanie seksualne. To na zawsze zostanie w moich papierach. Nie wspomniałem o tym, bo mogę stracić przez to pracę.

– Czy relacja między panem a Wioletą Misztalewską to coś poważnego? Czy zaledwie przelotny romansik?

Drzwi trzasnęły.

Spojrzeliliśmy w tamtą stronę.

Klamkę trzymała czarnowłosa szprycha, Ciesińska. Przez pieprzony dywan nie usłyszałem jej nadejścia.

– Miałeś romans z pracownikiem ochrony? – zapytała Bulczaka. – Czyś ty kompletnie oszalał?! Z pracownikiem ochrony?!

– Pani Ciesińska... – wtrąciłem, nie będąc pewnym, czy chciałem to przerwać. – Proszę nie przeszkadzać w rozmowie, dobrze? Prosiłbym, aby się pani wstrzymała z wszelkimi awanturami do mojego wyjścia.

– Dobrze. – Dyrektorka odetchnęła i poprawiła marynarkę. – Będę u siebie w gabinecie, ale myślę, że wiesz, co to dla ciebie oznacza? – Nie czekając na odpowiedź, zamknęła się w pomieszczeniu obok.

Bulczak zdjął okulary i przetarł oczy. Opuścił ramiona.

– Nie będę nic więcej mówił bez mojego adwokata – stwierdził. – Nie mam nic wspólnego z morderstwem Natalii Nyżyńskiej, a moje życie prywatne to nie pana sprawa. O ile nie chce mnie pan aresztować, proszę opuścić mój gabinet, sierżancie Szadurski. Nic więcej i tak panu nie powiem.

Nie polemizowałem ani nie stawiałem oporu. Włożyłem ręce do kieszeni bluzy i wyszedłem powolnym krokiem. Aresztowaniem niczego bym nie ugrał. Po opuszczeniu budynku administracyjnego zadzwoniłem do dyżurnego. Poprosiłem, aby zwolnił Misztalewską z noclegowni. Nie sądziłem, aby ich miłość mogła w jakikolwiek sposób zabić Nyżyńską, a niektóre sekrety wypływają szybciej, jeśli da im się wolną rękę. Po prostu zaufałem swojemu przeczuciu i

skreśliłem ich ze swojej listy podejrzanych. Przynajmniej na razie.

POD KLOSZEM

Teren budowy w Pihonie oddzielono prowizorycznym płotem z bramami na kółkach. Przystanąłem przy drugim magazynie, połączonym z budynkami wysokim łącznikiem, i oparłem się o ścianę. W momencie gdy Błona korzystał z ubikacji, a Ciesiński wciąż się spóźniał na umówione spotkanie, obserwowałem ochronę. Obok ich czarnej budy, w rzędach, stały kolorowe kontenery z nazwami firm budowlanych. Naliczyłem ich siedem.

Ochroniarzy było dwóch – podobnie wiekowych. Obaj mieli siwe włosy, ciężkie kroki i zgarbione plecy. Pewnie dorabiali do emerytury, zabierając miejsca pracy młodszym od siebie. Ciekawiło mnie, czy po odejściu z policji do nich dołączę, żeby wypełnić czas wolny. Tak samo jak Zabiegły – słyszałem, ile zarabiają w ochronie na budowach i mnie to nie satysfakcjonowało. Dziesięć złotych na godzinę? Prędzej zrobię sobie prawo jazdy na ciężarówkę i pojeżdżę na międzynarodowych trasach.

Zerknąłem na zegarek. Ciesiński spóźniał się ponad dwadzieścia minut.

W tym czasie przyjęto dostawę z blachami, zjechały się wozy z robotnikami w żółtych kamizelkach i kaskach, dwa razy

pojawił się kierownik budowy, i dwa razy Błona biegał do kibla.

Po zakończeniu czynności śledczych życie w firmie przyspieszyło. Pihon odzyskał swój teren zaledwie godzinę temu, a wokół zebrało się mnóstwo ludzi.

Dwadzieścia minut spóźnienia.

Spróbowałem zadzwonić do Ciesińskiego, ale odezwała się poczta głosowa.

Straciłem cierpliwość, więc podszedłem do jednego z ochroniarzy z brodą Gandalfa splecioną gumką. Palił papierosa, przenosząc kawałki złomu na jedną kupkę.

– Może pan spróbować jeszcze raz zadzwonić do Ciesińskiego? Naprawdę zależy nam na czasie, a ode mnie nie odbiera.

– On już tak ma. Rzadko kiedy odbiera telefony i przychodzi na umówione spotkania. Od kiedy tu pracuję, chłopak robi, co mu się żywnie podoba.

– Jako mąż dyrektorki pozwala sobie na takie zagrania?

– Tak między nami... – Ochroniarz przechylił się w moją stronę. Śmierdział skopciałymi skrętami i potem, jakby się pokłócił z wodą kilka dni temu. – Nad Ciesińskim nikt nie ma władzy. Skoro bzyka najwyższą postawioną osobę w tej firmie, to nikt mu nie podskoczy. Co pan zrobi? Gówniarz dobrze się wżenił.

Przyjrzałem się ochroniarzowi.

Mógł mieć na oko siedemdziesiąt lat. Naprawdę potrzebował tej pracy tak desperacko, by godzinami siedzieć w budzie dla psa? Ten kontener sprawiał wrażenie starego, u dołu przerdzewiałego i niestabilnego.

Osobiście nie przemyślałbym w nim nawet uchodźców, a co dopiero kazał siedzieć w środku swoim pracownikom.

– Czyli rozumiem, że nikt go nie pilnuje? – pociągnąłem wątek.

– Oczywiście, że nie. Gówniarz wchodzi, gdzie tylko chce i zawsze znajduje wytłumaczenie. Pamiętam swego czasu, jak zerwał plomby na budynku s-jeden, oczywiście bez autoryzacji. Wy tłumaczył się tym, że sprawdzał czujność ochrony. Jakby mógł, frajer. Ale z nami to i tak pikuś... – Poprawił kamizelkę i odpalił kolejnego papierosa. – Pół roku temu wziął się z kierownikiem technicznym, czyli jego kierownikiem, o piece. Zaakceptował zły projekt. A jak wiadomo, Pihon chce się teraz rozbudować, próbuje oddzielić sekcje warzywne od nowych produktów. Właśnie po to jest ta rozbudowa, a raczej pierwszy z czterech etapów rozbudowy. No i kiedy pierwsze testy pieców ruszyły, okazało się, że nie grzeją. Popieprzyli uszczelki albo jakieś rury. A cholera wie! – Pomachał skrzętem przed swoją twarzą; od tego smrodu zaswędziało mnie w nosie. – Panie kochany, co tu się wyprawiało! Ostatecznie Ciesiński zwał robotę na innego inżynierka i wcale się tym nie przejął. Wie pan, panie Szadurski, moim zdaniem to śliski facet jest. Niby jako mąż

dyrektorki powinien bardziej dbać o swój wizerunek, a tu takie śmiecie... – Odkaslnął. Miałem wrażenie, że rozerwał sobie płuca. – Nic na to nie poradzimy. Tak się po prostu dzieje, kiedy się dopuszcza do władzy dzieciaki bez doświadczenia. Firma spada na psy.

– Mam wrażenie, że Ciesiński nie jest lubiany w Pihonie.

– Bo tak jest, tylko nikt nie odważy mu się skoczyć do gardła. Wiadomo, szarych ludzi łatwo zastąpić. Ale jak przedstawić zarządowi we Francji, że dyrektorka albo jej kundel mają zostać zwolnieni? To mogłoby przyciągnąć uwagę. A Francuzi są strasznie ostrożni. Nawet jeśli coś się dzieje, starają się to zamiatać pod dywan szybciej, niż ktokolwiek zdąży pomyśleć o rozdmuchaniu tematu. Myśli pan, że coś się od tego gówniarza dowie? Oleje pana, jak każdego.

Nim odpowiedziałem, przez otwartą bramę wjechał brunatny nissan z przerdzewiałymi bokami. Przystąpiłem z nogi na nogę. Nie pomagało mi to, że kierowca wiercił się w aucie.

W końcu – po jakichś dwóch minutach – wysiadł. Młody, opalony gówniarz z grzywką na żel i niebieską koszulą pogniecioną na plecach.

Wyostrzyłem wzrok na teczkę z logo Pihona.

– To Ciesiński – potwierdził ochroniarz, gasząc papierosa w popielniczce. Potem pokuśtykał do kontenera; na drzwiach widniał naniesiony markerem napis: „Stróżówka”.

Dobrego pierwszego wrażenia Ciesiński nie zrobił, ale starałem się zignorować negatywne odczucia, bo domyśliłem się, że rozmowa z ochroniarzem mogła na mnie wpłynąć. Spóźnienie także. Nie lubiłem cwaniaków. Wielokrotnie powtarzałem młodszej siostrze, jak obchodzić się z ludźmi. Pewnie dlatego tak dobrze radziła sobie na dziennikarstwie.

Wyszedłem Ciesińskiemu na spotkanie. Powstrzymałem się przed wypowiedzeniem mu spóźnienia. Potrzebowałem w tej firmie sprzymierzeńców. A wróg mojego wroga – może być moim przyjacielem.

– Witam – odparł, spoglądając w telefon. – Pan Szadurski, prawda? W czym mogę panu pomóc?

Wysunąłem dłoń, ale ominął mnie obojętnie. Zmierzał do kontenera z napisem „biuro”, nie oglądając się za siebie. Wyciągnął z kurtki wejściówkę i odbił się na czytniku przy furtce.

– Proszę za mną. Porozmawiamy w moim biurze.

Musiałem przyspieszyć, aby zdążyć, zanim furtka się zatrzaśnie.

– Wolałbym zaczekać na mojego kolegę.

– Ochrona go do nas skieruje. – Ciesiński nie zwolnił. – Nie mam czasu czekać. Za dziesięć minut mam zebranie. Nie lubię się spóźniać.

Zacisnąłem pięść w kieszeni, ale poszedłem za nim. Weszliśmy do kontenera. Po prawej stronie stał biały stół i trzy drewniane krzesła. Na blacie leżała architektoniczna

mapa, najprawdopodobniej projekt budowy, choć na tym się nie znałem. Dla mnie zawsze wyglądało to jak skomplikowana wersja gry w kółko i krzyżyk – brakowało mi wiedzy do poziomu inżyniera.

Ciesiński rzucił torbę z laptopem na krzesło i podszedł do okna. Uchylił je. Do zaduszonego i śmierdzącego zupkami chińskimi pomieszczenia wleciało świeże powietrze. Wróciłem do drzwi, aby je uchylić.

– Czekam na partnera. – Poczuję potrzebę wytłumaczenia się. Tak naprawdę chodziło mi o zapach wody kolońskiej Ciesińskiego, która zmieszała się z tą duchotą. Pracownicy Pihona potrzebowali szkolenia z higieny osobistej. – Chcę, żeby wiedział, gdzie jestem.

To ciężkie powietrze przeszło jeszcze bardziej perfumami. Nie wiedziałem, czy były drogie, ale zdecydowanie za mocne. Czy męskie paniusie muszą nadużywać pachnideł? Facet nie powinien śmierdzieć, ale przesadnie pachnieć też nie.

– W czym mogę pomóc? – Ciesiński wrócił do wcześniejszego pytania. Stuknął w tarczę zegarka na nadgarstku. Złoty. Marki nie widziałem. Poza tym dopiero w sztucznym oświetleniu zwróciłem uwagę na oczy cwaniaka. Nie dość, że miał rozbiegany wzrok, to na dodatek miał siniaki pod nimi, jakby nie spał od tygodnia. Zdawało mi się, że widziałem popękane krwinki na białkach. Co z tym człowiekiem było nie tak?

– Poczekajmy na mojego partnera.

– Nie mam czasu czekać, jak wspomniałem wcześniej. – Ciesiński przerzucił segregatory ustawione na niskim regale.
– Albo rozmawiamy teraz, albo będą musieli panowie czekać kolejne trzy godziny na zakończenie zebrania.

Obejrzałem się za siebie. Błona wciąż nie nadchodził. Co on tam, do diabła, wyrabiał?

– Dobrze, rozumiem. Szanuję pański czas, tak jak pan szanuje mój...

– Bardzo mnie to cieszy. – Ciesiński podniósł podbródek. To obudziło we mnie niebezpieczne emocje.

– Nie skończyłem – zakomunikowałem. – Jeśli nie poczeka pan na mojego partnera, będziemy musieli zawieźć pana na komisariat. Tam odbędzie się oficjalne przesłuchanie, w rezultacie czego nie trafi pan za zebranie.

– Słucham? – Roześmiał się, pokazując wyjątkowo białe zęby. Elegancik. – Nie może mnie pan zabrać na komisariat. Nic nie zrobiłem. Jestem czysty. Nawet mnie nie było w pobliżu, gdy doszło do morderstwa.

– Ale morderstwo zostało dokonane na pana terenie – odpowiedziałem. – I jeśli mi pan nie pomoże, to na podstawie artykułu trzysta osiem zabiorę pana na komisariat policji. Chyba, że przestanie pan mnie ignorować i zachowa się profesjonalnie.

Ciesiński zagryzł szczękę, aż zazgrzytało. Biedak musiał zniszczyć sobie szkliwo. Osiadł na krzesło z rezygnacją i wpatrzył się w swoje buty. Przestałem szukać w tym człowieku

sprzymierzeńca, nie znalazłbym go. W tej firmie każdy myślał o sobie, nikt nie przejmował się młodą kobietą z poderżniętym gardłem. Najchętniej wyrzuciliby ten fakt z pamięci i pracowali dalej. Zatrudnili kogoś na miejsce Nyżyńskiej i żyli bez problemów, jak gdyby nigdy nic.

– Kurwa, ja pierdołę. – Błona wycierał ręce w białą bluzę. Wbił się przez szparę w drzwiach. – Ale mnie ścięło. Nigdy więcej nie będę jadł w nocy ostrego kebaba. Nie ma mowy. – Spojrzał na Ciesińskiego. – Witam, aspirant Błoński. Możemy już rozmawiać?

Schowałem uśmiech, pocierając brodą o ramię.

– Panie Ciesiński, może pan przestać być tak wrogo nastawiony i powiedzieć mi, dlaczego sypiał pan z Nyżyńską, skoro ma pan tak śliczną żonę? – wypalił Błona. – No i dlaczego wcale się pan nie przejął jej śmiercią?

To pytanie sprawiło, że omal nie zadławiłem się śliną. Ciesiński nie ruszył się z miejsca, nawet nie zamrugał – tak wpatrzył się w Błone. Widziałem, że intensywnie myśli.

– To oburzające. – Ciesiński wstał. – Wybaczcie, panowie, ale idę na spotkanie. Nie mam czasu na tłumaczenie się z plotek. Myślicie, że z nią sypiałem? Przestańcie słuchać tych wariatów, co tutaj pracują. Nie zdradzałem żony. W czasie morderstwa spędzałem czas na szkoleniu w Warszawie, w hotelu Hilton na Grzybowskiej. Sprawdźcie sobie i mnie zostawcie. Po tym wszystkim mamy opóźnienia, dla naszego

biznesu kilka dni może okazać się śmiertelne, bo konkurencja nie śpi.

– Więc dlaczego rozmawiał pan z Natalią w dniu jej morderstwa? – dopytałem.

– Ile z nią rozmawiałem? Dwadzieścia sekund? – Wzruszył ramionami i się roześmiał. – Może jeszcze chcecie mi powiedzieć, że przez te dwadzieścia sekund zamordowałem ją przez telefon, co? Tacy z was detektywi, że pewnie uwierzycie w te bajki.

– Panie Ciesiński, proszę uważać na słowa. Nie bawią nas takie odzywki – ostrzegłem go. – Zadam pytanie jeszcze raz i dam panu szansę na zmianę odpowiedzi. O czym pan rozmawiał z Natalią w noc jej morderstwa?

– Pomyliła się – odpowiedział, zabierając laptop z krzesła. – Chciała zadzwonić do kogoś innego, po prostu się pomyliła. Przeprosiła mnie i tyle było z rozmowy. Trwała krótko, zapytałem, czy wszystko w porządku, ale mnie zbyła. Nic więcej nie wiem, panowie. Jeśli musicie, to mnie aresztujcie, w przeciwnym wypadku rozmawiajcie z moim adwokatem. Tak. Załatwię was jak w amerykańskich serialach. – Minał nas w drzwiach. – Nie mam powodu, aby z wami dłużej rozmawiać.

Wyszliśmy za nim z kontenera.

– Jestem aresztowany? – spytał, klucząc drzwi.

– Nie – odpowiedział mu Błona. – Miałem jednak nadzieję, że ze względu na pańskie koneksje z ofiarą będzie pan nam

przychylny. Skory do rozmowy. W końcu to nie był zwykły romans, prawda? Chodziło o coś więcej?

– Panie Błoński, ośmiesza się pan. – Uśmiechnął się. – Rozgadywanie tego na prawo i lewo wcale jej nie pomoże. Owszem, czasami kontaktowałem się z Natalią, ale o romansie nie ma i nie było żadnej mowy. Kocham swoją żonę i jestem jej wierny. Te oburzające oskarżenia proszę zatrzymać dla siebie.

– Jest pan pewien? Niech pan weźmie pod wzgląd, że to sprawa o morderstwo. Każde kłamstwo jest tutaj niemile widziane – drażył Błona.

– Niechże pan spieprza z tymi teoriami. – Ciesiński wypiął klatkę piersiową i zmrużył oczy. – Nie pracował pan nigdy w takich firmach? Tutaj każdy każdemu dupę obrabia. Wystarczy, że zobaczą kogoś wychodzącego z kobietą z tego samego gabinetu i już snują seksafery. Nie mam o czym z panami rozmawiać. Żadnego romansu nie było. Wszelkie inne pytania proszę kierować do naszego zakładowego adwokata. Żegnam panów.

Zrobiłem krok, żeby zatrzymać Ciesińskiego. Wyobraziłem sobie, jak stosuję na nim dźwignię i przygniatam go do ziemi, jak zakładam mu kajdanki...

Błona mnie powstrzymał.

– Coś ty odwalił? – spytałem, kiedy zostaliśmy sami. – Czemu tak bezpośrednio z nim rozmawiałeś? Mieliśmy plan.

– No co? Sypiał z nią przecież. Wiemy o tym. Pozwólmy teraz jemu zadziałać. Może będzie się bał, że informacja dojdzie do

żonki. Niech działa.

– Wiemy o tym tylko od siostry ofiary i Wójcika. Mieliśmy go podejść, a teraz znowu niczego się nie dowiemy.

– W kiblu spotkałem drugiego ochroniarza z budowy. Powiedział mi, że Ciesiński przyjeżdżał w nocy na spotkania z Nyżyńską. Widywali się na hali produkcyjnej, tej niedokończonych. Widział ich przez okna, gdy robił obchód. Kiedy wszedłem z Ciesińskim do kontenera, poszedłem szybko sprawdzić księgi ruchu osobowego i samochodowego. Ostatni raz widzieli się w firmie dzień przed morderstwem.

– To chyba prawda, że najmniejsi ludzie wiedzą wszystko – rzuciłem.

– Owszem, mój przyjacielu. Nawet to, że pani dyrektor sypiała z prezesem. Właśnie dlatego gówniara znalazła się na tym stanowisku. Ciesiński po prostu czuł się zdradzany, więc w ramach zemsty ruchał inną. A może mieli taki układ? On rucha prezesa, on brygadzystkę. Widać, kto mierzy wyżej.

Zauważyłem, że pracownik w żółtej kamizelce wyszedł z kontenera i wszedł do auta. Podjechał do bramy, ochroniarz Gandalf mu ją uchylił i wypuścił pracownika. Zmrużyłem oczy i zahaczyłem Gandalfa.

– Czemu nie sprawdza pan bagażnika i samochodu?

– Nie mamy takich rozporządzeń. Za czasów poprzedniej firmy budowlanej robiliśmy zdjęcia, ale teraz nie mamy aparatu, więc ich wypuszczamy.

– Rozumiem. – Poklepałem się po kieszeniach w poszukiwaniu telefonu. Sprawdziłem, czy miałem jakieś połączenia. Zero. – Proszę wydać nam książki ruchu osobowego i samochodowego z ostatnich trzech miesięcy.

– Ale... Muszę prosić o zgodę kierownika Bulczaka.

– Nie musisz, bo z tego, co się orientuję, wyjechał i nie wróci. Został przeniesiony do filii we Francji – odpowiedział Błona. Zmrużyłem oczy. Skąd on bierze te informacje? – Poza tym mówimy tutaj o sprawie o morderstwo i naprawdę wolałbym, aby nie utrudniał nam pan śledztwa. Wie pan, co za to grozi?

Gandalf dłużej nie oponował i poszedł po książki.

Już chciałem zapytać o wyjazd Bulczaka, kiedy Błona uprzedził mnie pytaniem:

– Myślisz o tym samym, co ja?

– Czemu nie wywieziono ciała, skoro auta i tak nie są sprawdzane? I po co wyjeżdżać przez bramę ewakuacyjną, jak ochrona i tak nie wywiązuje się z obowiązków?

POŻEGNANIE

Słońce wysuszyło i nagrzało piasek po nocnej ulewie.

Usiadłem na plaży przy strumyku, gdy tylko zebrałem wystarczającą ilość płaskich kamieni. Położyłem je przy bucie, wziąłem jednego i rzuciłem do zatoki. Udało mi się zrobić dwie kaczki. Drugim kamieniem zrobiłem trzy. Odetchnąłem. Wcale nie przeszkadzał mi smród z poczerniałych glonów i śmierdzącej wody na linii brzegowej. Przyzwyczyłem się do widoków spienionej i zabrudzonej zatoki. Mieszkałem tu od siódmego roku życia.

Rzuciłem kolejnym kamieniem, zaokrąglonym, który zniknął w fali. Pomyślałem o Pihonie i morderstwie. Wypuściłem z noclegowni Misztalewską, pozbywając się jedyne podejrzanego. Kłamała, ale jej kłamstwa nie miały nic wspólnego z zabójstwem. Przynajmniej tak sobie to tłumaczyłem, chociaż zamierzałem jej się bacznie przyglądać.

A co z Ciesińskim? Może powinienem mu się bardziej przyjrzeć? Gościu mnie wkurzał. Wystarczyło pięć sekund w jego obecności, a miałem ochotę go sprać. I to bez powodu. Przy takich ludziach nie trzeba konkretnego powodu, aby im przywalić. Czy dobry śledczy pozwala emocjom na dojście do głosu? Najchętniej zamknąłbym cały zarząd, od Ezmana począwszy. Miałem wrażenie, że ze mną igrają. Wiedzą coś, o

czym nie chcą powiedzieć. Może gdybym rozdzielił stado, wreszcie ktoś puściłby parę?

Podrapałem się po karku, wsypując sobie piasek z dłoni za karczek. Przekląłem i spróbowałem to wytrzepać. Niestety jeszcze więcej zapadło mi pod bluzę. Zignorowałem to, rzucając dwa kamienie na raz.

Za plecami usłyszałem kroki. Ktoś kopnął w plastikową butelkę, a następnie wlaź na gałąź. Plaża, mimo że znajdowała się blisko mojego domu, nie była prywatna. Każdy mógł wtedy przechodzić i tu przesiadywać. Trochę tego żałowałem. Bo lubiłem spokój, szum fal i ten zapach unoszący się tylko tutaj.

– Tak myślałam, że ciebie tu znajdę – powiedziała Alicja. Kopnęła pustą torebkę po chipsach i przysiadła przy mnie.

Wyrzuciłem ostatni kamień do wody, wpadł z chlupnięciem.

Żałowałem, że nie miałem przy sobie więcej, bo wywaliłbym serię jak z kartacownicy.

Starąłem się na nią nie patrzeć, ale kątem oka widziałem, jak przesypuje piasek z jednej dłoni do drugiej. Ten za moją bluzą stał się nagle bardziej upierdliwy. Sama jej obecność sprawiła, że się spociłem.

– Zastanawiałam się, czy znajdziesz dla mnie trochę czasu w trakcie tej głośnej sprawy w Pihonie.

Podsunałem nogi pod pośladki. Wzrok skupiłem na pustej skorupce po ślimaku.

– Mogłaś zadzwonić, że chcesz pogadać. Nie musiałaś przyjeżdżać. Poza tym wiesz, że nie lubię esemesów. A w szpitalu też się nie odezwałaś ani słowem, jak mnie opatrywałaś. – Popatrzyłem na rękę, rana dobrze się goiła. Nocą mnie rwała, ale w dzień dawałem sobie radę dzięki przeciwbólowym. – Naprawdę wystarczyło zadzwonić.

– Ale chciałam cię zobaczyć. To nie musi tak wyglądać. – Położyła dłoń na moim ramieniu, tego nie mogłem zignorować.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem w jej zaczerwienionych oczach część mojej Alicji. Tę iskrę, która niegdyś pomiędzy nami błyszczała.

Odchrząknąłem, wmawiając sobie, że tylko mi się wydaje.

Bardzo szybko zająłem się szukaniem ciekawej muszelki. Pamiętałem, że Alicja je lubiła.

Kiedy ją znalazłem, nie zdążyłem jej obrócić w palcach, bo mi ją wyrwała.

– Ładna, różowa – przyglądała się skorupce. – Marcin, przepraszam, że to się tak potoczyło. Domyślam się, że teraz nie chcesz nawet na mnie patrzeć, bo cię zraniłam. Mogłam to rozegrać inaczej, mogłam pozwolić ci być bardziej sobą. – Znowu pogłaskała mnie po ramieniu. – Ale byłam taka wściekła. Dla ciebie zawsze ważniejsza była praca. W szczególności, jak trafiałeś na zaginięcie. Nie szło z tobą rozmawiać.

Odetchnąłem, patrząc w horyzont. Dzięki słonecznej pogodzie widziałem rozciągający się po drugiej stronie

półwysep.

– Czego ty chcesz? – Złapałem ją za dłoń, która leżała na moim ramieniu, i odłożyłem na jej kolano.

– Zrozumiałam, że swoim odejściem odebrałam ci nie tylko siebie, ale także Krystiana. Pokochałeś go jak syna. – Najwidoczniej nie zrozumiała intencji, bo teraz oparła głowę na moim ramieniu. – Przepraszam, Marcin. To nie tak miało wyglądać. Myślałam, że będziemy szczęśliwi. Że się uda. Ale potem przestałeś zwracać na mnie uwagę. Nie dogadywaliśmy się. Twoja praca. To całe brzemie... no wiesz... nie miałam siły, aby to dalej ciągnąć.

– Zamilcz – powiedziałem, czując, że Alicja przestaje się ruszać. – Nie mam najmniejszej ochoty tego wysłuchiwać. Nie kolejny raz. Zerwaliśmy, jesteś z innym. Po co tu przylazłaś? By mnie wkurzyć?

Wstałem i otrzepałem się z piasku. Jednak nie był tak suchy, jak przypuszczałem, bo miałem mokre spodnie. Alicja jeszcze się nie podniosła, za to patrzyła gdzieś w niebo.

– Wiesz, że przynoszą szczęście? – spytała. Wśród obłoków leciały ptaki w uformowanym kluczu. – Może i nam je przyniosą?

– Nie wierzę w takie sprawy. Ala... – zacząłem. Kiedy odwróciłem głowę, stała przede mną, blisko. – Alicjo...

– Ciii... Nigdy tak naprawdę się nie pożegnaliśmy. Odeszłam tak szybko. Wyniosłam swoje rzeczy z twojego domu,

spakowałam też twoje z mojego. Ta decyzja... A gdybym jej żałowała?

Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała.

W pierwszej chwili mnie zatkało, nawet nie drgnąłem. Dopiero w drugiej zadziałałem impulsywnie. Przytuliłem ją do siebie i zacząłem całować, tak jakby w domu nie czekał na nią inny mężczyzna, a my nie rozstalibyśmy się kilka miesięcy temu.

Ten pocałunek sprawił, że miałem ochotę ją posiąść. Wziąć ją jak kiedyś, nie zastanawiać się nad konsekwencjami. Zapomnieć o trudnej sprawie morderstwa. O śmierci, która ciągle za mną chodziła. Mógłbym wyjechać. Zamieszkać z nią na bezludnej wyspie. Przestać być policjantem.

Odsunąłem ją od siebie. Przy okazji wdepnąłem w wodę, chlusnęła i zalała mi cholewkę. Alicja patrzyła na mnie wzrokiem pełnym oczekiwania. Wyczuwałem jej lęk przed odrzuceniem. Czulem też, że buty zapadają się w mokrym piasku – jeszcze chwila, a fale będą mi się do nich wlewać.

– Nie zmienię się – odparłem. – Nigdy nie przestanę być policjantem. Nigdy nie przestanę stawać w obronie słabszych i nie przestanę łapać złodziei, dilerów, czy morderców. Powinnaś to zrozumieć, bo jesteś lekarzem na ostrym dyżurze. Wiesz, jak to jest, gdy zostaje się w pracy na nadgodziny. Nawet na te bezpłatne. Ala, oboje ratujemy życie, choć w innym stylu. Nie rób sobie tego.

– A jeśli dzisiaj mnie to nie obchodzi? – dopytała i zrobiła krok w wyschnięte glony. – Co jeśli mam to gdzieś i chcę się pożegnać? Jeśli muszę to zrobić, żeby łatwiej wyrzucić sobie ciebie z głowy? Co jeśli nie przestanę o tobie myśleć, jeśli ten jeden jedyny raz nie złamię zasad?

Zapach jej waniliowych perfum przedarł się przez swąd zatoki. Oblazła mnie gęsia skórka. Walczyłem ze sobą, aby nie zrobić niczego głupiego. Matka uczyła mnie życia według konkretnych reguł. Wpoila mi do głowy, że nie ma nic ważniejszego od drugiego człowieka. Liczy się jego szczęście i szacunek. Nawet wtedy, gdy ten człowiek nie szanuje ciebie.

Za plecami rozniósł się ryk silnika motorówki. Najpierw jednej, później drugiej. Próbowałem oderwać wzrok od Alicji, powiedzieć sobie, że zaraz popełnię największy błąd w życiu i będę miał wyrzuty sumienia.

Alicja położyła dłoń na moim torsie. Niby od serca dzieliły ją tkanki, skóra, koszulka i bluza, ale miałem wrażenie, że je dotykała. Wyczuwała przyspieszone bicie.

– Marcin... – szepnęła.

Nie wytrzymałem. Byłem tylko facetem, od pół roku samotnym facetem. Zdecydowałem, że lepiej żałować tego, co się zrobiło, niż tego, czego się nie zrobi.

Pocałowałem ją. Tym pocałunkiem zaprosiłem ją do sypialni. Sam nie wiedziałem, kto pierwszy to zaproponował. Niezbyt pamiętałem też drogę do domu. Wszystko działało się jak przez

mgłę, a ja ocuciłem się, gdy leżałem na niej. Gdy całowałem jej ciało. Wchodziłem w nią, dając nam przyjemność.

Zatraciłem się...

Dwie godziny później obudził mnie telefon od Błony. Leżałem sam. Za oknem zerwała się piekielna ulewa i burza. Trudno było mi uwierzyć, że tak szybko zmieniła się pogoda. A może spotkanie z Alicją tylko mi się przyśniło?

– Zostawiła list samobójczy!!! – wrzasnął Błona, aż odsunąłem telefon od ucha. – Słyszysz?! Zostawiła list samobójczy!

LIST

Droga mamo,

nie będę owijała w bawełnę. Myślę, że doskonale wiesz, dlaczego do Ciebie piszę i czemu zostawiam ten list. Wiesz, że jesteś dla mnie ważna. Z aresztu wyszłam odmieniona, miałam dużo czasu na myślenie. Tam byłam samotna.

Wciskałem maksymalnie pedał gazu, jednak czułem, że silnik się dławi.

Zmieniłem bieg na czwarty i zjechałem na swój pas, ignorując podwójną ciągłą i słabą widoczność na moście. Dźwięk silnika zniknął w sygnale syren policyjnych. Skręciłem na pas zjazdu do Gnieźdżewa. Gdzieś w głowie odbiło mi się buczenie sygnalizacji pociągu. I zamykanych rogatek. Docisnąłem gazu. Samochód jadący ze Swarzewa wprost na nas rozkołysał się pod wpływem ostrego hamowania. Nie zamierzałem stawać, mimo że Błona krzyczał o nadjeżdżającym pociągu.

Opuszczana rogatka szlabanu przejechała po dachu bravy, aż dźwięk tartego metalu przyprawił mnie o ciarki. Pociąg zatrafił. Przejechałem przez tory, powodując, że koła oderwały się od ziemi – nieznacznie, ale na tyle wyczuwalnie, aby rozregulowało to pracę silnika. Zredukowałem bieg na trójkę i pociąg pozostawiłem w tylnym lusterku.

Czułem, że to oddech śmierci mnie prowadzi. Albo wyrzuty sumienia, bo czasami zapominałem, że odznaka nie dawała mi powodu do niszczenia ludziom życia.

Zabrałem się za wyprzedzanie dostawczego auta. Z naprzeciwka, z małego wniesienia, wyłoniła się osobówka.

Cholera. Za blisko.

Zrozumiałam Twoje piękne słowa o miłości, o tym, jak wiele w życiu człowieka się zmienia. Przedtem, kiedy codziennie budziłam się sama, ogarniała mnie tylko złość. Brakowało mi motywacji, pracowałam i się uczyłam dla samej zasady, licząc, że może coś się zmieni. Miałaś rację. Wiara w powracające dobro się opłaca. Wypatrywanie miłości również.

Kia otarła się lewym przednim zderzakiem o nasz tylny.

Nie zwolniłem, chociaż przyznaję, że w pewnym momencie miałem przed oczami śmierć.

Wjechałem do Gnieźdźewa na sygnałach. Przywitało mnie bicie automatycznie działającego dzwona. Nie był to dźwięk, który przekonałby mnie do kościoła.

W przednią szybę uderzyło kilka kropel deszczu, najpierw przypominały nieregularny wzór kropek na biedronce, później zamieniły się w plagę ogromnych kraterów, które chciały przedrzeć się przez okno. Wprost do mnie. Lało tak bardzo, że wycieraczki nie nadążały ze zgarnianiem wody.

Błona krzyknął. Zwolniłem do czterdziestu na godzinę i przy wysepce skręciłem na swój pas. Przed nami mignął przód autobusu ze znakiem dzieci za przednią szybą. Inna osobówka

gwałtownie zjechała na chodnik. W tylnym lusterku widziałem, jak znak ostrzegający przed przejściem dla pieszych opada.

Nienawidziłam swojej pracy, tego, że zostałam ochroniarzem, kiedy moim marzeniem było budowanie kariery w biurach wielkich firm. Chciałam być pracownikiem biurowym, pracować osiem godzin dziennie, mieć prawo do urlopów, chorobowego, mieć wystarczająco pieniędzy na podróże. Mieć możliwość na spokojne macierzyńskie i wychowawcze. Zamiast tego byłam cieciem. Pracowałam po dwanaście godzin dziennie. Wiem, że cierpiałaś razem ze mną, Mamo. Na tym polega matczyzna miłość. Jednak nic nie mogłyśmy jeszcze zmienić. Potrzebowałyśmy pieniędzy. A one na ulicy nie leżą.

Znak „Szelewo” minąłem z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Musiałem mocno przytrzymać kierownicę, aby wiatr uderzający z lewej nie zepchnął nas do rowu. Na poboczu, przy kiosku, mignęły mi żółte kamizelki kolegów z pracy.

Nawet nie spojrzeli w naszą stronę, zajęci wypisywaniem mandatu.

Za ochotniczą strażą pożarną skręciłem w prawo. Minąłem lewiatan i wcisnąłem gaz do dechy. Znowu. Nawet nie wiedziałem, że potrafię tak prowadzić. Adrenalina sprawiała, że inaczej postrzegałem siebie.

Na pasy dla pieszych wbiegło dziecko z psem. Tym razem Błona rozwrzeszczał się na cały głos. Tylko co z tego, skoro na liczniku pojawiła się liczba trzycyfrowa? A nasza odległość od dziewczynki wynosiła mniej więcej pięćdziesiąt metrów...

Puściłem pedał gazu i nacisnąłem gwałtownie hamulec ze sprzęgłem.

Najgorzej działał na mnie brak snu. Miałam wrażenie, że to zmienia mnie w złego człowieka. Takiego bez skrupułów, wrednego, pozbawionego własnego „ja”. Nie chciałam tego. Naprawdę, Mamo. Wiele razy oberwałaś niestuszenie. Przepraszam.

Spasiony kundel pociągnął dziewczynkę w drugą stronę. Dzielili nas milimetry od prawdziwej tragedii, ale udało mi się ich minąć lewym pasem. Po opuszczeniu wsi na nowo zmusiłem silnik do wyższych obrotów.

Dziesięć sekund później wjechałem na parking Pihona, robiąc slalom pomiędzy wyjeżdżającymi osobówkami. Dojechałem do zamkniętego szlabanu.

– Zajmij się ochroną i wezwij straż!!!

Wybiegłem z samochodu, przeskoczyłem przez roгатkę i pobiegłem. Czułem opór, kiedy wiatr bliski stu dwudziestu kilometrów na godzinę podcinał mi nogi.

Uwierz mi. Na nocnych zmianach nie lubiłam rozgrzanych masek samochodów opatulonych zdradliwym mrozem, skraplaną wodą, bąbelkami, różnorodnymi wzorami.

Denerwowało mnie piszczenie uruchamianych agregatów, a później ich buczenie. Gdy w rzędzie stało dziesięć ciężarówek z lodówkami, trzęsły się szyby i blaty. Nie lubiłam śpiewu ptaków o trzeciej nad ranem, który wtedy wydawał się być wręcz krzykiem wygłodniałych wron. Nie lubiłam tych szczypiących oczu i opadających powiek. Zmęczenia. Bólu pleców. Drętwienia nóg. Pracy, która samym siedzeniem męczyła.

Tak samo kawa, która o drugiej w nocy smakuje jak siki, ale musisz ją wypić dla przeżycia. Łykasz ją i wyobrażasz sobie, że spijasz latte na leżaku w drogim hotelu. Wmawiasz sobie, że ta kawa działa, chociaż przyzwyczajony organizm już jej nie chce. Rzygałam tym kawskim. Na nockach magiczny napój przestał na mnie wpływać.

Wbiegłem na dach po metalowych schodach przy budynku administracyjnym. Wiatr sprawiał, że deszcz zamieniał się w igły, a bieg stawał się koślawy. Odbijałem się od jednej barierki do drugiej i modliłem, aby te metalowe łączenia nie okazały się za słabe. Ostatnie schodki kołysały się razem ze mną. Wiatr był tak silny na górze, że nie umiałem złapać równowagi ani porządnego oddechu. Trzymając się poręczy z obu stron, dostałem się na dach.

Postawiłem stopę na kładce. Deszcz okazał się bardziej zdradliwy niż przypuszczałem. Poślizgnąłem się na metalu, upadłem na kolano, a następnie wiatr przechylił mnie w

prawo. Wprost do małej przestrzeni bez barierek. Wyciągnąłem rękę, aby się czegoś chwycić.

Od ziemi dzieliło mnie siedemnaście metrów.

Ale były też plusy tej pracy. To fakt. Lubiłam twarze, które na mój widok się rozpromieniały. Dźwięki ich śmiechu. Historie zwyczajne, zawierające tak wiele emocji. Tajemnice, które docierały tylko do mnie. Władzę, jakie dawało mi to stanowisko. Niekiedy odnajdywałam w tym zakładzie pełnię życia.

Palcami obu rąk wplątałem się między metalowe kratki schodów. Poparzona ręka się wyslizgnęła i puściłem nią kratkę. Już widziałem, jak spadam na kostkę brukową. Słyszałem dźwięk trzaskających kości. A może tego się nie słyszy? Będzie bolało...? Podciągnąłem się, na ile mogłem, ale wciąż za mało. Czuję, jak ból w palcach sprawia, że uścisk słabnie...

Nie dam się tak zabić – pomyślałem i w ostatniej chwili, nim spadłbym na dół, zahaczyłem się w łokciu o wystający pręt.

I tak zawisłem...

Mamo, wszystko w tej firmie przypominało masarnię. Ściany emanowały krzykiem zabijanych świń. Zamierzałam zrezygnować z pracy na tym pustkowiu po tygodniu. Porzucić marzenia bądź odłożyć je na później. Ale...

Podciągnąłem się raz. Drugi... W połowie drogi opadłem z sił, albo to wiatr mnie ścigał. Machałem nogami, starając się

zahaczyć o cokolwiek wystającego z tych blach.

Co za kretyn wymyślił brak barierek na takich wysokościach?!

Zgięcie w łokciu zaczynało uporczywie boleć. Byłem za ciężki. Wodne igły padające z nieba sprawiały, że metal robił się bardziej śliski. Ta straszna wichura też nie pomagała w wspinaczce. Dobrze, że chociaż nie chorowałem na lęk wysokości.

Zacisnąłem zęby i krzyknąłem. Palcami od stóp udało mi się znaleźć wystające miejsce na ścianie. Zaczepiłem się o nie. Najpierw jedną nogą, później drugą. Udawało mi się: znacznie łatwiej mogłem się podciągnąć.

Wdrapałem się i położyłem na brzuchu. Tylko na chwilę. Na jeden oddech. Przez dziury w metalowych płytach widziałem ziemię.

Ile trzeba mieć w sobie odwagi, aby samemu wybrać skok z takiej wysokości?

Nie odpowiedziałem sobie na to pytanie. Na czworakach przedostałem się do ścieżki na dachu zabezpieczonej barierkami. Wstałem i pobiegłem dalej. Skoro nie mogłem znaleźć przejścia w barierce, a ścieżka nie prowadziła mnie tam, gdzie zmierzałem, przeskoczyłem przez nią.

Podeszwy zapadły się w miękkiej papie. Tym razem biegłem już bezpieczniejszy, między maszynami z flirtami piszczącymi i syczącymi synchronicznie z wichurą. Bałem się tylko przez moment – kiedy musiałem przebiec nad rampami

rozładunkowymi, gdzie ponownie nic nie chroniło mnie przed upadkiem.

Szybko zmieniłam zdanie. Ty znasz powód mojej przemiany, Mamo. Zakochałam się w nim bez pamięci. Miłością tak silną, że aż nierealną. Kochałam go ponad wszystko. Ciągle kocham. Dbał o mnie. Chciał mi zapewnić spokojną przyszłość. Dać mi to szczęście, jakiego wtedy poszukiwałam.

Jednak po jednej z naszych kłótni zwątpiłam i go zdradziłam, Mamo. Wiesz, jak sobą za to gardzę? Uczyłaś mnie, że miłość powinna być cierpliwa i wierna. Wierzyłam w to, a jednak tego nie dotrzymałam. Grałam na dwa fronty, zagubiona we własnych uczuciach. Teraz rozumiem, że wtedy bałam się odpowiedzialności.

Zawahałem się przed wbiegnięciem na dach łącznika, który mógł mieć cztery metry szerokości. Przełknąłem ślinę i przykucnąłem. Wiatr bujał mną na wszystkie strony, a nie chciałem ponownie zawisnąć w powietrzu. Zresztą w tym przypadku roztrzaskałbym się na czarnym asfalcie.

Na końcu dobudowanego magazynu, jakieś dwieście – może trzysta metrów ode mnie, zauważyłem postać. Poruszała się blisko krawędzi. Próbowałem jej się przyjrzeć, jednak strugi deszczu skrupulatnie mi przeszkadzały.

Za moimi plecami zapiszczała maszyna.

Odważyłem się pobiec. Po pięciu długich krokach mną zakołysało.

Tylko nie to!

Bo kochałam jego. Tylko jego. I nic więcej się nie liczyło. To przerażające, wiesz, Mamo? Nawet nie wiesz, jak miłość potrafi przerazić człowieka. Jest taka władcza. Otępia umysł. Niby jest wszystkim, ale to wszystko jest tak potężne, że człowiek w niej żyje, w takim bąbelku. Zatraca się. Przestaje się liczyć jako jednostka.

Nie wiedziałam, jak to zrobił, ale dowiedział się o moim romansie. Kazał mi wybierać. Nie zastanawiałam się – dostał mnie na własność. Od naszego pierwszego spotkania. Tak już zostało.

Zerwałam z Wójcikiem i zadeklarowałam się Bulczakowi. Niby nic nie mogło przeszkodzić naszemu szczęściu, prawda?

Zatrzymałam się na rękach. Odbiłam się od podłoża i pobiegłam dalej. Przerazone oczy Wiolety mnie spostrzegły. Stała tyłem do przepaści. Rozłożyła ręce wzdłuż ramion.

– Szady, stój!!! – Usłyszałem krzyk Błony. – To niebezpieczne! Mimo ostrzeżenia – przyspieszyłem.

Miałem wrażenie, że deszcz i wiatr zaczęły mnie omijać. Jakby nie chciały mi przeszkodzić w ratowaniu życia.

Wioleta uśmiechnęła się, albo mi się tak tylko wydało.

Przechyliła się do tyłu. Wyprostowana.

Pomyliłem się co do wiatru. Mocniejszy podmuch podbił mnie w górę. Był tak potężny, że udało mu się unieść moje prawie sto kilogramów.

Tego uczucia oderwania stóp od podłoża nigdy nie zapomnę. Szczególnie na takiej wysokości.

Kiedy opadłem na podłoże, zrozumiałem, że nie dam rady jej złapać. Mimo tego wyskoczyłem...

Jednak przyszła śmierć. Zdecydowała się odebrać nam prawo do szczęścia.

Bo wiesz, Mamo, śmierć pociąga za sobą więcej niż jedną duszę.

Zabrała też Bulczaka. Przeniósł się do Francji, odszedł nie tylko z firmy, ale również ode mnie. Czuję, że wini mnie za to wszystko. Pozwoliłam im odkryć nasz sekret. Wielki sekret.

Jak żyć bez prawdziwej miłości, Mamo? Sama powtarzałaś, że ją spotyka się tylko raz. Mój raz właśnie przepadł. A skoro roztrzaskała się moja dusza, to i ciało może.

Wiatr uderzył w Wioletę i wygiął jej ciało w prawo. Złapałem ją za nadgarstek, na moje nieszczęście zranioną dłonią, samemu upadając brzuchem na kant dachu. Ostra metalowa blacha weszła pomiędzy moje żebra. Nie wiedziałem, czy przebiła skórę, ale bolało tak, że o mało co nie puściłem Wiolety.

Ponad sto kilogramów damskiego ciała ciągnęło mnie w dół. Nogi uniosły się, a głowa wymierzyła kierunek upadku.

Przed oczami pojawiły mi się twarze Alicji i Krystiana.

Ujrzałem urywki pożegnalnej nocy z Alicją. Nie mogłem tutaj zginać.

Wstrzymałem oddech i zaparłem się zdrową ręką. Ostra blacha przecięła mi dłoń i z każdą sekundą zanurzała się głębiej. Wypuściłem powietrze wraz z jękiem, który zgubił się gdzieś w rozwścieczonym ryku wiatru.

To nie mogło się tak skończyć!

Blacha pod naszym ciężarem zaczynała się uginać.

Zostało nam zaledwie kilka sekund. O kilkanaście za mało do przyjazdu straży pożarnej i pomocy Błony.

Chciałam być taka jak Ty, Mamo. Naprawdę. Nie podołałam. Zawiodłam Cię tak, jak zawiodłam Natalię. Pozwoliłam, by zginęła na mojej zmianie. Co to za ochroniarz, który nie potrafi uratować chociażby jednostki? Później okłamałam policję. Bałam się powiedzieć prawdę, Mamo, chociaż uczyłaś mnie, że jedynie prawda popłaca.

Wiatr zdawał się uspokoić, może przeczuwał, że to zdarzenie będzie trzeba uczcić minutą ciszy. Tak rzadkiej ciszy w moim życiu.

– Wioleta! – Zamknąłem oczy i starałem się ją podciągnąć. W tym samym czasie blacha ugięła się jeszcze bardziej, spychając nas niżej.

– Trzymaj się mocno! – krzyknąłem, gdy poczułem, że mokra ręka dziewczyny mi się wyślizguje. Była za ciężka. A ból coraz potężniejszy.

Wykorzystałem mięśnie pleców, aby się wygiąć. Wioleta uniosła się wraz ze mną. Jeszcze trochę, a dziewczyna będzie w stanie chwycić się krawędzi dachu. Zacisnąłem zęby.

Krzyknąłem. Blacha rozcinała skórę na moim brzuchu. Poleciały mi łzy. Na szczęście krople deszczu zakryły wszystko.

Jeszcze trochę...

Blacha odpadła od ściany. Zaszleściła w powietrzu, jakby była liściem lub papierem, a nie kawałkiem metalu.

Tym razem przed oczami zobaczyłem postać w czarnym płaszczu z zakrwawioną i pokiereszowaną twarzą.

Spadaliśmy.

Zawiodłam. Nie da się mnie uratować, Mamo. Nie chcę tak żyć. Będę umierać samotnie, jak Natalia Nyżyńska.

– Nie chcę umierać! – wydusiła z siebie Wioleta.

Zawisłem w powietrzu. Wioletą szarpnęło. Mój ścisk na jej dłoni zelżał. Traciłem ją.

– Mam cię, Szady! – Błona trzymał mnie za uda.

– Nie chcę umierać! – powtórzyła Wioleta.

Złapałem ją rozciętą ręką, ona również złapała mnie. Siedemnaście metrów w dół. Moja krew kapiała na asfalt. Miałem wrażenie, że krążenie w żyłach rozpoczęło ponownie pracę, jakby organizm umarł i narodził się na nowo.

– Nie umrzesz. Nie pozwolę na to – zapewniłem.

Kiedy Błona wciągnął mnie tak, że uklęknałem, pomógł mi z Wioletą.

W trójkę usiedliśmy na dachu. Złapałem się w okolicach klatki piersiowej, wyczułem jak serce przebijało się przez

moką bluzę i kurtkę. Wokół mnie rozlewała się rozcieńczona krew.

Uśmiechnąłem się.

Wioleta odwzajemniła uśmiech, chociaż w jej oczach wciąż widziałem strach.

Nie odejdę po cichu. Chcę, aby dyrektorka i policja doświadczyła mojego cierpienia. Chcę odejść z hukiem. Chcę pod koniec zaistnieć w oczach setek.

Odetchnąłem z ulgą. Poczulem, że wszystko będzie dobrze.

Błona wstał jako pierwszy.

Po kilku metrach obróciliśmy się w stronę Wiolety.

Wystarczyło zejść na dół, aby ta historia miała szczęśliwe zakończenie.

Wioleta podniosła się z podłoża. Uśmiechnęła się i poprawiła koszulkę.

Zrobiła krok...

W tym momencie uderzył w nas potężny podmuch wiatru. Jakby wcześniej ucichł, by uspić naszą czujność. Błona natychmiast przykucnął, ja zaraz za nim.

Wioletą wstrząsnęło. Straciła równowagę. Miotła się. Machała rękoma. Próbowwała przykleić się stopami do podłoża.

Nie brakowało jej dużo. Naprawdę niewiele. Tylko drugi podmuch wiatru poprawił dzieło poprzednika i podrzucając, opuścił ją w kierunku przepaści.

Tym razem stałem za daleko. Nie zdołałem jej złapać.

Kocham Cię, Mamo. Zawsze będę. Gdziekolwiek trafię.

Twoja córcia, Wioleta.

FURIA

– ...meteorolodzy nie pomylili się i tym razem – mówiła dziennikarka ubrana w jednorazowy płaszcz przeciwdeszczowy. – Ksawery osiągający prędkość dwustu kilometrów na godzinę narobił na Pomorzu szkód na dwadzieścia milionów złotych. Dodatkowo orkan ten zabił...

Wyłączyłem telewizor i przewróciłem się na łóżku w stronę ściany.

Naczelnik Wróbel po wczorajszym wydarzeniu dał mi jeden przymusowy dzień wolnego. Jeden dzień wolnego! W czym to miało mi pomóc? Poczułem bardzo silną chęć zapalenia papierosa, aż dławiło mnie w płucach. Obiecałem sobie, że do tego nałogu nigdy nie wrócę, chociaż z drugiej strony i tak już nieraz złamałem słowo. Zasłoniłem kołdrą głowę. Walczyłem z myślami.

Być może zachowywałem się nieodpowiednio, zabrakło mi typowych jaj supergliniarzy z powieści, ale widok spadającej z dachu Wiolety wwiercił mi się w czaszkę. Widziałem przerażenie na jej twarzy, kiedy zdała sobie sprawę, że nie zdąży. Nikt jej nie ocalił. Słyszałem jej krzyk. Zapamiętałem widok jej wykręconego ciała na ziemi. Tę pogłębiającą się czerń asfaltu.

Wybrała nieodpowiedni dzień na chęć bycia ratowaną.

Szarpnąłem prześcieradłem, zaciskając zęby. Materiał rozerwał się pod wpływem siły. Niech to szlag! Dlaczego wypuściłem ją z celi?! Przeturlałem się na drugą stronę łóżka, następnie wstałem szybciej niż zamierzałem. Zakręciło mi się w głowie, zaboląła mnie też zszyta rana na brzuchu. Wczoraj położyłem się do łóżka, gdy na zegarze widniały cztery dwójki. A przynajmniej tyle pamiętałem. Ile czasu faktycznie przespałem? Piętnaście minut? Więcej zajęło mi myślenie o alkoholu. Policjant, który zapija smutki, nie wytrzyma długo na służbie. Nie chciałem do nich należeć. Zaczynać dnia od kieliszka.

Ścisnęło mnie w żołądku. To na papierosa, to na wódkę.

Na bosy podreptałem do barku w moim pokoju gier. Otworzyłem go. Jack daniel's, jeam beam, wyborowa, stock, kilka wytrawnych win po Alicji. Sięgnąłem po jacka daniel'sa, chwyciłem za szyjkę i się zatrzymałem. Poczułem, jak przez przelyk przepływa ciepło. I to wcale nie było to ciepło, jakie czułem zwykle po whisky. Miałem wyrzuty sumienia. Jeśli teraz bym wypił, upiłbym się do porzygania. Zasnąłbym na podłodze, albo z głową na klawiaturze. Nie odbierałbym telefonów. Zniknąłbym. Wiedziałem, że na jednej butelce bym nie skończył.

Co z Nyżyńską? Zacisnąłem pięść i trzasnąłem nią w biurko. Zaboląło. Myszka podskoczyła, puste szklanki po kawie się przewróciły. Na zabandażowaną dłoń wypłynęła krew; pięć

szwów, tyle zostało mi po wczorajszym wypadku. Jakby nie patrzeć, przez tę sprawę załatwiłem sobie obie dłonie.

Zbyt długo trzymałem w sobie złość. Podrzuciłem butelkę i rzuciłem nią w pustą ścianę. Nie myślałem. Hałas rozbitego szkła poprzedził chlust whisky. Oddychałem szybko. Za szybko. Potrzebowałem wyładować złą energię, zanim zrobiłbym komuś krzywdę.

Zgarnąłem spodnie dresowe z łazienki i zbiegłem do piwnicy.

Ze starego regału wziąłem rękawice bokserskie, ale ich nie założyłem. Wziąłem oddech. Musiałem poczuć materiał worka, cierpienie z ran na dłoniach. W momencie wypuszczenia powietrza z płuc zadałem piąty cios. Wtedy już poszło. Skakałem, pozorowałem uniki, uderzałem, kopałem i uderzałem jeszcze szybciej. Chciałem, aby ta wściekłość ze mnie zeszła wraz z zalewającym mnie potem. Nie szło zbyt dobrze. Napięte mięśnie się nie rozluźniały, a rana na prawej ręce spowalniała moje ciosy. Zerwałem szew, krew ściekała mi po przedramieniu.

Usłyszałem dzwonek do drzwi. Jeden. Drugi. Kopnąłem w worek. Siostra zbiegła po schodach. Więc jednak była w domu? Drzwi wejściowe zatrzeszczały, później trzasnęły. Doszły do mnie dwa damskie głosy. Uderzałem szybciej. Z kostek u rąk ciekła dodatkowa krew. Plamiłem betonową podłogę rozbryzgami.

Niech to jasna cholera!!! Walnąłem w worek tak mocno, że uniósł się pod sufit, a metalowe zaczepienie wysunęło się z

haka. Kiedy worek walnął o ziemię, roznosząc kurz, patrzyłem na najpiękniejszą kobietę w moim życiu. Mimowolnie przypominałem ją sobie naga, w moich ramionach. W łóżku. Pod tą samą pościelą, którą dzisiaj rozdarłem.

Alicja stała nieruchomo z ręką położoną na poręczy. Miała na sobie sukienkę, którą jej kupiłem na pierwszą rocznicę naszego związku. Beżową, obcisłą, uwydatniającą kobiece kształty. Chciałem, aby ją miała, abym się nią chwalił. Niestety, teraz Maks się nią szczycił. Złapałem się pod żebrami. Nie byłem pewien, czy moje ciało zalewał pot czy krew. Ale bolało. Bolało tak bardzo, że zabrakło mi tchu. I znowu nie wiedziałem, co bardziej bolało. Rozerwane serce, czy gojące się rany.

Wytarłem pot z czoła i spod nosa w przedramię. Pozwoliłem, by krew ściekała mi z palców na ziemię. Alicja nie ruszyła się z miejsca, więc podszedłem do niej. Patrzyła na moje ręce opuchniętymi oczami. Przez pierwszą chwilę zastanawiałem się, czy dowiedziała się o Misztalewskiej i mi współczuła, ale później przypominałem sobie, że pewnie płakała z wyrzutów sumienia.

– Co tu znowu robisz? – spytałem, aby powstrzymać to mrowienie w klatce piersiowej. Chciałem ją objąć. Pocałować. Znaleźć w niej ukojenie.

Zeszła o kilka stopni i położyła zimną dłoń na moim przedramieniu.

Przeszedł mnie dreszcz.

Pogłaskała mnie, jak pół roku temu przed rozstaniem, gdy spędzaliśmy czas w ogrodzie, na leżakach, przy ognisku i kiełbaskach. Zamrugalem kilka razy. Nie potrzebowałem teraz dramatów, a byłem przekonany, że nie przyszła tutaj, by do mnie wrócić. Ten most spaliliśmy.

– Dzwonił do mnie Patryk, wszystko mi powiedział. – Jej słowa trafiały nie tylko do mojego mózgu, ale także i serca. Czy z miłości można się wyleczyć? – Przyszłam sprawdzić, jak się czujesz. Pewnie musi być ci ciężko, a ja nie pomogłam naszym ostatnim... No wiesz.

– Błona ma za długi język, a mi nic nie jest. – Odsunąłem się mimo trudu, jaki mi to zadało. Alicja zostawiła dłoń w powietrzu. – Taka praca. Nie przejmowałbym się na twoim miejscu. A jak już sprawdziłaś, że żyję, to możesz sobie pójść.

Po grymasie na jej twarzy zrozumiałem, że zabrzmiałem bardziej szorstko niż zamierzałem. Ale jak miałem traktować kobietę, która zostawiła mnie dla innego, a jeszcze dzień wcześniej była ze mną w łóżku? Była, i znowu wróciła do Maksa. Złamała mi serce. Po czterech latach przywiązałem się do jej syna. Tylko on mnie powstrzymywał przed całkowitym zerwaniem z nią kontaktu.

– Oczywiście, przepraszam. – Pociągnęła nosem. – Przepraszam za wszystko. Jednak musisz wiedzieć, że Maksa poznałam po naszym rozstaniu. Nie miał nic wspólnego z moim odejściem.

Podniosłem worek z ziemi i oparłem o ścianę. Miałem nadzieję, że Alicja wyszła, ale wciąż stała na schodach.

– Wiesz, że to twoja praca nas rozdzieliła, prawda? – spytała, a we mnie zawrzało. Ponownie rozdmuchiwała ten temat. Czy ona nie ma za krzty wycucia? – Właśnie takie zachowania nas od siebie odsunęły. Nigdy nie chciałam być z mężczyzną, który całe życie poświęca pracy. Te nadgodziny, spotkania służbowe, tajemnice. Nawet kiedy cierpiełaś, nic mi nie mówiłaś, chociaż prosiłam i zawsze byłam obok. Ale: nie, ty wybierałaś worek treningowy. – Westchnęła. – Teraz też tu jestem. I dobrze wiesz, co do ciebie czuję. Ta ostatnia noc... przecież wiesz!

Zaśmiałem się ze złości. Roznosiło mnie.

– Co czujesz do mnie, czy do wyobrażeń o mnie?! – krzyknąłem. – Alicja, nie mam zamiaru znowu o tym rozmawiać. Doskonale wiedziałaś, że praca jest dla mnie ważna i na początku nie zamierzałaś tego zmieniać. Tego dnia, kiedy przywiozłem ci do szpitala umierającego człowieka, nic ci nie przeszkadzało. Poinformowałaś mnie o zgonie, później zaczęłaś ze mną flirtować. Byłaś zachwycona, że spotykasz się z policjantem. A teraz: co?! Odwróciłaś się, bo było trudniej?! Bo nie jestem słodkim misiem, który w takich momentach się przytula?! – Oparłem się o barierkę, poczułem szczypanie na dłoniach i brzuchu. – Wiesz ty, co? Spieprzaj z tymi swoimi oskarżeniami. Nie jesteś ode mnie lepsza. Ja ciebie pokochałem razem z tym wszystkim, co ty uważałaś za wady.

Pokochałem Krystiana i traktowałem go jak syna. Nadal to robię, chociaż zrobiłaś go z kretynem, który siedzi za kratami. Nie pierdol mi tu o zmianach, dobra? Ja nie kazałem się tobie zmieniać! A też dużo pracowałaś, często miałaś dodatkowe dyżury. I co?! Nie chciałem, żebyś porzucała swoje życie. – Zaśmiałem się ponownie. – Wkurwia mnie to, że wspominasz o uczuciach, nie mając o nich najmniejszego pojęcia.

Cofnęła się, jakbym uderzył ją w twarz, ale nie mogłem się powstrzymać. Nie tylko szwy pękły, moje nerwy także.

– Nic nas nie łączy, jasne? Nie wracaj tu z tymi teoriami o niespełnionej miłości. O tym, jak wiele straciłaś, odchodząc ode mnie. Nie rób mi wyrzutów sumienia, bo to nie ja mieszkam z jakimś frajerem w domu, który wspólnie remontowaliśmy!!! – Podrapałem się wokół bandaża na lewej ręce. – A teraz spieprzaj do swojego chłoptasia! Idź mu powiedz, że go kochasz, chociaż przed chwilą wyznałaś to samo mnie i dzień wcześniej przespałaś się ze mną, a później uciekłaś, bo zabrakło ci odwagi, aby spojrzeć mi w oczy. Idź! Spieprzaj do niego!

Podskoczyła.

– Jesteś... – szepnęła, machnęła ręką i wybiegła z piwnicy. Swoje niezadowolenie zakomunikowała trzaśnięciem drzwiami.

Przykucnąłem, wysuwając przed siebie dłoń. Zacząłem zdejmować przemoknięty bandaż nad kratką ściekową. Chęć

na alkohol się powiększyła. Żałowałem, że rozbiłem tamtą butelkę o ścianę.

– Nie jesteś za ostry? – spytała Karolina, wchodząc do piwnicy przez garaż. – Dziewczyna się pogubiła, a ty jak zwykle zamiast skorzystać, to spieprzyłeś sprawę. Może była gotowa zrezygnować ze swoich wymagań? Specjalnie dla ciebie?

– Podśluchiwałaś? – Wstałem z klęczek. – Co mówiłem na temat prywatności? Mieszkamy razem, ale zajmujesz dolne piętro i trzymasz dziób na kłódkę.

– Jestem na dziennikarstwie, nie licz na to – odpowiedziała, obserwując, jak odsłaniam ranę na brzuchu. Na szczęście pękły tylko dwa szwy. – Idź z tym do lekarza. Niech ci założą nowe. A dla Alicji nie bądź taki ostry. Dobrze wiesz, ile przeszła. Poza tym wydaje mi się, że zapominasz, co działo się z tobą rok temu. Mnie to nie dziwi, że kopnęła cię w tyłek. Dziwi mnie jedynie to, że pozwoliłeś jej odejść.

Podstawiłem drabinę pod hak. Wszedłem na drugi szczebel, próbując podnieść worek. Ból ściągnął mnie ku dołowi, więc zrezygnowałem z pomysłu.

Obiecałem siostrze pojechać do szpitala, ale kiedy wsiadłem do skody, okazało się, że rozładował mi się akumulator. Dzień wcześniej zostawiłem włączone radio.

POTWÓR POD ŁÓŻKIEM

Maj zbratał się z listopadem. Na niebie unosiły się czarne chmury, temperatura zmieniała oddech w parę, a na trawie roztopiała się rosa. Opatuliłem się mocniej płaszczem i poprawiłem krawat. Przybliżyłem się też do grubasa w czarnym swetrze i obcisłych spodniach, które dzieliły jego brzuch na dwa pontony.

Ksiądz stał przy trumnie i odmawiał dalszą część modlitwy. Miejscami zagłuszał go płacz matki. Nie umiałem jej spojrzeć w twarz, czułem się winny. Sam walczyłem ze łzami, aby pozostać mężczyzną – twardym i nieugiętym. Nosilem odznakę w kieszeni, broń przy pasie. Przez osiem lat służby w policji naoglądałem się śmierci, choć żadna nie była porównywalna do tej. Przywykłem. A jednak historia na dachu sprawiła, że wpadłem w trzydniowy cug. Po wizycie w szpitalu zajechałem do polomarketu i kupiłem kilka butelek jacka daniel'sa.

Błona obudził mnie dzisiaj o ósmej rano. Starał się wywlec mnie z łóżka z pomocą wiadra zimnej wody. Miałem chęć go zlać, ale ból głowy, brzucha i rąk powstrzymał mnie przed radykalnymi ruchami, więc dalej leżałem się w mokrej pościeli. Z zamkniętymi oczami szukałem butelki po whisky, pamiętałem, że zostało coś z wczoraj na jej dnie. Błona podsunął mi lekarstwo na kaca i dwie puszki z elektrolitami.

Od niechcienia je wypilem, połknałem też dwie tabletki przeciwbólowe.

– Zostaw mnie – wydukałem.

– Dwa dni spędziłem na służbie z Zakrzewskim. Stary chciał cię wyrzucić na zbity łeb, miałeś dawno wrócić do pracy. Nawet telefonu nie odbierałeś. – Otworzył szafę w sypialni. – Ponoć masz tutaj garnitur. Zapieprzaj do łazienki się wykapać, a ja zmobilizuję Karolinę do prasowania. Za półtorej godziny musimy być w kościele.

W tamtej chwili doszedłem do wniosku, że przyjacielem nie jest osoba, która cię głaszcze, a ta, która pomoże ci odbić się od dna, mimo że sam nie widzisz już sensu życia. Błona dał mi czas na przepicie żalu, pozwolił mi upaść i przetrwać emocje. Wiedziałem, że nie tylko śmierć Misztalewskiej mnie przytłoczyła. Trzy dni temu, kiedy wróciłem ze szpitala, Karolina wręczyła mi kopertę. Poznałem pismo Alicji, dlatego nie otwierałem jej aż do wieczora. Żałowałem, że nie wyrzuciłem jej od razu do śmietnika.

Błona przeszedł obok matki, rozglądając się po zebranych. Na pogrzeb przyszła masa ludzi, część stała na zewnątrz kościoła. Domyślałem się, że większości z nich rodzina nie znała. Media od wypadku na dachu nie przestawały huczeć. Do sprawy włączyli się dodatkowi policjanci, tym razem z Warszawy. Z tego, co opowiedział mi Błona: nadzorowali działanie dotychczasowych grup śledczych. Męczyła mnie ta sprawa tak bardzo, że patrząc na trumnę Wiolety,

wyobraziłem sobie w niej siebie, leżącego w ciemnościach ze złożonymi rękoma na piersi. Bez oddechu, bicia serca, cierpienia.

Mimo tłumy zauważyłem delegację z Pihona – stała z przodu, bardzo blisko rodziny. Dyrektor Ciesińska w czarnej sukience niewystającej z płaszczu, kierownik produkcji Zielińska w jasnym płaszczu i czarnych spodniach w kant, i mężczyzna w okularach podobny do Bulczaka. Ale Bulczaka brakowało. Nie zamierzał wracać z Francji na pogrzeb swojej byłej, więc miłość jednak nie była dla niego tak istotna jak dla Wiolety. Mimowolnie zacząłem się zastanawiać nad istotą miłości. Alicja twierdziła, że mnie kocha, ale wychodziła za innego. I jeszcze wysłała mi zaproszenie na ślub. Czy cokolwiek w życiu ma sens?

Zakończono modlitwę i ksiądz sypnął piach na trumnę. Jako druga podeszła matka, wychudzona, blada, z czerwonymi od płaczu oczami i chusteczką przy nosie. Kiedy sypnęła piachem, część z niego wpadła jej do oczu. Młodsza córka, Pola, próbowała jej pomóc, ale ta odskoczyła i zwróciła się do niej plecami. Pola się zawahała. Najwyraźniej wyczuła, że ją obserwuję, bo na mnie spojrzała. Wzięła piach i rzuciła. Nie zdążyła się odsunąć, a już wygrzebywała piasek spod paznokci.

W grupie żałobników odnalazłem kierownika ochrony Możyca i Zdzisława Zabiegłego. Nie byłem już pewien, kogo bardziej zawiodłem. Matkę, siebie czy Możyca. Liczył, że nie

pozwolę polityce zniszczyć Wiolety Misztalewskiej. Szkoda, że ludzkie życie było mniej warte od zer na koncie.

Dlaczego jej nie złapałem? I dlaczego nie wziąłem ze sobą zapasów whisky? Pragnąłem wrócić do domu, upić się i zasnąć.

Ceremonia pogrzebowa dobiegała końca. Żałobnicy podchodzili do Katarzyny Misztalewskiej, by złożyć jej kondolencje. Przyszła i moja kolej. Zdjąłem rękawice. Kobieta uścisnęła moją dłoń obiema rękoma. Wciąż gojące się rany bolały, nie powstrzymałem grymasu.

– Panie Szadurski, dziękuję. Wiem, że zrobił pan wszystko, żeby pomóc mojej córce.

Pola prychnęła, ale to zignorowaliśmy.

– Proszę przyjąć wyrazy mojego współczucia.

Odszedłem, żeby nie prowokować Poli. Za mną poszedł Błona. Zastanawialiśmy się przez chwilę, czy pójść na stypę, ale zdecydowałem się tam nie pokazywać. Byłem policjantem, który nie uratował Wiolety. Nawet teraz przypominali mi o tym reporterzy, robili zdjęcia ceremonii, skupiając się także na mnie. Nienawidziłem tego. Nie dawali ludziom żyć, zarabiali na cudzym nieszczęściu. Czy ludzkość kiedyś zmieni priorytety? Czemu nikt nie czyta o kotkach uratowanych z drzew?

Błona położył dłoń na moim ramieniu. Wiedziałem, że chciał dodać mi w ten sposób otuchy, ale nie potrzebowałem tego. Marzyłem o Jacku Daniel'sie.

– Też tam byłem – szepnął. – Nie zapominaj, że nie tylko ty jej nie uratowałeś.

Późno to do mnie dotarło. Błona nie wyglądał najlepiej i pewnie tak samo jak mnie męczyły go wyrzuty sumienia. Mogliśmy przy niej zostać, pomóc jej zejść z dachu, ale obaj odeszliśmy. Spadła i nikt z nas nie mógł tego zmienić. Poczułem się jeszcze gorzej. Błona mimo tego pracował, gdy ja zalewałem smutki. Westchnąłem. Tym razem przydałyby mi się dwie butelki jacka daniel'sa. I urlop. Jak najdalej stąd.

Tłum kierował się do wyjścia. Część ciekawskich już się zmyła. Chociaż Katarzyna Misztalewska dawno opuściła cmentarz, Pola wciąż stała obok trumny. Podeszliśmy do niej z Błoną, stanęliśmy po obu jej stronach.

– Nie powiedziałam o tym matce, bo byłam wściekła – mówiła, wciąż patrząc na trumnę. Zerknąłem na Błone, wzruszył ramionami. – Moja siostra taka nie była, nie miałam z nią za dobrego kontaktu, ale nie chce mi się wierzyć, że mogłaby kogoś skrzywdzić. To nie ona. Przecież bała się krwi. W jaki sposób ktoś, kto boi się krwi, może zamordować?

Uniosłem brwi i cały się spiałem. O czym ona mówiła?

– Jeszcze przed moim wyjazdem do Anglii poszliśmy z Wioletą się napić. Wicie: wypić za lepsze dni, za mój nowy początek. Wstawiłyśmy się, naprawdę dużo wypiliśmy, ale kupiliśmy sobie jeszcze po piwie na drogę. Tak na rozgrzanie, bo było strasznie zimno. Nie pamiętam już, jak to się stało, ale wypadła mi butelka. Śmiałyśmy się z tego, ale w końcu

Wioleta powiedziała, że trzeba to posprzątać, bo zbite szkło leżało na chodniku. Chciałam to skopać na trawnik, ale mi nie pozwoliła. Stwierdziła, że jakiś pies może się zaciąć. – Uśmiechnęła się. – Właśnie taka była moja siostra. Dbała o wszystkich. Była gotowa na poświęcenia i to mnie w niej denerwowało. Była lepsza ode mnie, rozumiecie? Ja grałam w życiu czarny charakter, ona ten biały. Wydawało mi się, że właśnie przez to moja matka kocha ją bardziej. Przypominała jej ojca, który więcej czasu spędzał poza domem. Nawet na pogrzebie się nie pojawił. Czy to nie dziwne? Własny ojciec nie przychodzi na pogrzeb swojej córki. – Pociągnęła nosem. – W głowie mi się nie mieści, że miłość może znaczyć tak mało. No, ale wróćmy do mojej rozbitej butelki. Podczas sprzątanía kawałków szkła zacięłam się w palec. Rana nie była głęboka, nawet mnie nie bolało, bo alkohol wszystko stłumił. Ale Wioleta to zauważyła. Narobiła krzyku, jakby co najmniej rozerwało mi dłoń. Nie mogłam jej uspokoić, cała drżała. Przeraziła mnie.

– Wiem, widziałem ją wtedy, gdy znalazła krew w Pihonie – wtrąciłem. – Wioleta bardzo to przeżywała.

– Skoro to przeżywała – spojrzała mi w oczy – proszę mi powiedzieć, dlaczego zamordowała? Jakim sposobem zabiła tę kobietę w Pihonie, i po co? Co nią kierowało? Jaki miała motyw? Dlaczego to zrobiła?!

Jej krzyk zwrócił uwagę reporterów.

Pstrykali zdjęcia, aż jeden z funkcjonariuszy poprosił ich o odejście.

– Pani Polu, lepiej by było, gdyby powiedziała nam pani, o co chodzi. Nie rozumiem dlaczego oskarża pani siostrę o morderstwo.

Pola zdjęła z ramienia torbę. Otworzyła zamek i wyciągnęła z niej zakrwawioną białą szmatę w jednorazowej siatce.

Dopiero kiedy mi ją podała, zrozumiałem, co mogło kryć się w środku. Nie chciałem jej jednak odwijać, więc schowałem podarunek do kieszeni płaszcza. Zmieścił się.

– Znalazłam to wczoraj pod jej łóżkiem. Długo się zastanawiałam, co mam z tym zrobić i w końcu zdecydowałam, że to panu oddam – mówiła, ocierając z policzków łzy. – Nie chciałam, żeby moja siostra wyszła na morderczynię. Nie wiedziałam, jakim sposobem... Nie wiem... To mnie przerasta.

Błona położył rękę na jej plecach, pogłaskał ją. Dziewczyna ku mojemu zdziwieniu przytuliła się do niego i rozplakała na dobre. Błona ją objął, a ja patrzyłem na trumnę. Czy to mogła być prawda? Czy Wioleta Misztalewska zamordowała Natalię Nyżyńską? Może to wcale nie złamane serce pokierowało ją na ten dach?

Rozbolała mnie głowa. Nie wytrzymałem już tych niespodzianek.

SPLAMIONA

Broczek zgodził się poczekać na zakończenie stypy w Delfinie. Okazał się wielkoduszny, ale najgorsze i tak w końcu spadło na rodzinę Misztalewskich. Fortuna zapukał do ich drzwi z nakazem przeszukania. W momencie kiedy matka ujrzała mnie na schodach, odwróciłem wzrok. Nie mogłem spojrzeć jej w oczy. Nie po tym, jak wyrządziłem tej rodzinie krzywdę.

– Pani Misztalewska, mamy nakaz przeszukania. – Fortuna przekazał jej dokument.

– Tak, wiem. Moja córka wszystko mi wyjaśniła. Proszę, wejdźcie.

Otworzyła szeroko drzwi i sama zniknęła w pokoju obok. Przy oknie stała Pola z rękoma skrzyżowanymi na klatce piersiowej, nie uraczyła nas spojrzeniem. Pani Misztalewska usiadła na kanapie przy popielniczce. Złapała za papierosa i zapaliła. Wciągnęła dym nikotynowy do płuc, jakby w nim zawierało się ukojenie jej cierpień. Usiadłem na fotelu naprzeciwko niej. Błona stanął za mną.

– Pani Katarzyno, gdzie jest pokój córki? – spytał Fortuna.

– Na końcu korytarza – odpowiedziała bez emocji. – Ostatnie drzwi na lewo.

W salonie, oprócz duchoty i smrodu niewietrzonego domu i papierosów, unosił się specyficzny zapach żałoby. Czuję go

nie raz w swojej karierze. Pachniał wilgocią łez i zaciągał niemytym ciałem. W tym momencie przykrywały go opary damskich perfum, ale mnie nie oszukały. Smutek ważył w tym domu tonę.

– Pani Misztalewska, wiem, że nie jest pani łatwo, ale chciałbym zadać parę pytań o Wioletę – powiedziałem. Kobieta uniosła na mnie spojrzenie, wyglądała jak smutna panda z rozmazanym tuszem pod oczami.

– Oczywiście. Rozumiem. – Zakaszłała. – Przepraszam. Spodziewałam się, że przyjdziecie, ale i tak nie jestem na to gotowa. Wie pan, detektywie Szadurski, jak to czasem bywa z dziećmi? Najpierw jesteśmy dla nich niezbędni, dajemy im całe serce, a później oni nas porzucają bez mrugnięcia okiem. Stajemy się zbędni. I przestajemy mieć wpływ na ich decyzje. Taka już jest dorosłość, taka kolej rzeczy.

Westchnąłem i skinąłem głową. Nie odważyłem się wyprowadzić Misztalewskiej z błędu, nie byłem detektywem, i nie zapowiadało się, żebym taki awans otrzymał. Myślami pobłądziłem do Jacka Daniel'sa, którego kupiłem w monopolowym przed przyjazdem tutaj. Leżał samotny na tylnej kanapie bravy.

– Czy córka rozmawiała z panią o tym, co wydarzyło się w Pihonie?

– Wie pan, jak to jest, gdy dzieci są dorosłe? – Sięgnęła po drugiego papierosa. Tym razem rzuciła paczkę do mnie, ale nie zdecydowałem się zapalić. Miałem za dużego kaca, nie

tylko moralnego. – Nic panu nie mówią, mają swoje sekrety, robią, co im się żywnie podoba. Czy Wioleta mówiła mi, że zamordowała tę kobietę? Nie, nie mówiła, panie Szadurski. Zatrzymała to dla siebie.

Zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro. Tak, narzędzie zbrodni znalazło się pod łóżkiem Wiolety Misztalewskiej, ale nie sądziłem, że rodzina tak szybko zrobi z niej zabójczynię. Pomyślałem, że spróbuję wpłynąć na myślenie matki.

– Pani Kasiu, czy wie pani, co to jest domniemanie niewinności? – Ściągnąłem na siebie uwagę nie tylko matki, ale także Poli. – Zazwyczaj tego nie robię, ale dzisiaj czuję wielką potrzebę, aby pani o tym powiedzieć. Domniemanie niewinności obowiązuje każdego obywatela do momentu przedstawienia twardych dowodów na jego winę. Czy wie pani, ile na świecie jest spraw, w których mordercy zostają na wolności, a niewinni idą siedzieć za zbrodnię, której nie dokonali? Nie da się tego zliczyć, tyle tego jest – mówiłem dalej. Słyszałem hałasy dochodzące z wnętrza domu. Ktoś przeklął, ale Fortuna go naprostował krótką reprimendą. – Nie mówię, że Wioleta tego nie zrobiła, jednak jej nie skreślam. Widziałem, co takiego zrobiła z nią plama krwi na hali, nie wierzę, że mogłaby zabić. Oczywiście niczego nie wykluczam, ale myślę, że myślenie o niej jak o morderczynie jest zbyt surowe na tym etapie śledztwa. Nie zasłużyła na to po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Błona chrząknął. Tak, przesadziłem i wyszedłem poza granicę, jakiej nigdy wcześniej nie przekroczyłem. Najwyraźniej dałem się ponieść emocjom, które wciąż we mnie zalegały. Bolała mnie też klatka piersiowa, dłonie i głowa. Chęć na alkohol wzrosła.

Pani Misztalewska się popłakała. Zgniotła w popielniczkę większą połowę papierosa i schowała twarz w dłoniach. Usiadła przy niej Pola i pozwoliła matce się do siebie przytulić.

– Myślę, że pan Szadurski ma rację – stwierdziła Pola. – Chyba zbyt szybko ją osądziłyśmy. A co jeśli ktoś podrzucił ten scyzoryk pod jej łóżko? Albo jeśli schowała go dla kogoś dla niej ważnego? Czy zbadaliście ten scyzoryk?

– Jeszcze nie zdążyliśmy, technicy z Gdańska nad nim pracują – odpowiedział Błona. – Mogę zapewnić, że ta sprawa ma najwyższy priorytet, ale to i tak potrwa. W przypadku dowodów trzeba być skrupulatnym.

Błona używał słów, których sam powinienem używać.

Poczułem, że za bardzo zaangażowałem się w tę sprawę. Krew na scyzoryku pasowała do ofiary, więc dlaczego nie wierzyłem w winę Wiolety Misztalewskiej?

– Co z jej fobią przed krwią? – spytałem i dopiero po ich spojrzeniach zrozumiałem, że musiałem im w czymś przerwać.

– Ten scyzoryk nie mógł należeć do mojej córki – zaprzeczyła pani Misztalewska. Wytarła oczy w chusteczkę, bardziej rozmazując tusz do rzes. – Nie było jej w domu od miesiący. Wyprowadziła się do faceta, tego z listu. Jej wielkiej miłości.

Ostatnio przyjechała, bo przywiózł ją policjant. Nie mogła mieć przy sobie tego scyzoryka. Była w szoku. Pomagałam jej się wykapać, rozbierałam ją, prałam jej ubrania. Nie zostawała bez opieki przez bardzo długi czas. Rozumie pan, detektywie? Moja córka ma silną hemofobie, już od lat dziecięcych. Krew ją paraliżuje. Chodziłam z nią do psychologów, brała tabletki i nic nie pomagało. Wie pan, jak to jest, kiedy dziecko zrani się w nogę, ledwo poleci krew, a ono wrzeszczy na środku ulicy, jak obdzierane żywcem ze skóry? Często też mdlała. Musiałam zostawiać torby z zakupami i ją cucić, bo się wywróciła i rozdrapała kolano albo łokieć.

– Czy z wiekiem z tego się nie wyrasta?

– Niekoniecznie. Moja Wioleta nie wyrosła. Może faktycznie stało się to mniej uciążliwe i już tak nie panikowała, ale wciąż ją to przytłaczało. Proszę mi wierzyć: Wioleta udawała twarzą, jednak w środku była miękka. Panikowała na widok krwi, w szczególności w dużych ilościach, a z tego, co zrozumiałam z jej dukania, to krwi tam nie brakowało. Ułożyłam ją do snu zaraz po kąpieli. Poczekalam, aż przestanie płakać i zaśnie. Rano przyszłam ją obudzić na śniadanie. Detektywie Szadurski, zostawiłam ją tylko na czas zrobienia zakupów, a i tak wtedy pan ją odwiedził.

Wydmuchała nos. Błona usiadł na fotelu obok mnie, zapalił swojego papierosa. Nie wytrzymałem i ukradłem mu jednego. Pożałowałem po pierwszym zaciągnięciu, zrobiło mi się niedobrze.

– A list samobójczy? – spytał Błona. – Ktoś pytał, gdzie go pani znalazła?

– W skrzynce na listy. W otwartej kopercie z moim imieniem i nazwiskiem. Od razu go otworzyłam, bo poznałam pismo mojej córeczki. – Zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym w moją stronę.

– Więc Wioleta nie weszła do domu?

– Nie miała kluczy, nawet teraz, jak tu pomieszkiwała, pilnowała, żeby ktoś był w domu, bo by nie weszła – panowała nad drżącym głosem. – Powiedziała mi o tym wcześniej. Jakiś tydzień temu zadzwoniłam do niej i poprosiłam, żeby podlała mi kwiatki. Zgodziła się, ale później oddzwoniła, że muszę dać jej klucze. Zgubiła je. Przyznała, że zawsze miała je w samochodzie, w schowku, nigdy ich stamtąd nie brała, bo bała się, że je zgubi. Wydawało mi się to dziwne, ale po niej wszystkiego można było się spodziewać.

– Nie wymieniała pani zamków?

– Nie było potrzeby. Przyznała, że sprzątała samochód i wtedy je zawieruszyła. A sprzątała go w Gdyni. Nie sądzę, żeby ktokolwiek tutaj trafił, zwłaszcza że miała śmieszny breloczek z Kung Fu Panda, a na nim wygrawerowany numer telefonu i gdyński adres. Poza tym... – Załkała. – Nie przejmowałam się tym. Nie zawracałam sobie głowy. A teraz... moja córeczka... Dlaczego? Przecież to niemożliwe. Ona nigdy nie przejawiała agresji. Inaczej było z Polą – spojrzała na córkę. – Pola lubiła bijatyki, balangowanie, picie i awantury. Z Wioletą nie miałam

żadnych problemów. Była spokojna, dobrze się uczyła, wierzyłam, że ma przed sobą dobrą przyszłość. Jezu, przecież miała dopiero dwadzieścia trzy lata. Całe życie miała przed sobą. – Zgasiała papieros w popielniczce. – Dlaczego to zrobiła? W co musiała się wpakować?

– Myślę, że miała po prostu pecha, znalazła się w złym miejscu o złej porze. Pani córka nie była zła, dobrze ją pani wychowała. Naprawdę, proszę poczekać na wyniki z laboratorium, zanim pani ją skreśli.

Pani Misztalewska pokiwała głową, ale Błona nią pokręcił. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie mogę tego pojąć. Nie potrafię. Jakim cudem udało się mojej córeczce zamordować tę kobietę? Przecież nie mogła mnie oszukiwać. To mnie przerasta, rozumiecie panowie? Strasznie mnie przerasta.

Mnie także.

– Istnieje ewentualność...

– Proszę mi wierzyć, że dowiemy się prawdy – wszedł mi w słowo Błona. – Zaufałbym w tym momencie dowodom, pani Kasiu. One powiedzą prawdę. A teraz przepraszam na moment, ale muszę porozmawiać z moim partnerem.

Złapał mnie za bluzę i pociągnął w kierunku wyjścia.

Moje miejsce zajął Frydryk. Nie zdążyłem zauważyć, czy ze sobą rozmawiali. Błona wypchnął mnie na schody, potknąłem się i o mało nie wywróciłem. Odwróciłem się z zaciśniętymi pięściami gotowymi do ataku.

– Wypierdalaj do domu. – Wskazał palcem na samochód. – Wróć z Frydrykiem albo Fortuną. Zajmę się też przesłuchaniem matki. Zobaczę, co ciekawego da się z niej jeszcze wyciągnąć.

– Chyba cię pojebało...

– Nie, to ciebie pojebało. Zwariowałeś? – Popukał się w czoło. – Mam wrażenie, że za bardzo zaangażowałeś się w tę sprawę. Nie chcę ciebie tutaj. Wypieprzaj do chaty, zalej się w trupa, idź pobiegaj, albo pobij w worek. Ale spierdalaj mi stąd jak najdalej.

Błona wszedł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Gdy wychodziłem przez rozklekotaną furtkę, zauważyłem znajomy samochód. Niebieski ford podjechał bliżej, wtedy ujrzałem na masce znaczek TVNu. Więc oni już wiedzieli.

Uciekłem stamtąd, ale nie posłuchałem Błony. Wolałem pojechać na przejażdżkę, by przewietrzyć umysł. Po drodze zahaczyłem o McDonald. Mojej kuzynki nie było na zmianie, więc musiałem czekać piętnaście minut na zamówienie. Z jedzeniem podjechałem na kaczy winkiel, rozsiadłem się wygodniej w fotelu i uruchomiłem youtube. Postanowiłem ponadrabiać stracony czas i zobaczyć, co opinia publiczna otrzymuje za informacje. Na pierwszy ogień obejrzałem film z mężem Natalii Nyżyńskiej. Nie minęło pięć sekund, a stwierdziłem, że facet powinien kandydować do nagrody Gildii Aktorów Ekranowych.

TRASA

Tedi podjechał na fotelu do drukarki. Począł, aż stary atramentowy brother wypłuje z siebie dwie strony, potem mi je podał. Przejrzałem je połowicznie, skupiając się na rejestracjach pojazdów i godzinach.

Z przyzwyczajenia zerknąłem na zabrudzony bandaż, powinienem go zmienić i przemyć szwy. Zostawiłem to na później. Za dwa dni i tak mi je zdejmą.

– Pięćdziesiąt siedem nieścisłości w ciągu dwóch tygodni – odezwał się Tedi, nalewając kawy z termosu do kubka. – Pięćdziesiąt siedem! Rozumiesz to? Miałeś rację. Twoje przeczucie okazało się trafne. I dzięki za whiskacza. Na pewno się przyda. – Uśmiechnął się, patrząc na stojącego przy monitorze jacka daniel'sa.

– Jasne, a teraz wytłumacz mi, o co tutaj chodzi. Widzę rejestracje, czasem marki pojazdów bez rejestracji i godzin.

– W tej rubryce masz numer rejestracyjny pojazdu wjeżdżającego na teren budowy, czasem masz też markę, bo nie byłem w stanie ustalić numerów. Pogoda nie sprzyjała albo na kamerę wszedł pająk i zasłonił kadr. – Tedi machał palcem po kartce. – W drugiej rubryce masz czas wjazdu na teren zakładu, w trzeciej wyjazdu. Ogólnie, od razu ci powiem,

że żaden z samochodów wjeżdżających albo opuszczających teren nie był sprawdzany. Nawet do nich nie podchodzono.

– Powiedz mi: o co chodzi z tymi nawiasami i godzinami?

– Nawiasy są bardzo interesujące – spoczął z powrotem na krześle – bo sam nie wiem, czy powinienem się do tego przypieprzać, ale podejrzewam, że tak. Otóż w książkach były takie godziny jak w nawiasach, a fizycznie pojazd wjeżdżał na teren tak, jak ci napisałem z przodu. Wiesz, że tam pracują same dziadki, prawda? Nie wiem, czy po prostu ze starości mylą godziny i nie wpisują aut, czy to jakieś ustawki. Warto o to zapytać. – Spojrzał na mnie spod ściągniętych brwi.

– Wiem, ale nie dzisiaj. – Złożyłem kartki na pół i zerknąłem na monitor. – Już dziewiętnasta, nikt w biurach nie pracuje. Jutro postaram się ich złapać. Masz dla mnie jeszcze tę drugą sprawę?

– I trzecią też – odpowiedział podczas drukowania następnych kartek. – To godziny, w których Ciesiński wjeżdżał na teren budowy.

– Przez ostatnie trzy miesiące zdążył wjeżdżać aż... – wziąłem listę z podajnika drukarki – ile?! Dwieście pięćdziesiąt razy? Przecież to w cholere za dużo. Skoro pracował od poniedziałku do piątku, to co robił tam w weekendy?

– To już jego musisz się zapytać. Mamy szczęście, że skurczybyka nikt z ochrony nie lubi. Ponoć jest konfidentem, więc przy nim trzymali się procedur. Podejrzewam, że nie

ominęli ani jednego jego wjazdu na teren budowy. Poza tym widzisz to, co ci pogrubilem?

Przejrzałem kartki, zobaczyłem sporo pogrubionych godzin i dat.

Najczęściej w porach nocnych.

– To godziny, w których przyjazdy Ciesińskiego pokrywały się ze zmianami Nyżyńskiej – tłumaczył coraz bardziej nakręcony.

– Wiesz, co mówi teoria przypadku?

– Teoria przypadku, czy Coelho?

Wiedziałem, że żona Tediego miała do tego pisarza słabość. Często cytowała jego książki – osobiście mu współczułem.

– To, co przydarza się dwa razy, zdarzy się na pewno i trzeci.

– Spojrzał w bok. – Albo jakoś tak to szło, ale sęk w tym, że nie wierzę w przypadki. Te godziny aż nadto się pokrywają i jeśli koleś twierdzi, że nie mieli romansu, to nie wiem, co oni razem robili. Ale nie wydaje mi się, żeby przyjeżdżał tam pooglądać halę nocą. Nic ciekawego na niej nie ma.

– Co z hotelem?

– Co z hotelem? – powtórzył za mną. – A! No tak! Rozmawiałem z kierownikiem, nie posiadają żadnej wiedzy na temat opuszczenia hotelu w nocy przez Ciesińskiego.

– To Hilton, prawda? – Nachyliłem się do niego. – Nie mają kamer?

– Pewnie mają, ale nie pytałem. – Tedi zrobił duże oczy. – No chyba żartujesz?! Chciałeś mnie tam wysłać?!

– Oj tam, zaraz wysłać. Ale mógłbyś coś pokombinować w tej sprawie. Wywęszyć, gdzie i kiedy był Ciesiński w noc morderstwa. Do Warszawy mamy około cztery i pół godziny samochodem. Nie sądzisz, że mógłby spokojnie dojechać do firmy i pojechać z powrotem tak, żeby nikt tego nie zauważył? W nocy jest mniejszy ruch na ulicach.

– Skąd ty bierzesz te teorie, Szady? – Podrapał się po czole. – Grupa pierwsza męczy pracowników obecnych na terenie zakładu, grupa druga skupia się na martwej Misztalewskiej, a ty wyjeżdżasz z kierownictwem. Każesz mi wszystkich sprawdzać po kolei. Co ci odbiło?

– Chcesz te bilety na występ magików w Gdańsku, czy nie?

– Dobra, dobra. Zobaczę, co da się zrobić. – Przewrócił oczami. – Idź lepiej do Suchego, ma coś dla ciebie. Tę trzecią sprawę. I, Szady... – Zatrzymał mnie w drzwiach. – Powinieneś iść się leczyć. Robisz rzeczy, o których żaden policjant by nie pomyślał.

Wyszedłem z biura Tediego i skierowałem się do kącika technicznych. W przedsionku zapukałem do drzwi z nazwiskiem Suchego i odczekałem dwie sekundy. Nacisnąłem klamkę – zamknięte.

– Chcesz wiedzieć więcej na temat scyzoryka Hitlera? – Suchy stał w drzwiach od ubikacji i wycierał ręce w papierowy ręcznik. Do teraz nie wiedziałem, dlaczego mieli osobne toalety. – Fajnie go nazwałem, co nie? Chociaż prawidłowo

powinno się mówić: Ostrze Żydowskiej Śmierci. Czytałem o tym.

Wyminął mnie i otworzył swój gabinet. Wszedł jako pierwszy, zostawiając otwarte drzwi. Usiadł za biurkiem z komputerem, uderzał w klawiaturę jak pisarz w maszynę do pisania. Wszedłem za nim, choć nie pałałem sympatią do tego miejsca – za bardzo przypominało muzeum historii kryminalistyki.

Suchy wypełnił pokój dowodami z zamkniętych śledztw, jak gdyby był seryjnym mordercą, a one jego trofeami.

Pociski domowej roboty trzymał w słoiku po nutelli, próbówki na statywie z krwią psychopatów i zwyrodnialców podpisał nazwiskami, liczbą zamordowanych osób oraz rokiem skazania przez sąd. Obok nich w workach próżniowych poustawiał noże kuchenne, scyzoryki, stare przedmioty domowego lub technicznego użytku, w tym śrubokręt, młotek i tłuczek do mięsa – umazane zaschniętą krwią ofiar. Odlewy z odcisków butów męskich i damskich wypełniały oszklony regał, każdy z nich był lepiej opisany niż co niektóre dowody w aktach wciąż toczących się spraw.

Wolne przestrzenie na ścianach ozdobił zdjęciami rozbryzgów krwi z miejsc zbrodni. Wśród nich nie brakowało też czarno-białych fotografii z lat osiemdziesiątych, prymitywnych póz samobójców, czy rozczłonkowanych przez pociąg ciał.

Wolałem nie pytać, skąd to wszystko brał, choć ciągle zastanawiałem się, co też ten chłopak musiał mieć w głowie,

że lubił otaczać się takimi przedmiotami.

– Nie wiem, ile powiedział tobie Fortuna, ale na scyzoryku znaleźliśmy dodatkowe ślady krwi – mówił Suchy do monitora.

– Nie znalazłem wyników w bazie danych i w sumie wcale mnie to nie dziwi. Wiem tylko, że krew należała do kobiety.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Bo krew była znacznie starsza od krwi naszej ofiary. Gdańsk zaznaczył tę kwestię w raporcie. Wciąż badają scyzoryk, więc po znajomości dostaję aktualizacje na lewo. – Przestał klepać w klawiaturę i odwrócił monitor w moją stronę. Pokazał mi czarno-białe zdjęcie dziadka z długą brodą.

– Jak dobrze wiesz, Ostrze Żydowskiej Śmierci tworzył, i tu celowo podkreślam: tworzył, żydowski artysta Izrael Trusker, którego w czterdziestym roku zamknięto wraz z innymi Żydami w getto. Osoba, którą ci teraz pokazuję, to nie Izrael Trusker, a jego ojciec, Abel. – Uniosłem brwi, Suchy się uśmiechnął. – Tak, wiem, wiem, pewnie się zastanawiasz, po co ci to pokazuję. A więc to jedyny obraz, który uwiecznił rodzinę Truskerów. Chodzą legendy, że został wykonany tuż przed podpisaniem paktu Abła z diabłem, dziesięć lat przed wojną. Ponoć Abel przewidział losy świata, ale nie chciał się tym dzielić z innymi, bo wiedział, że nikt nie weźmie go na poważnie. Żeby chronić swoją rodzinę, postanowił podpisać pakt.

– Suchy, serio? Ja tu mam morderstwo do rozwiązania.

– Jak zawsze. – Machnął ręką. – Słuchaj dalej. Diabeł obiecał Truskerowi chronić jego rodzinę i zapewnić im długowieczny byt w zamian za kilka przysług. Otóż jedno i najważniejsze z nich to stworzenie broni samego Szatana. Niepozornej, nierzucającej się w oczy, ale jednocześnie wyjątkowej. Co najważniejsze, broń ta będzie przeklęta, a osoba, która nią włada, zostanie marionetką Lucyfera lub umrze w męczarniach.

Zmrużyłem oczy i zapatrzyłem się na drugie zdjęcie na monitorze.

Przedstawiało scyzoryk znaleziony pod łóżkiem Misztalewskiej. Suchy rozłożył się wygodnie na fotelu.

– Co ciekawe, obiecał też pełną anonimowość ojcu Izraela. Nikt nigdy nie uwieczni go na zdjęciu ani nie rozpozna w nim wroga. Zostaną znani jedynie z nazwiska. Od tamtego czasu faktycznie nie można znaleźć nic o Izraelu Truckerze, oprócz informacji, że taki był w obozie i pracował dla Niemców. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat.

– Mnie to nie dziwi, w czasach wojny dużo rzeczy zniknęło. Wciąż nie odnaleźliśmy ponad połowy cennych dzieł sztuki. A ty chcesz znaleźć zdjęcie Żyda z getta? Proszę cię.

– Wiem, wiem, pewnie mi nie wierzysz, bo ty nie wierzysz w nadprzyrodzone rzeczy, ale powiem ci coś jeszcze. Chodzi legenda, że część z zasłużonych niemieckich fiutów umarła w męczarniach na ciężkie choroby, których nie rozpoznano w tamtych czasach. Udokumentowano kilka takich przypadków,

dokładnie cztery. Przy każdym z nich znaleziono Ostrze Żydowskiej Śmierci. Wierzono też, że każdy, kto był w posiadaniu tego ostrza, przeklinał cały swój ród.

– Sprawiedliwości stało się zadość – skomentowałem i prychnąłem. – Suchy, co z tą krwią?

– Jeszcze nie skończyłem. Powiedziałem ci wcześniej, ile było tych scyzoryków? Dokładnie trzynaście, jak limitowana seria apostołów. – Przekręciłem oczami, cofając się do drzwi. – Dobra, dobra. Udało mi się znaleźć pięć scyzoryków. Trzy znajdują się w muzeach w Warszawie, dwa w Krakowie na Wawelu, pozostałe zapadły się pod ziemię. Podejrzewam, że są przekazywane z ręki do ręki rodzinie wyznawców Szatana.

– Suchy! Przestań mnie karmić bajkami na dobranoc i gadaj, co z krwią. Co znaczy: starsza od krwi naszej ofiary?

– Oj tam, nudny jesteś. Czasami jesteś w porządku, a czasami za bardzo marudzisz.

– Serio, chcesz mi teraz robić wykłady na temat mojej osobowości? Może usiądziemy przy kawie i ciastku?

– Krew ofiary ma ponad trzydzieści lat. Zbadaliśmy ją. Nic nie wnosi do sprawy, Szady.

Wypuściłem głośno powietrze. Miałem wrażenie, że z każdą minutą moje ciało nasiąka krwią ofiar i nie mogę jej z siebie wypłukać. Do tego doszła ta historyjka o przeklętym narzędziu zbrodni. W głowie mi się to nie mieściło.

– Czy mogę liczyć na to, że będziesz mi zdawał aktualizacje na bieżąco?

Suchy przestał klepać w klawiaturę i spojrzał na mnie spod brwi.

– A jak myślisz? Zapomniałeś, że pracuję dla Fortuny?

– Dobra, a co z moją inną sprawą? Masz telefon Misztalewskiej, który znaleźliście w jej samochodzie?

Suchy wyjął z szuflady telefon w worku na dowody. Jeszcze go nie zapieczętował, więc założyłem jednorazowe rękawiczki, które zawsze miałem w kieszeni i wyjąłem telefon Misztalewskiej. Usiadłem na krześle w rogu pokoju, tak żeby nie było mnie widać, gdyby do biura ktoś wszedł.

Na szczęście Misztalewska nie zabezpieczyła telefonu hasłem. Pierwsze, co zrobiłem, to sprawdziłem rozmowy. Kilka prób połączenia się z technikiem Wójcikiem i rozmowa z Nyżyńską. Dodatkowo wysyłała esemesy do Wójcika, o których mówił, poza tym nic ciekawego nie znalazłem. Kilka wiadomości wysłanych do matki, inne do Bulczaka, w których wyznawała mu miłość i obiecywała zakończyć romans. Zero ciekawostek, które popchnęłyby śledztwo do przodu.

Nie chciałem rezygnować za prędko, tak że zacząłem przeglądać pulpit. W chwili gdy spostrzegłem ikonkę Messengera, telefon zapiszczał i wyświetlił informacje o słabej baterii. Nie zdążyłem zapytać Suchego, czy ma w posiadaniu ładowarkę, gdy wpiął jedną do gniazdka i podał mi kabel. Uśmiechnąłem się.

Trafiłem na wiadomości wymieniane z Bulczakiem – ciąg dalszy słodkich, a wręcz przesłodzonych wyznań, prośby o

zrobienie zakupów i obiadów. Dalej nic ciekawego, co miałyby wpływ na śledztwo. Później znalazłem chat z Zielińską. Temu nie mogłem się oprzeć. Już po kilku zdaniach zacząłem pochłaniać wiadomości z zainteresowaniem.

„Zamknij mordę, bo pożałujesz”

„Nawet tego nie pisz na Messengerze, bo jeszcze ktoś to przeczyta!”

„Nie twoja sprawa, dziwko. Zajmij się swoim życiem”

Czytałem dalej. Byłem ciekawy, jakie wytłumaczenie będzie miała Zielińska, kiedy ją zapytam o te wiadomości. Tym bardziej, że znaczna część agresywnych i przepelnionych nienawiścią treści została wysłana po śmierci Nyżyńskiej.

FOTOGRAFIA

– Zaczniemy od początku – powiedziałem, przyklejając fiszki do drzwi szafy pancерnej w pokoju 318. – Za pięć druga Wioleta zadzwoniła do Zabiegłego z informacją o znalezieniu krwi, później wezwano nas na miejsce zdarzenia. Fortuna z ekipą sprawdzili halę, w której znaleziono krew, halę naświetlania, w końcu my przesłuchaliśmy Misztalewską. Z czasem zauważyliśmy, że szefostwo pojawiło się w firmie za wcześnie, skoro mieli jechać z Gdyni. Zakrzewski ustalił tożsamość ofiary, jej mąż próbował zdobyć nagrodę za wystąpienia w telewizji. – Przyklejałem dalej fiszki. – Później litry krwi zamieniły się w trupa. Przeprowadziliśmy oględziny, doszliśmy do tego, któregoś ciała wywieziono do mroźni. – Tym razem przykleiłem zdjęcie zamrożonej Nyżyńskiej w pozycji embrionalnej. – W tym czasie utworzyły się aż trzy grupy śledcze działające indywidualnie. Jedna skupiła się na osobach obecnych na terenie, w tym zajmowali się poszukiwaniem zaginionych dysków twardych, druga gnębiła Misztalewską bardziej od nas, a my poszliśmy w stronę kierownictwa.

Błona opierał się o drzwi i obserwował moje ruchy. Nie pytałem, czy dalej był na mnie zły, nie musiałem – jego milczenie mówiło za siebie. Przy podnoszeniu kolejnej fiszki

zahaczyłem palcem o pozszywane rozcięcie. Zabolalo, choć już nie tak, jak kilka dni temu. Druga dłoń od poparzenia lodem na mroźni goiła się lepiej.

– Nie wiadomo w jakim celu ofiara przyjechała do zakładu, po co rozmawiała z Misztalewską i Ciesińskim. Po dowodach wywnioskowaliśmy, że przeskoczyła przez płot, ale po co? Co chciała osiągnąć? – Poprawiłem kaptur od bluzy, bo odstawał po zdjęciu kurtki. – Nikt z obecnych tego dnia na terenie zakładu nie znał Nyżyńskiej, to nie była jej brygada, mogli jedynie stwierdzić to, co wiedzieli z plotek. Grupa pierwsza ustaliła, że duża część wini Ciesińskiego za śmierć Nyżyńskiej, ale ten był w Warszawie. Tedi sprawdza, czy miał sposobność uciec z hotelu i przyjechać do Pihona, żeby zamordować brygadzystkę.

– Grupa druga przyczyniła się do zniszczenia życia Misztalewskiej – odezwał się w końcu Błona. – Z tego, co się dowiedziałem od Poli, ludzie z Gdańska często składali jej wizyty. Doprowadzili też do ucieczki Bulczaka za granicę, co zniszczyło psychikę Wiolety do końca. Oczywiście nikt nie powie tego głośno, ale media też miały w tym swoje pięć groszy. Informacja o tym, że policja podejrzewa Misztalewską o zamordowanie Nyżyńskiej przeciekła do internetu, wszyscy o tym szeptali, sąsiedzi się od niej odwrócili. Myślę, że to nie tylko miłość pchnęła ją do skoku z dachu, ale także społeczeństwo, o czym nie mieliśmy pojęcia. Na naszym przesłuchaniu ani w liście pożegnalnym nic nie wspominała.

– Znaleźliście coś jeszcze w domu Misztalewskiej?

– Nic, dosłownie nic. – Pokręcił głową i odszedł od drzwi. – Pokój sprawiał wrażenie dawno opuszczonego. Niby widzieliśmy, że tam spała, ale nie wyglądało na to, żeby cokolwiek ruszała. Na niektórych półkach leżały grube warstwy kurzu, poza tym wystrój był nieaktualny. Leżały tam jeszcze pierdoły z czasów szkolnych. Żadnych rzeczy prywatnych oprócz sportowej torby z ubraniami na zmianę. Matka powiedziała, że pojechały razem po te ubrania do mieszkania Bulczaka.

– A mieszkanie Bulczaka sprawdziliście?

– Gdańsk położył na tym swoje łapska, ale niczego ciekawego nie znaleźli. Ot, zwykłe mieszkanie, zwyczajnej pary. Żadnych ciekawostek, nic, co mogłoby nas przybliżyć do zrozumienia, skąd ten scyzoryk znalazł się pod łóżkiem. Zaczynam wierzyć, że miałeś rację. Może ktoś podrzucił ten scyzoryk? W końcu zaginionych kluczyków do rodzinnego domu Misztalewskich nie znaleźliśmy. Albo może później przemyciła jakoś narzędzie zbrodni na przechowanie dla kogoś. Tylko nie wiem, dla kogo i po co. Musiała wiedzieć, że na nią polujemy, skoro chłopaki z Gdańska często ją odwiedzali. Po co by ryzykowała?

– Domyślam się dlaczego, choć jeszcze do końca nie rozumiem, kto i jaki ma w tym udział. Ale całość zaczyna mi się stopniowo układać w głowie.

– Powiesz mi o co chodzi?

W tym samym momencie drzwi do pokoju się otworzyły i stanął w nich naczelnik Wróbel. Czerwony na twarzy, ze ściągniętymi brwiami – patrzył wyłącznie na mnie.

– Czemu, do jasnej cholery, nie odbieracie telefonu?! – Zwróciliśmy uwagę na biurko, okazało się, że kładąc na nie kurtkę, straciłem słuchawkę. – Dzwonią do ciebie od dziesięciu minut!!! Nie płacę wam za błaznowanie, a sobie za bycie waszą sekretarką! – Wskazał palcem na drzwi szafy, zamknąłem ją. – To tak pracujecie?! Inni są w terenie, a wy się bawicie w wycinanki?! Do roboty się weźcie, nieroby jedne!

Z przyzwyczajenia milczeliśmy. Naczelnik Wróbel odetchnął i oznajmił spokojniejszym tonem:

– Zielińska jest na dole, chce z tobą rozmawiać. – Zatrzymał się w korytarzu. – Szady, nie spieprz tego. Wiem, tu chodzi o morderstwo, jednak wolałbym, abyście skopali Gdańskowi i Warszawie tyłek.

– Pójdę zapytać Suchego, czy wiadomo coś więcej o scyzoryku – oznajmił Błona, gdy szliśmy korytarzem. – A ty przyprowadź Zielińską na górę.

Zszedłem do recepcji. Zielińska siedziała na krześle, na kolanach trzymała torebkę, którą zaciskała jak milionowy skarb. Doznałem déjà vu.

– Pani Zielińska?

Wstała z krzesła i do mnie podeszła. Pachniała świeżym mydłem i kokosowym szamponem. Mimowolnie zwróciłem uwagę na jej makijaż, a raczej jego brak. Stwierdziłem, że

Zielińskiej do twarzy z naturalnością. W milczeniu zaprowadziłem ją do pokoju 318. Spoczęła na wskazanym miejscu. Sam usiadłem na obracającym fotelu, uważając, żeby się nie przewrócić. Wczoraj wypadła z niego trzecia śruba i nie mogłem jej znaleźć, aby z powrotem przykręcić.

– Panie Szadurski... – Zrobiła przerwę, zakręciła się na fotelu i mocniej przytuliła do siebie torebkę. – Zanim przejdziemy do tematu, dla którego mnie pan tu wezwał, może mi pan powiedzieć, co z moim bratem? Próbował pan załagodzić wyrok?

Przymknąłem oczy, trochę potrwało, zanim przypomniałem sobie, o czym mówiła Zielińska. Brat...? Marek Balicki! No tak, złodziej z rezerwatu Beka całkowicie wypadł mi z głowy.

– A czy coś się stało?

Skupiła wzrok na podgniętym kaktusie, który stał na szafie. Dzięki niej przypomniałem sobie o jego istnieniu.

– Rozmawiałam z bratem, pobili go. Ponoć w więzieniu nie jest dobrze traktowany, nie przepadają za nim. Miałam nadzieję, że spróbował pan wycofać zarzuty za pobicie policjanta na służbie.

– Pani Zielińska. – Przechyliłem się bliżej niej, krzesło niebezpiecznie zatrzeszczało. – Bardzo dużo spraw nie jest zależnych ode mnie, jestem tylko policjantem, nade mną jest jeszcze prokurator, obok sztab prawników, i sądy. Nie mogę przeskoczyć systemu, ale obiecuję, że przyjrę się tej sprawie.

Kiwała głową, zaciskając coraz silniej torebkę. W pewnej chwili zastanowiłem się, czy przyniosła broń, ale szybko wybiłem sobie ten pomysł z głowy. Nie przyszłoby mi prosić o pomoc, gdyby chciała mnie zabić.

– Pani Zielińska, czy wszystko w porządku? – Musiałem zadać to pytanie. Miała rozbiegany wzrok i bladą cerę... zbyt bladą.

– Tak, przepraszam. Po prostu domyśliłam się, dlaczego chce pan ze mną rozmawiać.

– Tak? – Odchyliłem się na krześle, coś w nim pękło i skrzyknęło, oparcie wygięło się za bardzo w tył. Wyprostowałem się. – Zaintrygowała mnie pani, proszę mówić.

– Wiedziałam, że po śmierci Wiolety zaczniecie przeglądać nasze wiadomości na Messengerze, spodziewałam się, że prędzej czy później ktoś wezwie mnie na przesłuchanie. Nie zdziwiło mnie, że to pan.

– I? – Złożyłem ze sobą dłonie.

– To nie to, na co wygląda. Wczoraj przeczytałam te wiadomości na spokojnie i przestraszyłam się, że jeszcze ktoś z policji pomyśli, że mamy coś wspólnego z zabójstwem tej brygadzystki. A to nie tak. – Zaczęła grzebać w torebce. – To powód, dla którego byłam dla Wiolety niemiła.

Pokazała mi zdjęcia – wydrukowane, zrobione na terenie Pihona. Co prawda fotografie zostawiały wiele do życzenia, brakowało im ostrości i jasności, ale rozpoznałem na nich Nyżyńską i Ciesińskiego. Stali przy wejściu na halę o-dwa i

wyglądało na to, że się przytulają, ale nie umiałem tego stwierdzić na pewno.

– Wioleta je zrobiła, jak była na obchodzie. Nie wiedziała, co z nimi zrobić, więc zwróciła się do mnie. Nie chciałam, żeby Jola dowiedziała się w ten sposób, tak że zabroniłam Wiolecie wspomnianie o tym temacie. Ale była słaba, czasami miała przyływ uczuć i wyrzuty sumienia. Te wszystkie groźby, na miejscu, czy nie na miejscu, dotyczyły właśnie tego przypadku. Nie chciałam ranić Joli. Nie w ten sposób. Ona bardzo kocha Adama i stara się, żeby ich związek przetrwał, mimo tych wszystkich plotek, które chodzą po zakładzie.

– Czemu nic pani nie mówiła wcześniej? Czy rozumie pani, że takie dowody są istotne dla sprawy?

– Chciałam panu powiedzieć, ale nie wiedziałam, jak. Już pierwszego dnia, ale nie chciałam robić Joli przykrości. To, co się stało na zakładzie... – Opuściła wzrok. – Uderzyło w każdego z nas. Myśli pan, że ta śmierć była dla nas obojętna? Nieważne, kto to był, ale w końcu ktoś tam umarł, a później został zamrożony! Kto robi takie rzeczy?! No, niechże pan mi wyjaśni!

– Proszę się uspokoić. – Coraz mniej pewnie czułem się na tym krześle. – Rozumiem, że pierwszego dnia mogła być pani w szoku, każdy reaguje inaczej na różne wieści, ale później miała pani więcej sposobności, żeby ze mną porozmawiać. Jak nie ze mną, to z moimi kolegami. Jednak pani tego nie zrobiła. Dlaczego?

– Po dwóch dniach uświadomiłam sobie, że to będzie źle wyglądać. Bałam się, że oskarżycie mnie o morderstwo albo współudział, albo o zatajanie dowodów. Tyle się słyszy w telewizji o błędnych wyrokach, przecież niedawno jakiś facet po około siedemnastu, czy tam dwudziestu latach wyszedł z więzienia, bo w końcu ktoś udowodnił jego niewinność. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Bałam się! Mam rodzinę na utrzymaniu, wzięłam kredyt, a mój mąż stracił pracę za granicą. Ledwo radzimy sobie od pierwszego do pierwszego, a jeszcze mój brat siedzi w pace. Wie pan, jaka odpowiedzialność na mnie spadła? – Mówiła tak szybko, że dostała zadyszki. Wzięła dwa szybkie oddechy. – Nie mogłam pozwolić, żebyście zamknęli mnie w więzieniu. Moje dzieci... Moja cała rodzina by tego nie przetrwała. Do czasu, kiedy mój mąż znajdzie pracę, jestem ich jedynym żywicielem. Czy pan wie, jak to jest mieć dwieście tysięcy kredytu w banku? To trzeba spłacać, bo zaraz zabiorą nam mieszkanie! Oni się nie bawią z dłużnikami. Do tego mój brat... nie starcza mu na płacenie alimentów, więc mu pomagam. To ciężkie życie, panie Szadurski. Wiem, że morderstwo jest gorsze, ale proszę zrozumieć, jestem tylko człowiekiem. Nie chcę iść do więzienia.

– Zobaczmy – odparłem, żeby podtrzymać jej rozwiązany język. – Proszę mi powiedzieć, co pani wie na temat Ciesińskiego i Nyżyńskiej. Ile to trwało? Czy naprawdę byli ze

sobą związani, czy to wyłącznie plotki? Te zdjęcia... Faktycznie są ważne, ale są niewyraźne.

– Wioleta przyjaźniła się z Natalią. Były ze sobą blisko, mówiły sobie dużo rzeczy, co denerwowało Jolę. Wydawało mi się, że Jola podejrzewała Adama o romans, ale nie chciała o tym mówić. Zresztą to, że sama sypiała z Ezmanem, nie dawało jej prawa do wszczynania awantur. Jola była rozważna, chciała mieć dobrą karierę, popierałam ją w tej drodze i starałam się, mimo przyjaźni, nie wchodzić na tematy prywatne. Szybko się denerwowała, gdy chodziło o Adama. Wydaje mi się, że mimo wszystko mocno go kochała.

– Więc mogła być zazdrosna o Adama?

– Była bardzo zazdrosna o Adama, nie dziwiłam jej się. Często wychodził w nocy, wracał nad ranem. Pachniał kobiecymi perfumami. Nic nie mówiła, ale ją to męczyło. Szczególnie, że dwa tygodnie temu wyszło na jaw, że Jola jest w ciąży. Jeszcze mu nie powiedziała.

Zesztywniałem. Mimowolnie zastanowiłem się, który z tych dwóch mógł być ojcem.

– Sytuacja się skomplikowała, bo Adam zachowywał się ostatnimi czasy bardziej dziwnie niż zwykle. Podejrzewała, że chciał ją zostawić. – Podrapała się sztucznym paznokciem po brwi. – Dlatego swoją frustrację wyładowywała na Wiolecie. Nalegała, aby ta zerwała wszelkie kontakty z Natalią, nie życzyła sobie, żeby jej przyjaciółka trzymała się z kochanicą jej męża. W pewnym momencie mocno się pokłóciły, bo Jola

zagroziła, że wyrzuci z firmy Bulczaka, jeśli ta nie zrezygnuje z tej znajomości.

– Aż taka była zaborcza?

– Lubiła stawiać na swoim. W sumie ciągle lubi, wcale jej się nie dziwię. Jest dyrektorką zakładu, wymaga się od niej dużo więcej niż od nas, a w razie czego, wszystko spada na nią. Nie ma sensu jej się stawiać. Z tego, co zrozumiałam, Wioleta powiedziała Natalii o tym warunku. Miłość kontra przyjaźń, ciężko wybrać z tej walki zwycięzcę. – Westchnęła. – Ten romans, sama nie wiem... Z jednej strony nie wierzę, że Adam byłby do tego zdolny, a z drugiej nie potrafię sobie wyobrazić, co innego mogliby robić tak często, sam na sam.

– Czemu pani nie wierzy?

Z zewnątrz – ze stacji kolejowej dobiegł nas kobiecy głos. Zaraz po nim rozległo się trąbienie pociągu wjeżdżającego na peron.

– Adam był mocno zakochany w Joli, muszę przyznać, że nawet bardzo mocno. W firmie plotkowali o jej romansie z Ezmanem, często zostawała z nim do późna, a jednak on ani razu nie wypomnił tego Joli. Wydawałoby się, że te plotki jedynie pogłębiały ich uczucie, bo Adam się bardziej starał. Częściej wyjeżdżali na wycieczki, przynosił jej czekoladki i kwiaty, sponsorował wyjazdy do spa. Zazdrościłam jej tej miłości, ale później przypomniałam sobie, że sama też nie mam najgorzej. W końcu mam trójkę dzieci i dobrego męża.

– A pani Ciesińska? Jak bardzo kochała męża?

Zielińska cofnęła głowę, jakbym ją co najmniej spoliczkował.

– Bardzo! Myśli pan, że robiła to wszystko tylko dla siebie? Adam... Adam ma w sobie to coś, co przyciąga kobiety. Przystojny, interesujący, ale czasami miałam wrażenie, że jest niezbyt rozgarnięty. Robiła, co mogła, aby dać im jak najlepsze życie, gdy on... Wie pan, Adam był bardzo trudny. Czasami robił dla Joli wszystko, ale tylko dla niej. Kiedy chodziło o pracę w firmie, raczej nie był skory do pomocy. Migał się, nie odbierał telefonów, nie dotrzymywał terminów. W sumie spora liczba pracowników ciągle się na niego skarżyła. Starła się na niego wpłynąć, ale on był uparty. I potrafił zawrócić jej w głowie. – Uśmiechnęła się. – Jola naprawdę kocha Adama, nawet teraz, gdy ich małżeństwo przechodzi kryzys. Jest w stanie zrobić dla niego wszystko. Niech pan jej zaraz nie osądza! Ten świat jest naprawdę brutalny, szczególnie w świecie biznesu.

Wzruszyłem ramionami. W tym momencie do pokoju 318 wszedł Błona. Spojrzał na Zielińską, później na zegarek.

– Spóźniłem się?

– Nie, przyszedłeś w samą porę. Właśnie zamierzałem spisywać zeznanie, możesz mi w tym pomóc.

– Spisywać zeznanie? Teraz? – dopytała Zielińska. Potwierdziłem skinieniem głowy. – A czy mogłabym najpierw skorzystać z toalety?

Błona odetchnął i zaprowadził Zielińską do ubikacji. Odchyliłem się. Gdy moje plecy dotknęły oparcia, krzesło

pękło. Poleciałem jak długi, o milimetry minąłem się głową z grzejnikiem. Nogami uderzyłem w stół, aż uniosłem biurko i przewróciłem monitor.

To tyle, jeśli chodzi o przykręcanie śrub.

KORUPCJA

Spisaliśmy zeznania Zielińskiej i odesłaliśmy ją do domu, gdy komendant Krzebietke poprosił nas do pokoju przesłuchań.

Nie spodziewałem się zastać w nim Broczka w obecności dwóch szych z Francji. Widziałem ich wcześniej na filmie w internecie. Odwiedziła nas adwokatka podchodząca pod sześćdziesiątkę. Z trudem oderwałem wzrok od jej szerokiej twarzy i niesymetrycznych, głęboko osadzonych oczu. Z fryzurą na chłopaka przypominała staruszkę z zespołem Downa. Powinna pomyśleć nad zapuszczeniem tych siwych, cienkich włosów, aby zasłonić napuchnięte policzki. Obok niej siedział młodszy adwokat – prezentujący się lepiej, choć mógłby zgolić kozią bródkę, która wyglądała na doklejoną. W tej pełnej napięcia ciszy chrumkał i mlaskał na zmianę, wskutek czego zauważyłem, że brakowało mu dolnych zębów. Ciekawiło mnie, czy we Francji wszyscy nie dbają o wygląd, czy jedynie ci adwokaci próbowali ukrywać swoje mankamenty w eleganckiej marynarce i żakiecie.

Przedstawili się, ale nie zrozumiałem. Zapamiętywanie zagranicznych nazwisk nie należało do moich priorytetów.

– Rozumiecie po angielsku? – spytał z idealnym brytyjskim akcentem siwek w garniturze.

– Nawet potrafimy mówić – odpowiedział Błona. Na groźne spojrzenia komendanta i prokuratora się zgarbił i cofnął pod ścianę.

– Bardzo nas to cieszy – stwierdziła staruszka. Przerzucała papiery w teczce. – Przejdźmy do rzeczy, szkoda cennego czasu. Mamy dla was propozycję nie do odrzucenia. – Położyła dokument pomiędzy Broczkiem a komendantem Krzebietke.

Zajrzeliśmy im przez ramię. Kwota na umowie przyprawiła mnie o wrzody żołądka. Ile tam było zer?

– Chcecie nas przekupić? – dopytał Krzebietke. Zdziwiło mnie, że nie rzucił się na te pieniądze. Dzięki nim miałby zapewnioną ciepłą posadkę do końca życia. – Czego oczekujecie w zamian?

– Proszę przeczytać.

– To po francusku – odpowiedział Broczek. – A francuski słabo pamiętam, chociaż rozpoznaję stwierdzenia takie jak rozwiązanie śledztwa i dokonanie zatrzymania z pomocą zarządu Pihona.

Staruszka spojrzała na kolegę i wyjęła kolejny papier.

– Proszę. Przygotowaliśmy się na taką ewentualność. To angielska wersja.

Błona próbował podejść bliżej, ale Krzebietke machnął na niego ręką. Pozostało mi wierzyć w prokuratora i jego poczucie sprawiedliwości.

– Jesteśmy w stanie dodatkowo zaoferować pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie na poczet zwalczania przestępstw dla

pana komisariatu, sir Krzebietke. – Przerwała im czytanie starucha. – To bardzo hojna propozycja z naszej strony, nie sądzą panowie?

Wstrzymałem oddech, przez ten pokój przewijały się zbyt wielkie kwoty.

Czego oni się tak bali?

Co ukrywali, że chcieli za to zapłacić? Ta sprawa stała się jeszcze bardziej intrygująca, aż oblaźła mnie gęsia skórka.

– Chcecie, żebyśmy aresztowali osobę z zewnątrz? – Broczek zatrzymał palec przy piątym akapicie. – Macie już dla nas podejrzanego w sprawie morderstwa? I chcecie, abyśmy porzucili sprawę kradzieży w Pihonie?

Spojrzeliliśmy z Błoną po sobie. O jakich kradzieżach oni mówili...?

– Bardzo dobrze pan rozumie, panie Broczek – potwierdził siwek. – Pola Misztalewska przyznała się do winy, więc morderstwo rozwiązane. Pieniądze z umowy oferujemy jako nagrodę, żeby wam podziękować za udane śledztwo. Liczy się dla nas dobra współpraca z policją. – Chrząknął. – A kradzieże w Pihonie to nasza sprawa, nie potrzebujemy wsparcia organów ścigania. O ile nam wiadomo, bez zgłoszenia nie macie sprawy, więc je wycofujemy. W trybie natychmiastowym. Mamy już dość tej medialnej nagonki, chcemy się dogadać. Oferujemy idealne rozwiązanie. My uzyskamy spokój, a wy rozwiążecie głośną sprawę.

– Co do sprawy kradzieży, mógłbym polemizować, ale faktycznie. – Broczek odsunął od siebie kartki. – Jednak co do pierwszego punktu się nie zgodzę. Żadna Misztalewska nie będzie brała na siebie winy za mordercę.

– Kazmierzu, możemy na słówko? – spytał po polsku Krzebietke. – Nie sądzisz, że to do przedyskutowania?

– Jeżeli zastanawiasz się nad przyjęciem propozycji od tych żab, to jesteś gorszym kretyńcem niż przypuszczałem.

– Bardzo przepraszam – wtrąciła starucha – ale prosimy po angielsku.

– Oczywiście. – Komendant poprawił się na krześle. – Chcemy więcej pieniędzy.

Miałem ochotę wtrącić się do dyskusji, ale resztkami zdrowego rozsądku się powstrzymałem. Zacząłem obracać w palcach zapalniczkę, spojrzałem też za okno, gdzie słońce biło się o uwagę z chmurami koloru metalu.

Stąd widziałem termometr wiszący na zewnątrz, dochodziło do dwudziestu stopni. Na samą myśl o nadciągającym lecie robiło mi się niedobrze. W wakacje na Pomorzu wzrastała przestępczość, a z tym nadgodziny.

– Słucham? – Starucha wyraźnie zbladła. – Ile więcej?

– Jedynekę zamieńmy na dwójkę, a te pięćdziesiąt tysięcy również umieścmy na umowie, żeby później nie odeszło to w niepamięć. Bo pewnie słyszeliście o sprawie braci McDonald?

– Siwek mlasnął. – Dawno temu bracia McDonald założyli słynne bary szybkiej obsługi, które teraz możecie spotkać na

każdym kroku. Nawet mój policjant stołuje się tam za często. – Zignorowałem tę uwagę. – Restauracje zdobywały swoją świetność, jednak w międzyczasie doszło do kryzysu. Bracia musieli sprzedać firmę. Dogadali się, ale zapomnieli o najważniejszym. To, co zostaje spisane na papierze, jest niepodważalne, a oni jedną, ważną część przypieczętowali uściskiem dłoni. Niestety później, gdy restauracje podbiły rynek fast foodów, pożegnali się z procentami udziałów. Wolałbym, aby z nami nie stało się tak samo.

Adwokaci popatrzyli po sobie i wymienili kilka zdań po francusku, których ni w ząb nie rozumiałem. Broczek zachowywał spokój, wciąż patrząc na dokumenty. Czyżby zmienił front? Słyszałem plotki, że komendant z prokuratorem są dobrymi przyjaciółmi od podstawówki. W tym przypadku zaczynałem w to wierzyć. Obaj zdawali się odgrywać jakąś scenę bez zbędnych słów. A może chcieli przyjąć te pieniądze? Żałowałem, że nie umiałem się w ten sposób porozumiewać z Błoną.

– Przewidzieliśmy taki obrót sprawy – odezwała się starucha, sięgając po telefon. – Proszę dać mi chwilę.

Przystanęła przy drzwiach. Rozmawiała po francusku. Nie musiałem znać języka, żeby rozpoznać gniew. Starucha podnosiła głos, intonowała końcówki zdań i mówiła często na bezdechu. Dodatkowo rysowała coś palcem po ścianie. Najwyraźniej pazerność Polaków nie była im na rękę.

Starucha wróciła na krzesło, złączyła przed sobą dłonie i szeroko się uśmiechnęła.

– Zgadząmy się na wasze warunki. Nasza kancelaria prześle dokumenty i możemy dobić targu.

– Hm... – Komendant Krzebietke zaszurał krzesłem. – Widzę, że sprawa musi być dla was naprawdę ważna, skoro zgodziliście się na taką kwotę. To bardzo dobrze. – Wstał i poprawił mundur. – A nasza odpowiedź brzmi tak: wsadźcie sobie te pieniądze w dupę.

– Ponadto jeśli nie przestaniecie utrudniać nam pracy, postawię wam zarzuty o przekupstwo i utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości – dodał Broczek, także wstając. Ręką machnął w stronę wyjścia. – Nie myślcie, że Polacy to idioci pazerni na kasę. Nie rozmawiacie z pracownikami Pihona. I uwierzcie mi – drapał się po podwójnym podbródku – po tym pokazie przeznaczymy tyle środków, ile będzie trzeba, aby dojść do prawdy.

– Pozwólcie państwo, że odprowadzę do wyjścia. – Krzebietke otworzył drzwi. – Skończyliśmy rozmawiać. Żadnej nagrody dla komendy nie będzie.

– Nie wiecie, co czynicie. – Siwek wstał z rozmachem, łokciami niemal uderzył staruchę. Poprawił garnitur i jako pierwszy ruszył do wyjścia. Starucha się zawahała, ale zebrała dokumenty i podreptała za kolegą. Krzebietke zamknął za nimi drzwi.

Dwa miliony złotych – tyle byli gotowi poświęcić, aby zamieść tę sprawę pod dywan. Nagle odczuwana presja wzrosła. Poczulem, że niosę na barkach tonę węgla, a to dopiero początek niespodzianek...

Nie myliłem się. Na korytarzu spotkaliśmy Zakrzewskiego. Krzyczał coś o awanturze u Ciesińskich. Pobiegliśmy za nim.

WIZJA LOKALNA SZADEGO

Spokój na hali przerywa stukot jej kroków. Idzie szybko, ale nie aż tak, aby wzbudzać podejrzenia. Podchodzi do drzwi ewakuacyjnych i kładzie dłoń na podłużnej klamce. Nie naciska natychmiast, najpierw odwraca się i rozgląda. Nasłuchuje. Nikt nie nadchodzi, w korytarzach panuje ciemność. Zresztą wszędzie jest ciemno, jedyne światło bije od fioletowych lamp przeciw owadom.

Wzdycha, ale powietrze, które wpływa do jej płuc, a następnie z nich uchodzi, nie przypomina tego, jakim oddychała zazwyczaj.

To powietrze zdaje się lodowate i gorące jednocześnie, ciężkie i lekkie, głębokie i płytkie. Obce. Jakby znalazła się na Marsie i przystosowała do innej atmosfery. Ręce jej się trzęsą, serce wali szybciej, każdy dźwięk – nawet ten cichy, błędzący wraz z echem pustych pomieszczeń – wzbudza w niej niepokój.

Ale mimo potu na czole, który spływa wzdłuż skroni i gromadzi się nad ustami... Mimo szybkiego tętna, które może rozsadzić jej żyły, bo tak silnie uderza o ich ścianki... Mimo drżących mięśni ud, jakby po ukończeniu intensywnego treningu... Wie... Wie, że naciśnie klamkę, popchnie drzwi, wchłonie świeże powietrze, cofnie się do środka i stanie z boku. Wie, że zaryzykuje kolejny raz.

Już klamka opiera się sile nacisku, już bark napiera na drzwi, już ma kolejny raz złamać prawo i zdradzić firmę. Tak. Decyduje się łamać prawo. Ale dlaczego? Kiedy uświadomiła sobie, że potrzebuje pieniędzy? W zeszłym roku? Dwa miesiące temu? Podczas standardowych kłótni z mężem i rosnącą nienawiścią ze strony dzieci?

– Co tutaj robisz? – Męski głos ją zaskakuje. Ten dobrze znany, tak często słyszany, ale dzisiaj zbyt ostry i kłujący w uszy. Nie przypomina tego głosu, którego używał, kiedy się kochali. Nie. Nie ma z tamtym głosem nic wspólnego.

Odsuwa się od drzwi i zbliża się do niego.

Stoi w cieniu, bezpieczny, schowany – nie tak, jak ona wyeksponowana przez fioletowe światło lampy owadobójczej. Nagle czuje się naga, wystawiona na rentgen. Jednak zachowuje zimną krew i wymusza uśmiech. Przybliża się, powstrzymując przed wskoczeniem mu w ramiona. Chce poczuć jego dłonie na skórze, oddech na karku, pocałunki na piersiach. Marzy o tym, aby jego gorące ciało ocierało się o nią. Aby ją wziął. Tu i teraz.

Ale musi go spławić. Bez patrzenia na zegarek wie, że zostają jej dwie minuty.

– Co tutaj robisz, kurwa mać? – Zamiast gorącego seksu gdzieś za paletami z maszynami ponawia pytanie jeszcze zimniejszym tonem. Nigdy tak do niej nie mówił, nie przeklinał przy niej. Wie przecież, jaki ma stosunek do przekleństw. Mimowolnie się cofa.

Już czuje strach.

- Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Źle się poczułam.
- Odgrywa scenę, łapiąc się za czoło i używając głosu cierpiącej niewiasty.

Czuje, że się rozluźnia. Opuszcza ramiona, wyobraża sobie, że jego wyraz twarzy zmienia się na łagodniejszy. Słyszy, że oddech mu zwalnia, aż staje się ledwo słyszalny. Zmniejsza więc między nimi dystans. Po prostu marzy, aby poczuć zapach jego perfum marki Christian Dior. Kiedy miewała szczęście, mogła poczuć również proszek do prania i wiosenne powietrze w jego świeżo wypranych ubraniach. Niech ją dotknie! Niech ją posiadzie! Kolejne dwa kroki i...

- Ty dziwko! - krzyczy, nie zastanawiając się, czy ktoś ich słyszy.

Może nie ma szans odskoczyć, a może wcale nie próbuje. Może rozumie, że jej się należy. Mąż psychopata to nie jedyny brutal w jej życiu. Uderza ją. Piecze ją policzek, ciało odwraca się o sto osiemdziesiąt stopni. I wtedy ich zauważa. Oni ją także.

Stoją w drzwiach i zagląдают do środka, przytykając twarze do szyby. Jest ich dwóch, a może i więcej. Gdy tylko ich i jej spojrzenia się spotykają, oni uciekają. Nie ryzykują, tylko dają susa przez płot. Znikają gdzieś w czarnych polach.

Zostawiają ją samą. Pierwszy raz w ciągu całego życia czuje się naprawdę samotna.

Szarpie ją. A może się z nią kłóci? Co najpierw?

Gubi rachubę. Wie, że on panuje nad głosem, hamuje nienawiść. Wypluwa słowa wraz ze śliną. Czasami syczy, a może warczy? Nie jest pewna. Wszystko jest koszmarem. Z kłótni przechodzą w szarpaninę. Nie potrafi jej wybaczyć. Ona nie panuje nad sobą, bo chce, aby go zabolalo tak jak ją. Ma dość zaborczych i brutalnych mężczyzn, którzy nią sterują i traktują jak tępą dziwkę. Nie. Nie należy do pierwszych lepszych dziwek, którym stówka wystarczy za godzinę. Ona jest bezcenna!

Odgryza się. Nie rozumie, dlaczego to robi, ale zaczyna przeklinać. Zaostrza sytuację. Rzuca w niego przekleństwami, ubliża mu od najgorszych, porównuje do żuka gnojara, chociaż nie wie, czemu. Jest przecież przystojny i taki... drogi. Dosłownie. Facet wygrał na loterii i to wcale nie dlatego, że spędzali razem upojne chwile. Po prostu miał takie szczęście, jakiego nie zaznała ani razu.

Traci nad sobą panowanie. On też, gdy rzucanych oszczerstw jest za dużo. To już nie żarty. Mimo tego, że się kochają i ich uczucie jest prawdziwe, dają się ponieść emocjom. Ona to wie. Ale on najwyraźniej nie. Jego ręka sięga do kieszeni. Ona jeszcze nie rozumie o co chodzi. Nie wyczuwa zagrożenia. Przecież się kochają! Jest pewna, że wszystko sobie wybaczą. Ale zaraz... on cofa rękę. Bierze zamach. Co? Dlaczego?

Już rozumie. Doskonale rozumie! Tylko dlaczego kobiety rozumieją tak późno? A może to jest przypadłość Polaków?

Tak! Tak szło to przysłowie! Polak mądry po szkodzie. Mózg każe jej uciekać, ale nogi stoją w miejscu. Już nie zdąży się ruszyć, gdyż tępy scyzoryk zanurza się w jej brzuchu. Po chwili pęka jej serce.

Pragnie księcia z bajki, a otrzymuje kolejnego psychopate, który spory rozwiązuje siłą. Chciała zrobić to dla niego. Dla nich. A on dźga ją z taką nienawiścią, jakby nigdy nie darzyli się prawdziwymi uczuciami. Jakby ich romans istniał wyłącznie w jej wyobraźni.

Głowa opada na jego ramię. On sapie i syczy przez zaciśnięte zęby. Słyszy jego ryk rozpaczony, ale jest świadoma, że teraz już nie ma odwrotu. Dolicza do szesnastu. A może do dwudziestu? W takich chwilach matematyka nie ma znaczenia. Z oczu spływają jej łzy. Jęczy, bardzo cicho, ale jęczy. Przestaje odczuwać ból. Przestaje dobrze widzieć. Przestaje słyszeć.

Upadek na ziemię należy do tych bolesnych. Nie dlatego, że ukochany potraktował ją nożem. Nie z powodu słabnącego serca i zbliżającej się ciemności.

Tylko dlatego, że wie, że gaśnie ostatnia nadzieja.

Leżałem na kanapie ze stopami wystawionymi za podłokietnik. Ramieniem zasłaniałem oczy. Słyszałem rozmowy Fortuny i Suchego, przesuwane przedmioty, dźwięk migawki. Natalia Nyżyńska musiała znać napastnika, ufać mu. Podczas autopsji nie znaleziono śladów obrony. Czy

miłość może tak omamić? Czy Natalia naprawdę kochała Ciesińskiego i dobrowolnie pozwoliła mu się zabić? To śledztwo to żart. Wszędzie romanse, jak w *Modzie na sukces*, aż ciężko się połapać, kto i z kim sypiał. Jednego dnia się nienawidzą, drugiego kochają, trzeciego zabijają.

Nie byłem jednak przekonany, że to Ciesiński zabił.

Usiadłem, wypuściłem ciężko powietrze pomiędzy kolana, następnie rozłożyłem się na oparciu. Teraz patrzyłem w sufit, starając się porzucić wszelkie uczucia. Ale ta sprawa przekierowywała moje myśli do Alicji. Czy specjalnie zaprosiła mnie na ślub, żeby dać do zrozumienia, że to definitywny koniec pomiędzy nami? I dlaczego nie przewidziała, że jej zaproszenie wtrąci mnie w demoniczny nastrój? A może było jej wszystko jedno, co ze mną...? No właśnie: co ze mną – w kontekście jej ślubu, jej nowego życia, tego, co wydarzyło się ostatnio? Sam nie wiedziałem, dlaczego kobiety były tak skomplikowane.

– Trudno odnaleźć się w tym bałaganie. – Światło z żyrandola przysłoniła głowa Fortuny. – Słyszysz? – Kopnął mnie w podeszwę. – Zostawił syf po ostrej kłótni, ale chyba nic więcej nie znajdziemy. Szady...? – Ponowił kopnięcie. – Szady, co z tobą?

– Ktoś przepytiał sąsiadów? – zapytałem, nie odrywając wzroku od muchy odbijającej się od białego sufitu.

– Wydawało mi się, że to twoja robota, ale Błona z Zakrzewskim już chyba kończy przesłuchanie. Nie rozumiem,

dlaczego tu leżysz. Oprócz tego, co tu widać, pewnie nic się ciekawego nie dowiemy. Słyszałeś Ciesińską, kłócili się, rzucali czym popadnie, potem sąsiadka usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Najpierw jedno. Potem łkanie. Pukała do drzwi, ale nikt się nie odzywał, więc nas wezwała. Typowa przemoc rodzinna, nic ciekawego.

– Poczekamy, aż pogotowie skończy obdukcję Ciesińskiej. – Zasłoniłem się poduszką. Bolała mnie głowa i brakowało mi papierosów. Po co wczoraj zapaliłem? Byłem idiota.

Po przyjeździe na miejsce długo nam zajęło dostanie się do mieszkania Ciesińskich. Ale w końcu otworzyła. Pobita, z pękniętym łukiem brwiowym i wargą. Trzymała się też za zębra. Nie wyglądała za dobrze. Ratownicy przebadali ją na miejscu, później zawieźli do szpitala, żeby zrobić prześwietlenie. Na szczęście dyrektor Pihona zgodziła się na przeszukanie mieszkania.

Nie ma to jak młode małżeństwo biorące ślub z różnych pobudek. On dla pieniędzy, ona dla kutasa. Przynajmniej tak to widziałem, mimo tych ckliwych opowiastek Zielińskiej.

– Kurde, czemu ta sprawa jest tak popieprzona?! – Spytałem w momencie, gdy Błona wszedł do pomieszczenia. Nie zdejmowałem poduszki z głowy.

– Zachowujesz się dziwnie, ale OK. Zdażyłem wszystko sobie uporządkować. – Błona szeleścił kartkami notesu. – Sąsiedzi słyszeli kłótnię około dwóch godzin temu. Padały ostre wyzwiska, groźby, oskarżenia. Sąsiedzi przysłuchiwali się tej

klótni, bo nigdy wcześniej nie słyszeli, aby Ciesińscy się kłócili. Według nich była to idealna i przykładowa para. Nie mogli uwierzyć, kiedy jedno i drugie ubliżało sobie od dziwek i tanich szmat. Mniej więcej tak. Nikt nie widział, dokąd poszedł Ciesiński.

– A co z Bulczakiem? Czy ktoś z Gdyni się odezwał?

– Przecież to ty masz układy z Dregańskim, a nie ja – odpowiedział Błona.

Miał rację.

Zresztą czego się spodziewałem? Koleś uciekł za granicę, Francuzi wzięli go na swoją stronę, zanim mieliśmy okazję z nim porządnie porozmawiać. Przydusiłem się poduszką i wdychałem ciężkie, kwiatowe powietrze. Miałem ochotę krzyczeć. Czemu wtedy w biurówcu zostawiłem Bulczaka? Mogłem go bardziej przydusić.

– Chłopaki, chodźcie! – krzyknął Suchy z przedpokoju. – Musicie to zobaczyć!

ITAKA

Tej nocy, jak i kilka poprzednich z rzędu, nie mogłem spać. Nawiedzały mnie koszmary senne. Stałem na dachu Pihona, wyciągałem przed siebie rękę, krzyczałem. Wysiłałem się z całych sił, ale ciało ani drgnęło. Za to Wioleta Misztalewska spadała. Budziłem się dopiero wtedy, gdy uderzała z trzaskiem o asfalt.

Wstałem z łóżka i skierowałem się do kuchni, splądrowałem lodówkę z piwa. Szukałem też czegoś do jedzenia, ale z powodu licznych nadgodzin nie miałem czasu na zakupy. Oprócz masła, którego termin ważności dawno minął, i skwaśniałego mleka – półki wypełniały zielone butelki piwa, innego nie pijałem.

Usiadłem w jadalni i oparłem nogi o kaloryfer. W pierwszej chwili zastanawiałem się nad wyjściem na balkon, ale wybiłem sobie ten pomysł z głowy. Z silniejszym porywem wiatru korony drzew wyginały się do połowy. Na morzu panował sztorm, jego moc dochodziła nawet tutaj.

Wypiłem połowę piwa za jednym razem. W domu panował taki spokój, że zachciałem uciec na miasto. Może powinienem wyskoczyć na imprezę? Zapomnieć o śledztwie? Zresetować się w ramionach łatwej dziewczyny? Wziąłem głęboki wdech. Dopiero teraz zacząłem rozluźniać napięte mięśnie.

Pieprzone koszmary. Pieprzona praca w policji. Pieprzone morderstwa.

Chmury przykrywały i odkrywały księżyc. Nie zdecydowałem się nigdzie pójść. Nie znalazłem w sobie wystarczająco motywacji, aby ruszyć się z krzesła, mimo że piwo dawno się skończyło.

Jak wygrać tę sprawę? I kto, do jasnej cholery, zabił?

Bulczak przepadł we Francji, zresztą brakowało mu motywu do morderstwa. Klucze do mieszkania Misztalewskich znalazł Suchy w torebce Ciesińskiej, ona miała motyw, ale według Fortuny i Kierszki – nie miała wystarczająco siły, żeby zadźgać Nyżyńską. Ostrze wchodziło też pod innym kątem; Nyżyńską zadźgała osoba wyższa od Ciesińskiej. Nie mamy nagrań z kamer, wciąż nie odnaleźliśmy zaginionych dysków twardych, a więc trudno sprawdzić, kto faktycznie był obecny na terenie zakładu. Francuzi zrobili się nerwowi, dziwiło mnie, że Broczek i Krzebietke tak łagodnie ich potraktowali. Ciesiński miał romans z Nyżyńską, jednak Tedi nie znalazł jeszcze dowodu na opuszczenie przez niego Hiltona.

Co za porażka!

– Usłyszałam, jak wstajesz. – W ciemnościach jadalni przemówiła Karolina. – Zrobiłam tosty, takie jak lubisz, i pomyślałam, że sprawdzę, co u ciebie. Wszystko gra? Trzymasz się jakoś?

– A dlaczego ty nie śpisz? – zapytałem, biorąc tost z serem i parówką. Jego ciepło przyjemnie ogrzało opuszki moich

palców. – Nie mów, że cię obudziłem wstaniem z łóżka. – Ugryzłem kawałek i natychmiast poczułem, jak bardzo byłem głodny. Od przeszukania mieszkania Ciesińskich nic nie jadłem. Ciągający się ser poparzył mnie w podniebienie. Mimo tego wziąłem kolejny gryz.

– Wiesz... – Zajrzała do lodówki. – Pisałam post na blog i uczyłam się na zajęcia. A co się z tobą dzieje? Masz koszmary? – Otworzyła jedno piwo dla mnie, drugie dla siebie. Kapsle rzuciła na stół.

– Posrana sprawa. Dobrze, że nie wybrałaś pracy w służbach mundurowych jak ja i... – Przerwałem, nim poruszyłbym niewygodny temat. – Jak ja. – Odchrząknąłem. – Nie jest lekko, ale nie chce mi się o tym rozmawiać. Obiecałem sobie, że nie będę przynosił pracy do domu. Ale dziękuję. Za ten post i nagranie, widziałem to ostatnio w samochodzie, jak jadłem kolację.

– Brak rozmowy o pracy obiecałeś Alicji, a nie mnie ani sobie. Ja nie mam nic przeciwko temu. To w końcu twoja praca, twoje życie, duża część ciebie. Dlaczego miałabym to tobie odbierać?

Zaniemówiłem. Kiedy Karolina tak dorosła? Po zaginięciu rodziców? Wcześniej? Czasem zdawało mi się, że była mądrzejsza ode mnie.

– Znaleźliśmy coś w domu podejrzanych. – Uśmiechnąłem się. – I nie wiem, co dalej.

– Pewnie nie możesz mi powiedzieć, co to było?

– Ważny trop, ale wprowadzający jeszcze większe zamieszanie. – Odrywałem etykietę z piwa. – Nie mogę nic więcej powiedzieć. Ta sprawa jest po prostu skomplikowana.

– Ale z ciebie brat. Nie mam z ciebie żadnego pożytku, chociaż razem mieszkamy.

Pragnąłem uniknąć tej rozmowy, więc poszedłem na balkon. Po wyjściu założyłem kaptur, mocno wiało, ale mimo tego nie odczuwałem zimna. Kotłowało się we mnie za dużo emocji. Miałem ochotę na papierosa, i to tak wielką, że rozważałem skoczenie na stację benzynową. Tylko nie uśmiechało mi się znowu na stałe palić – w swojej pracy potrzebowałem dobrej kondycji. Co prawda rany dobrze się u mnie goiły, szybko dochodziłem do siebie po urazach, ale pamiętałem, że muszę sprawnie biegać i jeszcze lepiej walczyć. Ulica nie stosowała taryfy ulgowej, także zadyszki i kolki nie wchodziły w grę.

Karolina wyszła za mną, oparła się o barierkę i zamknęła oczy. Wiatr rozwiewał jej włosy. Nie chciałem jej wciągać w swoje sprawy.

– Miałaś jakieś wieści na temat rodziców? – spytała, a moja chęć na papierosa wzrosła. – Wiem, że minęło sporo czasu i bardzo się starałeś, ale może pojawił się nowy trop? Świadek? Może ktoś ich widział? Może Itaka ich namierzyła?

Nadzieja w głosie Karoliny wzbudziła we mnie wyrzuty sumienia. Nie szukałem rodziców od ponad dwóch miesięcy.

– Niestety. Wiesz, że po takim czasie odnalezienie ich graniczy z cudem, prawda? Minęło sześć i pół roku. Poza tym

ty zajmujesz się grupą na Facebooku i poszukiwaniami. Nie pozwalasz tematowi umrzeć w sieci. U nas w policji takie zaginięcia uznaje się za...

– Nie mów. Nie chcę, żebyś tak o nich myślał. Ja wiem, że oni gdzieś tam są, żywi. Muszą być, tylko może nie mogą się z nami skontaktować? Może ktoś ich porwał i gdzieś wywiózł? To nasi rodzice. Nie zostawiliby nas dobrowolnie.

– Rozmawialiśmy o tym. Przy porwaniach porywacze żądają okupu. W tej sytuacji żadnego żądania nie otrzymaliśmy. Zresztą, co chciałabyś im zaoferować? Rozpadający się dom czy nasze długi?

– A może porwali ich i wywieźli za granicę do pracy? Może ich wykorzystują?

Położyłem dłoń na ramieniu siostry. Wypiła piwo, następnie naciągnęła rękawy bluzy na dłonie i tak złapała pustą butelkę. Zadrżała, a jej nos zrobił się czerwony. Liczyłem, że zimno przegoni ją do środka, jednak się na to nie zapowiadało.

– Grupa na fejsie działa, ale nic nie potrafią wskórać. Chcę wstąpić do Itaki. Chcę im pomóc szukać zaginionych. Z tego, co się orientuję, przyjmują wolontariuszy. Poza tym, gdybym miała problem, może poprosiłbyś swojego kumpla o pomoc? Ponoć tam kogoś znasz.

Przymrużyłem oczy. Skąd ona czerpała tyle informacji?

– Znam, ale główna siedziba jest w Warszawie, czyż nie? Stąd możesz pomóc jak każdy inny obywatel.

– Wyjadę do Warszawy.

Nie powstrzymałem parsknięcia. Wiatr poderwał reklamówkę i kilka liści, zawirowały w powietrzu przed nami i poleciały dalej.

– A studia? Posłuchaj mnie, rozumiem, co czujesz, ale nie możesz wszystkiego rzucić i wyjechać do Warszawy. Najpierw zdaj studia, rozkręć swoją stronę, znajdź pracę i powiększ pole zasięgu. Działaj strategicznie. Pamiętaj, że z pieniędzmi lepiej się żyje, a ja nie dam rady utrzymać domu, dwóch samochodów i twojego życia w Warszawie. Nie zarabiam milionów.

– Ale ty już przestałeś ich szukać! Wiem, że przestałeś. Jeżeli więc straciłeś siły, to teraz moja kolej! Myślisz, że rodzice kiedykolwiek by zrezygnowali? Szukaliby nas do śmierci! Bez względu na pieniądze!

– Karolina...

– Dlaczego zawsze tak szybko się poddajesz, co? Dlaczego rezygnujesz z rodziny? Z Alicją zrobiłeś to samo! Niby jesteś zdruzgotany, a jednak nie zrobiłeś nic, aby o nią zawalczyć. Po prostu siedzisz i chlejesz browary, gdy ona układa sobie życie z innym. Pozwalasz ludziom odchodzić! Zapominasz o nich! Jesteś beznadziejny!

Wyszła, a ja zacisnąłem dłonie na metalowej barierze. Miałem ochotę ją wyrwać. Powstrzymałem jednak chęć dewastacji i poszedłem się ubrać. Bez papierosów się nie obejdzie. Na pewno nie z takim życiem.

BLISKO ZIEMI

Na stacji kupiłem paczkę marlboro i zatankowałem bravę, a wszystko to na koszt firmy. Po opuszczeniu orlenu zajechałem na parking nieczynnego lidla i schowałem się w najciemniejszym miejscu. Przed odpaleniem papierosa przyglądałem mu się, rozważając za i przeciw nałogowi. Jeśli zapalę, istnieje duże prawdopodobieństwo, że będę palił więcej od Błony. Walić to, pomyślałem przy pierwszym machu. Nie pożałowałem. Dym przyjemnie wleciał mi do płuc.

Zadzwonił telefon. Czy naprawdę nie mogłem mieć chociaż pięciu minut tylko dla siebie? André zrobił piękne wejście po wokalu Tiffany w piosence *Marrakech*. Odczekałem kolejne dwie sekundy liczone w zaciągnięciach i odebrałem na głośnomówiącym.

– Myślałem, że śpisz, ale dyżurny powiedział mi, że zajebałeś służbowy samochód – powiedział Błona. – Więc do mnie przyjeźdź. Zgarniamy Ciesińskiego.

Dwa razy mówić nie musiał. Odpaliłem silnik – zaryczał, gdy próbowałem ruszyć bez wrzuconego biegu. Poprawiłem się i ruszyłem ciszej. Z fajką w zębach wyjechałem z parkingu, wymuszając pierwszeństwo przed nocnym autobusem. Zignorowałem trąbienie. Odebrałem partnera spod domu, a

potem pomknąłem na bombach do Gdyni. Do Parku Rady Europy.

Z pomocą patrolu drogówki odnaleźliśmy Ciesińskiego.

Siedział z butelkami piwa na ławce pod drzewami. Pan inżynier, mąż dyrektorki jednego z największych zakładów w Europie – zalewał problemy w miejscu publicznym. Przykry obrazek.

Na nasz widok się skrzywił, ale nie odstawił butelki. Wręcz przeciwnie, dopił piwo, postawił koło swojej stopy i sięgnął po kolejne z siatki. Dźwięk otwieranego kapsla sprawił, że poczułem suchość w gardle.

Błona obszedł ławkę i stanął za plecami Ciesińskiego. Chciał sprawić, żeby poszukiwany poczuł się nieswojo, jak owca osaczona przez wilki. Nic to nie dało. Ciesiński rozłożył się wygodniej na ławce.

– Wiem, dlaczego tutaj jesteście – odezwał się pierwszy. – Ale musicie mnie zrozumieć. Jesteśmy młodzi, jest pogoń za forszą i bardzo szybko można się zatracić, wręcz zapomnieć, po co wstąpiło się w związek małżeński. Szczególnie z tą suką. Ona traktuje mnie jak ciacho, ozdobę, może nigdy mnie nie kochała, chociaż często to powtarzała. Nie omieszkała nawet oznajmić tego znajomym na fejsie. Jego kocham. W sensie: mnie! – Zaśmiał się. – Myśli pan, że nie wiedziałem o jej romansie? Zbyt często wyganiała mnie do domu i zostawała z nim sam na sam po godzinach. Wiedziałem, co tam się dzieje, ale nie chciałem tego sobie wyobrażać. Bałem się, że przez to

wszystko się zjebie. Za bardzo ją drażniło, kiedy wypytywałem o pracę z nim. Zmieniała się wtedy, wrzeszczała albo unikała tematu. Lepiej było, gdy tego nie ruszałem.

– A co się stało w domu? – Przejąłem rozmowę. – Nie wytrzymałeś i ją pobiłeś?

– Nie wytrzymałem – potwierdził, rozglądając się na boki. – Wygarnąłem jej Ezmana, zaczęła się ostra kłótnia. Głośna i wulgarna. Oj, nawet nie wiedziałem, że te usta potrafią tak przeklinać. Powiedziałem jednak wszystko, co mnie bolało. Wyrzygałem romans, traktowanie mnie jak broszkę z limitowanej serii, jej późne powroty do domu, bo korki, bo awaria prądu, bo zestawienia na zebranie rady w Toruniu. Miała mnie za kompletnego idiotę? – Napił się piwa. – A mądry czy głupi, to uczucia jednak mam. Godność także.

– Dlatego pan ją sprął? – Powtórzyłem pytanie, na co Ciesiński się wzdrygnął.

– Ona uderzyła mnie pierwsza. Rzuciła się na mnie z pazurami, aż zadrapała mnie do krwi. – Wskazał palcem na zakryte przez kurtkę ramię. – Potem mnie poniosło. Sam nie wiem, jak to się potoczyło dalej.

Ciesiński cofnął nogę, stopą stuknął w butelki. Zabrzęczały przy przewracaniu się, policzyłem do pięciu, zanim zniknęły w cieniu.

W siatce chował jeszcze trzy. No, teraz dwa, bo jedno otworzył.

– Czasy studenckie się kłaniają. Tyle piłem, że teraz potrzeba sporo procentów, aby mnie powalić. Muszę dużo wypić, naprawdę dużo, aby mnie zmogło. Zresztą – przyjrzał się nalepce piwa – tu jest zaledwie cztery i pół procenta.

– Kto tak zdemolował mieszkanie? – wróciłem do tematu.

– Ta wariatka. – Ciesiński wpatrywał się w butelkę, jakby na jej dnie leżało szczęście. – Wściekła się na mnie, bo... No właśnie. Lepiej przestanę mówić, bo sam na siebie wyślę baty.

– Interesuje nas tylko morderstwo. Jeśli to nie pan zabił, to proszę mówić. – Błona przysiadł na oparciu ławki.

– I mnie nie aresztujecie? – Ciesiński skierował pytanie do mnie. Najwyraźniej zdobyłem jego zaufanie, albo alkohol zaburzył jego osąd. Skinąłem głową. – Dobrze, więc wam wierzę na słowo. Już mówię, tylko... – Beknął, sięgając po nową butelkę. Nawet nie przeprosił. – Powstrzymałem się przed wyobrażaniem sobie mojej żony w ramionach tego ciula, ale to było silniejsze ode mnie. Za każdym razem, gdy mnie całowała, zastanawiałem się, czy aby przypadkiem tymi ustami nie... no wiecie. Byłem na nią zły, ale nie chciałem robić awantur. I udało się, ale nie tylko z powodu mojej silnej woli. Po prostu spotkałem Natalię i tak jakoś... no wiecie... – Dostał czkawki. – Na początku trzymaliśmy się na dystans. Ja: mąż dyrektorki, ona: zameżna brygadzistka z dziećmi. No, ale...

Miałem nadzieję, że przejdzie do rzeczy, zanim uśnie na ławce.

Pił niesamowicie szybko. Sam zdołałbym w tym czasie zwymiotować, a już na pewno dziesięć razy wysikać się w krzaki.

– Od spotkania do spotkania zaczęliśmy się do siebie zbliżać. Mocno. Najpierw chodziliśmy na kawę, później na długie spacery, aż zaprosiłem ją do siebie. Pod nieobecność Joli oczywiście. Nie sądziłem, że Natalia przyjedzie, bo ustaliliśmy, że poza przyjaźnią do niczego nie dojdzie, a ja w końcu jestem facetem. Potrzebowałem jej. Wiecie, jak to jest, prawda? U kobiety nie liczy się tylko zgrabny tyłeczek i piękna buźka. Chociaż jest to istotne, to musi mieć w sobie coś jeszcze... to coś. – Zmarszczył czoło.

Pomyślałem o Alicji. Miała to coś, ale spieprzyłem sprawę przez pracę. Przez takie tasiemce jak morderstwo Nyżyńskiej.

– Dalej domyślacie się pewnie, co było – kontynuował Ciesiński z pijacką czkawką. – Spotykaliśmy się potajemnie. Po czasie rozważaliśmy odejście od naszych partnerów, rzucenie pracy i ucieczkę gdzieś w głąb kraju. Wiecie, jej mąż nie był aniołkiem, prał ją, chlał na umór, obracał przeciwko niej dzieciaki. Często zmieniał pracę albo wcale jej nie miał. Natalia czuła, że traci swoją rodzinę. A ja własnej tak naprawdę nigdy nie miałem.

Wbrew negatywnym uczuciom, jakimi darzyłem Ciesińskiego, zrobiło mi się go żal. Miałem przed sobą idealny przykład na to, że kasa nie przynosi szczęścia.

– Mieliśmy im powiedzieć w dzień śmierci Natalii. – Odetchnął ciężko, a może powstrzymywał się przed płaczem. – Zebrała wystarczająco dużo kasy na start i byliśmy gotowi do ucieczki. Tyle by nam starczyło na swobodne życie przez lata. Ale mój nagły wyjazd na szkolenie odroczył nasze plany, bezpowrotnie.

Ciesiński przetarł twarz.

– Kochałem ją, wiesz? Bardzo mocno ją kochałem. Właśnie dlatego zdecydowałem się jej pomóc. Zdecydowałem się wbić nóż w plecy Joli. Zdobywałem wyjaśnienia na zerwane plomby, przeszkadzałem Bulczakowi w zamontowaniu nowych kamer. Opóźniałem wszystko. A wiesz, że miałem łatwy dostęp do informacji, prawda? – Kucnąłem przed nim. – Nie musiałem się nawet starać. Debilka tak bardzo mi ufała, że przylatywała do mnie z każdym problemem. Wypłakać się na ramieniu. Suka, parszywa suka. Nawet nie wiesz, jak bardzo się nią brzydzę. Szczególnie teraz, gdy straciłem...

Przechylił butelkę i wypił do dna. Spojrzałem na Błone i ciężko westchnąłem. Stopniowo rozumiałem, o co chodzi, jednak martwiła mnie ilość alkoholu spożywana przez Ciesińskiego: zaraz przestanie składnie mówić.

– Kradłeś razem z Natalią? – spytałem dla odnowienia tematu. – I Jola się o tym dowiedziała?

– Sam jej powiedziałem. – Uśmiechnął się. Zdałem sobie sprawę, że z tą cerą i białymi zębami Ciesiński przypominał mi piosenkarza, Iglesię. – I wyobraźcie sobie, że bardziej od

romansu zabolą ją kradzieże. Jak mogłem okradać jej firmę?! Piszczala, głupia kurwa.

– Więc żona dowiedziała się o romansie i kradzieży, przestraszyłeś się i w afekcie zabiłeś Natalię? – zapytał Błona, włączając się do rozmowy.

Ciesiński cofnął głowę, jakby powąchał coś ohydneho.

– Oddałbym za nią życie, bez wahania. Są w naszym życiu takie osoby, bez których nie możemy żyć. Bez których nie da się żyć. – Odwrócił głowę w kierunku Błony. – I Natalia właśnie nią była. Mówiłem jej, ostrzegałem ją, prosiłem i błagałem, ale nie słuchała. Była uparta. Za bardzo uparta. Marzyła o Paryżu i Afryce. To miał być jej ostatni skok... wtedy... no wiecie... – Przetarł zasmarkany nos. – Ostrzegałem ją. Mówiłem, że mamy dość, ale ona stwierdziła, że nie robi tego tylko dla nas. Buli ją prosił. Mówiłem: zostaw, ale ona: nie! Buli prosi, więc zrobimy to ostatni raz. A gdyby nie to...

– Buli? Kto to Buli?

Nieustannie kręcił głową, jakby zaciał mu się film. Po drugiej stronie ulicy przechodziła grupka dzieciaków, jeden z nich miał irytujący śmiech. Przystanęli, by na nas popatrzeć.

– Dobra, wstawaj. – Postukałem Ciesińskiego w bark. – Przejedziemy się.

– Co?! Dokąd?!

– Tam, gdzie jest ciepło, ale niezbyt przytulnie – odpowiedziałem, patrząc na Błone. Wyciągał z kieszeni bloczek mandatowy. – Mamy jeszcze kilka pytań, ale do tego

czasu musisz otrzeźwieć. – Zmarszczyłem czoło. – Błona, co ty robisz?

– Czekaj, czekaj – odpowiedział. – Tylko mandat wypiszę za picie w miejscu publicznym i za zaśmianie.

Ciesiński zerwał się z ławki. Odskokczyłem przygotowany na starcie.

– Powiedzieliście, że to was nie interesuje! Chcecie złapać mordercę! To nie ja zabiłem! Nawet mnie tu nie było!

– Kłamaliśmy – przyznał Błona. – Nie pierwszy ani ostatni raz. Podpisze pan? O, tu... – Postukał długopisem w bloczek.

– Pierdol się! Wsadź to sobie w dupę! – Wyrwał bloczek Błonie i rzucił na ziemię, nie omieszkał go przydeptać butem.

– Pierdolę wasze mandaty! Okłamaliście mnie!

– No dobra, dobra. – Przestałem się patyczkować. Podszedłem do Ciesińskiego i prostą dźwignią go sobie podporządkowałem. Założyłem też kajdanki. – A już myślałem, że pójdziesz po dobroci.

W drodze do bravy informowałem Ciesińskiego, za co został zatrzymany. Po co to robiłem? Najwidoczniej z przyzwyczajenia. Przecież wiedziałem, że takie ścierwa długo nie posiedzą w celi.

I miałem rację. Z samego rana Ciesińska wycofała zarzuty o pobicie, a francuscy adwokaci wykonali resztę roboty. Ciesińskiego wypuszczono do domu z czystym kontem.

W OCZACH

Suchy czekał na parkingu przy McDonalddie. Na szczęście pomyślał, aby zabrać dla mnie śniadanie i karmelowe latte. Zamruczałem po wzięciu łyka. Tego potrzebowałem dla polechtania nie tylko kubków smakowych, ale również samopoczucia.

– Więc jak do tego doszedłeś? – Włożyłem do ust kanapkę z kurczakiem, żeby zmienić bieg. Właśnie wjechaliśmy na ruchliwe skrzyżowanie, przejechałem na późnym pomarańczowym, a przynajmniej tak to sobie tłumaczyłem. Po kręceniu głowy Suchego i trąbieniu z lewej zrozumiałem, że przejechałem na czerwonym. Ciekawe, czy Stary każe mi zapłacić mandat za zdjęcie z kamer.

– Tedi dał ogłoszenie na fejsa, że znalazł scyzoryk. Nietypowy. Zabrudzony krwią. Wstawił kilka zdjęć i poczekał. Nie musiał długo czekać, bo na jednej z grup powstała burza. Jak przewidywałem, znalazło się kilku właścicieli.

– I? – Przełknąłem kolejny kęs kanapki. Jak dobrze, że inni myśleli o posiłkach za mnie.

– Maria Stonka dodała komentarz, który zwrócił naszą uwagę. Napisała, że scyzoryk należy do jej ojca, wskazała miejsce, w którym znajdowała się krew i podała powód. Matka chciała zrobić ojcu na złość, bo bardziej kochał ten scyzoryk

od niej i zaczęła go używać w kuchni. Pewnego dnia zacięła się przy krojeniu warzyw. Tydzień później zmarła. – Wskazał palcem na znak drogowy ostrzegający o przejściu dla pieszych. – Mamy ograniczenie. Nie jedź tak szybko w mieście.

Uniosłem brwi i wyrzuciłem papierek po kanapce do tyłu.

Powstrzymałem się, żeby nie docisnąć gazu. Czasami budziło się we mnie złośliwe dziecko, które uwielbiało droczyć się z innymi. Tym razem odpuściłem.

– Bardzo smutna historia, ale nadaje się na creepypastę. Nie rozumiem, czemu was zainteresowała.

Minęliśmy beczkę na poboczu zapraszającą do restauracji Beka.

Zaraz obok niej widniał billboard ze zdjęciem sławnej osobistości z telewizji, która zajmowała się rewolucją w polskich restauracjach. Wyhamowałem przed rondem. Rozważałem włączenie syren. Nienawidziłem ślamazarnych kierowców – takich bez żadnej dynamiki.

– Tedi do niej napisał. Trochę czekaliśmy na odpowiedź, ale w końcu się odezwała. Opowiedziała o kradzieży. Maja niedaleko domu małe gospodarstwo. Ojciec się wściekł i wyniósł tam scyzoryk, bo przypominał mu o śmierci matki – kontynuował Suchy, zdejmując wieczko z kubka. Pił czekoladowego szejka. – Potwierdziła, że nie zgłosiła kradzieży, ale ma zdjęcia jako dowód własności. Oprócz scyzoryka zginęło również paliwo do ich traktora, oraz kilka innych cennych pamiątek po wojnie. Spytaliśmy dlaczego tam to

trzymali. Odpowiedziała, że ojciec dostawał szału, jak te rzeczy były w domu. Zarzekał się, że są przeklęte.

Próbowałem się napić, ale przez kierowcę wyprzedzającego na trzeciego najechałem na dziurę. Samochód podskoczył, a kawa rozlała mi się na koszulkę.

– Kurwa! – Odstawiłem kubek na uchwyt i wziąłem od Suchego chusteczkę. Nic to nie dało. Miałem na sobie białą koszulkę z motywem z Resident Evil, która teraz wyglądała jak obsrana. – Niech to szlag! Powiedziałaś o tym Błonie?

– Oczywiście. Stara się o spotkanie z Bulim. Wystosował pismo, pogadał z komendantem Krzebietke i liczy na to, że komendant wojewódzki przyspieszy sprawę. Błona zadzwoni, jak tylko otrzyma zezwolenie. Myślałem, że to wiesz. Błona to przecież twój partner, nie mój.

Zignorowałem uwagę, ale odgryzłem się, wyprzedzając trzy samochody z rzędu. Minimalnie minąłem się z wysepką i żółtym słupkiem ze znakiem. Później zjechałem w ulicę, którą wskazywał mi tyranozaur Rex. Zapraszał do niedawno otwartego parku ewolucji. Mimo tego, że popierałem pomysł na kolejne edukacyjne miejsce dla dzieci, nie podobała mi się droga dojazdowa. Humor poprawiał mi fakt, że jechałem służbowym samochodem i żadna dziura nie była mi straszna. Chwile, w których musiałem zjeżdżać na piaszczyste pobocze, też mnie nie interesowały, nawet nie hamowałem. Kątem oka zauważyłem mamuta, a za nim tubylców z prowizoryczną

bronią. Nie żałowałem postępu w nauce, nie wyobrażałem sobie gonić kryminalistów z maczugą.

Na miejscu wjechałem przez otwartą bramę na zarośniętą mchem i trawą kostkę brukową. Zaparkowałem przy podgniłym trabancie. Dwupiętrowy dom mimo zaniedbanego podwórka – został ocieplony i pomalowany na łososiowy. Na tej posesji nic do siebie nie pasowało. Wyremontowane ściany nie współgrały z podrapanymi i drewnianymi oknami. Odmalowany płot nie pasował do przerośniętego chwastami trawnika. Doszliśmy do popękanych betonowych schodów, gdy w drzwiach stanęła Maria Stonka z wypłowiałymi czerwonymi włosami. Natychmiast rzucił mi się w oczy jej makijaż. Mocny niebieski cień podkreślony rozmazaną ku skroni czarną kredką, zbyt ciemny podkład odznaczający się od szyi i podkreślający zmarszczki. Gdyby nie te ubrania pasujące do księgowej, pomyliłbym ją z burdelmama.

Uścisnęła nam ręce i zaprosiła do środka. W korytarzu przywitały nas siatki z biedronki wypełnione pustymi butelkami po tanim piwie. Stały tak wśród butów domowników. Maria poprosiła nas, abyśmy nie zdejmowali swoich i zaproponowała herbatę. Skorzystałem, chociaż po przemyśleniu wolałbym zimną wodę. W domu panował zaduch, a ja miałem zapiętą pod szyję kurtkę. Nie chciałem świecić plamą, żeby nie wyjść na niezdarę lub niechluj. Po przejściu dwóch kroków przestałem się tym kierować.

Podłoga z drewnianych desek skrzypiała i wyginała się pod moim ciężarem. Modliłem się, żeby nie wpaść do piwnicy. Skoro tutaj rzadko sprzątano, na dole pewnie pobudowały sobie schronienie szkodniki i owady różnych gatunków. Mógłbym tego nie przeżyć, zważywszy na mój szal na punkcie porządku.

Może nie byłem pedantem, ale syfu nie znosiłem.

Maria zaprowadziła nas do salonu, w którym dominował piec kaflowy. Z jego wnętrza wydobywał się syk palonego drewna, a obok niego w koszu leżało jeszcze kilka kawałków do podłożenia. Po latach w policji i pracy w różnych warunkach wyczułem ostry smród szczyń, ale nie ośmieliłem się zażyć tabaki, żeby zmniejszyć jego intensywność.

Przez pierwszą chwilę wahałem się usiąść na wskazanym przez właścicielkę miejscu. Widziałem, że sprzątano w tym domu z wierzchu, a stuletnia tapicerka foteli nie zaznała w swoim żywocie prania, niemalże jak kot, który panicznie boi się wody. W końcu usiadłem. Zapadłem się w siedzisku, aż uniósł się kurz. Widziałem, jak tańczy w promieniach słońca padających z okien pozbawionych firan. Zagryzło mnie w nosie.

Maria wróciła z kuchni z szerokim uśmiechem. Sprawiała wrażenie zadowolonej z życia. A może nauczyła się grać po tych wszystkich latach? Nie wierzyłem, że osoba, której dom przypominał ruinę, może być szczęśliwa. Tego uczył mnie mój ojciec. Chcesz poznać drugiego człowieka, idź do niego na

kawę. W tym przypadku porysowany blat stołu z okrągłymi śladami po kubkach i zabrudzone tapety w paski odchodzące w rogach od ścian – nie przekonywały mnie do osobowości Marii. Nie mogę też powiedzieć, że brakowało jej pieniędzy, bo jakoś na wódkę i piwo miała.

– Pani Mario, przyszliśmy tutaj z nietypową prośbą. – Odchrząknąłem; czułem, jak pocę się na plecach. – Otóż jesteśmy we władaniu scyzoryka pani ojca...

– Ostrza Żydowskiej Śmierci – poprawiła mnie. – Przepraszam, ojciec mnie tego nauczył. Kiedyś też patrzyłam na to jak na kawałek metalu, ale przez niego udzieliło się i mnie.

– Czy ojciec jest w domu? – spytałem.

– Tak, ale śpi. Zawsze o tej porze śpi do obiadu. Wiecie panowie, mój ojciec ma już swój wiek, musi odpoczywać. Jeszcze przed śmiercią mamy chciało mu się wychodzić i spędzać z matką czas przy planszówkach, albo oglądając telewizję. Po jej śmierci ciężko mi z nim rozmawiać, a minęło już ponad trzydzieści lat.

– Bardzo nam przykro – powiedziałem i zerknąłem na Suchego. Przez nieszczelne okna gwizdał wiatr, daleko mu było do Bacha.

– Pani Mario, czy zgodziłaby się pani na pobranie DNA? – dopytał Suchy. – Wystarczy nam pani ślina.

– Moja?! – Położyła dłoń na klatce piersiowej. – Po co panom moja ślina?

– W celu potwierdzenia pani wersji. Dzięki temu będziemy w stanie porównać pani DNA z tym znalezionym na scyzoryku.

– Ale to nie ja się zacięłam. Tylko moja matka.

– Rozumiemy to doskonale. Jednak ze względu na pokrewieństwo markery w DNA będą zbliżone. Wystarczy nam pewność, że jest pani jej córką.

– A wtedy oddacie nam ostrze? Zrozumcie panowie, jest dla ojca ważne. Wydaje mi się, że cierpi bardziej przez jego utratę niż śmierć matki. Sama już nie wiem, co mu jest.

Suchy otworzył walizkę i szukał wymazówek.

– Po zakończeniu śledztwa. Jak najbardziej – potwierdziłem.

– Jednak potrzebujemy pani pomocy.

– Pani Mario, proszę potrzyć policzkiem...

– Ale... – Cofnęła głowę i zasłoniła dłonią usta. – Czy to nie przeszkadza, że wypiliśmy małego do śniadania?

Suchy zmrużył oczy, zerkając na mnie. Wzruszyłem ramionami, wódka przed dziesiątą rano dla niejednych była normalnością. Poza tym żaden makijaż nie przykryje oczu alkoholika. Pamiętałem to z czasów, gdy próbowałem ratować ciotkę przed samozagładą.

– Proszę się tym nie przejmować – wtrąciłem. – Kolega sobie poradzi.

– Pani Mario, proszę potrzyć policzkiem o zęby – powiedział i zademonstrował jej, jak to zrobić.

Maria wykonała polecenie. Suchy wsunął Marii do ust patyczek zakończony wiskozowym wacikiem, nasączył go śliną

ze słuzówki policzka i zamknął w bezpiecznej probówce. Machinalnie schował pierwszą próbkę w samozamykającej się torebce, a następnie opisał ją podstawowymi danymi Marii oraz datą i godziną pobrania wymazu. To samo powtórzył z drugim policzkiem.

– Pani Mario, proszę mi jeszcze powiedzieć, dlaczego nie wezwała pani policji do kradzieży?

– Ojciec tego nie chciał. Stwierdził, że w ten sposób pozbedziemy się Ostrza Żydowskiej Śmierci, naprawdę wierzył w jego demoniczną moc. Z czasem jednak brak scyzoryka go gnębił, wydaje mi się, że ta rozłaka go zabija. Nie mogłam nic wtedy zrobić, szanse na jego odnalezienie wynosiły zero, do momentu pojawienia się waszego ogłoszenia w sieci. Odzyskałam nadzieję na powrót taty do zdrowia.

– Rozumiem – powiedział Suchy, zamykając walizkę. – A kto pierwszy zauważył, że was okradziono?

– Ja. Poszłam tamtego dnia na spacer po lesie. Za moim domem, oprócz szopy i starych maszyn rolniczych, jest droga do lasu. Chciałam odpocząć, przewietrzyć się. Często tamtędy chodzę, wczoraj też tam byłam. Lubię tę okolicę.

– Czy może pani powiedzieć coś więcej o tej kradzieży? Znalazła pani przeciętą kłódkę?

– Nie. – Podrapała się po głowie, rozczochrała się. – Zauważyłam otwarte drzwi szopy. Myślałam, że może ojciec się tam wybrał, nie widziałam go tego ranka. Poszłam sprawdzić, ale zauważyłam, że ktoś odkręcił śrubki z jednego

uchwytu do kłódki i w ten sposób swobodnie dostał się do środka. Natychmiast obudziłam ojca i wtedy razem sprawdziliśmy, co skradziono. Oprócz paliwa, kilku narzędzi i innych pamiątek po wojnie, zniknęło też Ostrze Żydowskiej Śmierci.

– Czy moglibyśmy tam teraz zajrzeć?

– Niestety, panie Szadurski. Szopa spłonęła tydzień po kradzieży. Został z niej zaledwie szkielet i gruzy.

– Co się stało? – dopytał Suchy.

– Ojciec się upił i ją spalił. – Wzruszyła ramionami. – Takie rzeczy czasami się dzieją, panowie. To nasza posesja, nie zgłaszaliśmy tego na policję. Nie ma potrzeby. Ojciec chciał w ten sposób odreagować stratę Ostrza Żydowskiej Śmierci.

Podziękowaliśmy za współpracę. Na korytarzu usłyszałem gwizdanie czajnika. Woda na herbatę się zagotowała, choć z niej nie skorzystaliśmy. Dla potwierdzenia usłyszanej wersji wyjrzelśmy za dom. Maria Stonka nie kłamała, stąd widzieliśmy czerń spalonej stodoły. Musieliśmy obejść się bez niej. Dobrze było to, że odpowiedzi na nurtujące nas pytania i tak otrzymaliśmy.

Odwiozłem Suchego na komendę. Nie zdążyłem zaparkować pomiędzy krzywo ustawionymi radiowozami na policyjnym parkingu, a zadzwonił Błona. Dzięki pomocy komendanta wojewódzkiego otrzymaliśmy zielone światło na widzenie z Bulim – od ręki. Pomógł nam fakt, że na narzędziu zbrodni znalazły się jego odciski palców.

PODWÓJNE DNO

Wystukiwałem podszwą melodię z filmu *Skazani na Shawshank*. Buli spoglądał na mnie w ciszy i wyczekiwaniu. Nie wyglądał dobrze z pożółkłym okiem i opuchniętą wargą. Orangutan dawał się okładać w areszcie śledczym.

Metalowe drzwi zamknęły się z piskiem za strażnikiem, który stanął przed nimi jak bramkarz czekający na strzał karny.

Wzrok skupił na pomarańczowej ścianie pomalowanej farbą olejną.

Błona wyjął z kieszeni wywołane zdjęcie zgięte na pół. Położył je na stole tak, żeby Buli miał dobry widok na Ostrze Żydowskiej Śmierci.

– Rozmawiamy nieoficjalnie? – spytał powoli, jakby jego mózg się skurczył.

– Rozmawiamy nieoficjalnie – potwierdził Błona.

– Moja siostra jest trzepnięta. Najpierw zlecała mi kradzieże, później na mnie za nie wrzeszczy. A teraz to? Chce mnie wkreślić w morderstwo?! Ona chyba żartuje. W pierdłu nie ma dnia, w którym nie próbują mnie okładać. A to? – Wskazał palcem na spuchniętą wargę. – Chcieli mi zabrać jedzenie. Skurwysyny! A klawisze nie reagują, bo mają gdzieś takich jak ja. Frajerzy, pedały, jebane cwele. – Splunął, ślina opadła obok jego buta na gumoleum. Strażnik chrząknął. –

Pierdolone psy! Gdybyśmy walczyli sam na sam, nie miałbyś szans!

Zmrużyłem oczy i rozbujałem się na krześle. Oparcie stuknęło o krzesło za mną.

Te meble pasowałyby do przedszkola, a nie do więzienia, gdzie siedzieli faceci o moim wzroście. Mierzyłem ponad metr osiemdziesiąt i nie mieściłem nóg pod stołem.

Błona był ode mnie niższy o dobre piętnaście centymetrów, więc nie miał problemu z siedzeniem. Natomiast Buli w ogóle nie pasował do tego obrazka – ze swoją wagą i przerośniętymi barkami, zdawał się być wygolonym pawianem uwięzionym w domku dla lalek.

– Więc potwierdzasz, że brałeś udział w kradzieżach w Pihonie?

– Wolę to od zamieszania mnie w morderstwo. Nie miałem z tym nic wspólnego. Mogę siedzieć, i tak mnie to nie ominie, ale jestem złodziejem. Nie mordercą. – Przetarł rękoma spocone czoło. – Kurwa mać, ja pierdolę, to jakaś paranoja. Jo, okradałem Pihon, ale nie miałem z tego żadnych profitów, kurwa. W sensie fantów nie miałem. – Uniósł brew. – Mój łącznik mi płacił, a towar, który kradliśmy, szedł do utylizacji.

– Potwierdzasz, że kradłeś z Natalią Nyżyńską? – dopytałem.

– Nie padały żadne imiona. Tym zajmował się mój łącznik, mnie to nie interesowało. Wicie, kradzież to jedno, morderstwo to drugie. Kurwa, nie zajebałem nikogo!

– Tak, tak, mówileś już to. – Machnąłem ręką. – I nie oskarżam ciebie o morderstwo. Byłbym kompletnym idiotą, gdybym to zrobił. W chwili morderstwa spuszczałem ci łomot na bagnach.

Buli zazgrzytał zębami i podrapał się po czarnej wdowie wytatuowanej na przedramieniu. Zastanawiałem się, skąd pomysł na taki tandetny wzór. Z drugiej strony dzięki niemu wpasowywał się w te mury, wszystko tutaj było łatane na szybko, po taniości i bezguściu.

– Powiedz nam, co wiesz, Buli. – Błona przerwał ciszę. – Szczerze, bez owijania w bawełnę. I co najważniejsze: bez kłamstwa, jasne?

– W zamian za co?

Odetchnąłem znudzony jego zagrywkami.

– Może za zmniejszenie wyroku dla siostry? – Podrapałem się po brodzie. Stwierdziłem, że powinienem wrócić do starych nawyków i golić się codziennie. – Co ty na to? Nie zależy ci na tym, żeby twoja siostra spędziła jak najmniej czasu w pace? Bo przecież ona była twoim łącznikiem, prawda? No i płaci za ciebie alimenty.

– Myślicie, że jestem totalnym idiotą? – Buli się zaśmiał. Zwrócił tym uwagę strażnika. Mnie też rozboleły uszy od tego rżenia. – Znam te wasze chwytaki. Najpierw obiecujecie góry, a później pokazujecie środkowy palec. Nie dam się wychujać. Wy to nie prokurator, nic nie możecie mi pomóc przy ustalaniu wyroku.

– Nie będziemy ciebie prosić, ale wiedz, że ta wizyta wystarczy, aby uprzykrzyć ci życie – wtrącił Błona. – Rozpuszczę wici, że z nami gadałeś. Nazmyślam, a lubię zmyślać. Jestem w tym dobry. Jestem lepszy niż sam Stephen King. – Wyszczrzył zęby. – Ale ty nie umiesz czytać, co?

– Umieć! I wiem, kto to jest!

Upomniałem go ruchem rąk, żeby ściszył ton.

– Skąd mam wiedzieć – kontynuował ciszej – że nie pozwolicie skrzywdzić mojej siostry?

– Chcemy zabójcy. Mamy w dupie twoją siostrę i te kradzieże. Nimi zajmuje się inna grupa operacyjna. Ja chcę złapać tego, który skrzywdził Natalię Nyżyńską.

Mierzyliśmy się chwilę spojrzeniami. Buli w końcu zrezygnował i pochylił głowę. Dopiero teraz zauważyłem bliznę, która przepoławiała jego brew. Na czole zaświeciły się blizny po ospie.

– Dobra, dobra. Opowiem wam wszystko, co wiem, ale chcę coś w zamian.

Nie zamierzałem odpowiadać, aby go nie zachęcać. Przybrałem minę znudzonego życiem i czekałem. W głowie wciąż rozbrzmiewała mi melodia z filmu. Więzienia za każdym razem działały na mnie tak samo. Błona stukał długopisem w kartkę.

– Chcę fajek.

– Tylko? – Spytałem z uniesionymi brwiami. Zaskoczył mnie.

– Chcę sztangę fajek, albo najlepiej dwie! Muszę jakoś ułożyć sobie życie w tym pieprzonym miejscu, a bez przewagi się nie da!

– Serio? Fajki? – Błona zapytał jeszcze raz.

– Chcę fajek! – Uderzył pięścią w stół. Machnąłem do strażnika, że wszystko w porządku. – Chcę, kurwa, szlug, czy to tak trudno zrozumieć?

– Zobaczymy, co da się zrobić. Pod warunkiem, że odpowiesz na wszystkie pytania i wytłumaczysz, o co chodziło z tymi kradzieżami. – Przysunąłem fotografie Ostrza Żydowskiej Śmierci bliżej Buliego. – Czy dokonałeś kradzieży tego przedmiotu?

Zmrużył oczy, przyglądając się zdjęciu. Strażnik zerknął na zegarek, zbliżała się trzynasta, pora obiadowa dla więźniów. Byłem tego świadomy, ale miałem ważniejsze sprawy na głowie niż karmienie Buliego. Za drzwiami ktoś przeszedł, kroki rozniosły się echem. Liczyłem, że nie przerwą nam przesłuchania, skoro naczelnik więzienia obiecał pełną współpracę.

– Tak, pamiętam. Znalazłem to w jakiejś szopie.

– Co się stało ze scyzorykiem?

– Ciężko powiedzieć, trochę fantów zdarzyło mi się opylić, dużo tego było. Możliwe, że sprzedałem to jakiemuś frajerowi. I tak był tępy, więc by mi się do niczego nie przydał.

– Dobra, więc pomyśl nad tym, bo coś mi się wydaje, że kłamiesz. A jak kłamiesz, to z naszej umowy nici. –

Poprawiłem się na krześle. Czemu nikt nie inwestował w lepsze krzesła? Od tego drewna drętwiały mi pośladki. – Masz jeszcze dziesięć minut na wyznanie nam prawdy. Chcemy wiedzieć, dlaczego okradaliście tę firmę, kto brał w tym udział i co najważniejsze, kto był twoim łącznikiem.

– Da się zrobić. To teraz słuchajcie, opowiem wam prawdziwą bombę. Zdradzę, o co tam tak naprawdę chodzi. I nie uwierzycie, bo to lepsze niż seriale. O wiele lepsze. – Uśmiechnął się, wystawiając spróchniałe zęby. – To opowieść z dreszczykiem.

Przybliżył się do nas i przeszedł w szept. Postanowiłem wytrzymać smród szamba wydostający się z jego ust, to nie był odpowiedni czas na lekcje z higieny osobistej...

Po zakończeniu wizyty w areszcie śledczym w Wejherowie długo siedzieliśmy w samochodzie przy zgaszonym silniku. Błona obracał w palcach kluczyki. Czy ta historia naprawdę była tak banalna i głupia jednocześnie?

Z zamyślenia wyrwała nas melodia telefonu. Na komendzie pojawiła się osoba, która przyznała się do morderstwa i zażądała rozmowy wyłącznie ze mną.

WYRZUTY SUMIENIA

Poprosiłam Wioletę Misztalewską, żeby zamieniła się na służby. Potrzebowałam jej do zrealizowania planu, bez niej nie dostałabym się na teren zakładu bez zarejestrowania do książki ewidencji samochodowej. Na początku stawiała opór. Tłumaczyła się randką z Bulczakiem. Zagroziłam jej więc, że zdradzę jej sekret i opowiem mu o Wójciku, po godzinie napisała, że wszystko załatwione.

W następnej kolejności poprosiłam brata, aby napisał esemesa do Nyżyńskiej. Czas na kolejny skok, dzisiaj o północy. Zgodziła się i obiecała pojawić się z towarem. Nie bałam się, że tego dnia ktoś nas zauważy. Wiedziałam, że skład był okrojony, a brak kierownictwa sprawiał, że ludzie spali.

Dzień wcześniej zadzwoniłam do Joli. Zaczęłam płakać i stękać, że mam samochód u mechanika, a muszę z dziećmi pojechać na przedstawienie. Początkowo chciałam pożyczyć jej auto, niestety miała rano delegację do Torunia, pilne spotkanie. Na szczęście Ezman myślał futem, a nie mózgiem. Żeby zapunktować u Joli, postanowił pożyczyć mi swój samochód, sam wziął służbowy z naszej filii. Nie miał wykorzystanego limitu kilometrów, zresztą jako prezes mógł pozwolić sobie na znacznie więcej.

Sama nie wiem, dlaczego nie spotkałam się z Natalią na neutralnym gruncie. Chyba stwierdziłam, że w firmie będzie bezpieczniej. Pomyśli, że to kolejny skok i przyjdzie. Na prywatne spotkanie mogłaby się nie zgodzić z obawy przede mną. Pewnie wiedziała, że chciałabym wybić jej z głowy odejście z naszego nielegalnego biznesu.

Jestem bystrą dziewczyną, więc umiem planować. Bez tego nie byłabym kierownikiem produkcji.

Przyjechałam na miejsce piętnaście minut wcześniej. Zatrzymałam się przed szlabanem i kiwnęłam głową do Misztalewskiej. Uśmiechnęła się z papierosem w zębach i zapukała w szybę. Zacisnęłam ręce na kierownicy bardzo mocno, czułam, że pocą się pod skórzanymi rękawiczkami, ale nie chciałam ich zdejmować. Bałam się o pozostawione ślady DNA. Nawet nie wiem, czemu mnie to obchodziło. Szlabany się uniosły, a ja wjechałam na teren ze zdecydowanie za dużą prędkością.

Oddychanie sprawiało mi trudność. Dostałam skurczy żołądka, tego dnia nie jadłam nawet śniadania. Połam się sporą ilością kawy, bo w nocy nie spałam. Zależało mi na tym, aby okradanie firmy trwało. Zaciągnęłam dwieście tysięcy kredytu na remont domu. Mąż stracił pracę na statkach. Brat potrzebował na alimenty, groziło mu więzienie. Nie starczyło mu kasy z tych jego drobnych robót. Odpowiedzialność za rodzinę spadła na mnie.

Podjechałam pod wejście ewakuacyjne hali o-dwa. Zaparkowałam tyłem. W radiu leciała moja ulubiona piosenka, „Never give up”. Sia miała dobre nuty. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że stoję nad wodospadem. Czuję zapach otaczającej mnie natury, słyszę szum wody i pozwalam, by wszystkie smutki i strachy popłynęły razem z nurtem. Dwieście tysięcy długu. Jak mam utrzymać siebie, męża, dwójkę dzieci, kredyt i brata? Z mojej wypłaty ledwo starczyło na opłacenie rachunków, nie wspominając o wyżywieniu i kieszonkowych dla dzieci.

Wzięłam głęboki oddech i poprawiłam zielony czepek na głowie. Przed wyjazdem przebrałam się w strój ekipy myjącej, oliwkowa koszulka i spodnie. Mama uczyła mnie, że przezorny zawsze ubezpieczony. Dlatego wolałam nie rzucać się w oczy.

Wysiadłam. Przywitał mnie chłód, co prawda dostałam gęsiej skórki, ale ten zimniejszy powiew był mi potrzebny. Odzyskałam jasność umysłu. Podeszłam do drzwi. Otworzyłam je z pomocą klucza, który otrzymałam dwa miesiące temu od inżynierów. Czasami pałętałam się po budowie.

Weszłam do środka najciszej jak umiałam, jednak nie udało mi się powstrzymać drzwi. Przeciąg nimi trzasnął. W środku przywitał mnie zapach metalu, kartonów i smrodu po spawaniu. Im głębiej wchodziłam, tym bardziej wyczuwałam smar. Rozglądałam się na boki, czy przypadkiem hałas nie

ściągnął niespodziewanych gości, ale wszędzie panowały cisza i ciemność. Jedyne światła padały z lamp owadobójczych, które zwisały z sufitu w regularnych odstępach.

Z naprzeciwka nadeszła sylwetka ubrana na białe. Fioletowe światło lampy przyćmiło kolor jej rudych włosów.

– Gdzie jest Buli? – spytała.

– Nie przyjdzie – odpowiedziałam. – To ja kazałam mu do ciebie napisać. Musimy porozmawiać.

Zmrużyła oczy i podrapała się po szyi.

– Zdania nie zmienię, obiecałam wam ostatni skok i słowa dotrzymam. Jeżeli Buli gdzieś tam jest, daj mu znać, zaraz podjadę wózkiem widłowym. – Pokazała mi chip do sztaplarki, który dyndał jej z kieszeni. – Zabrałam z pokoju kierowników zmiany ich ogólną faszolkę, przynajmniej nie będą mogli sprawdzić, kto kierował maszyną.

Poprawiłam czepek na głowie. Przez niego swędziała mnie skóra.

– Nie ma żadnego skoku, Natalia. Nie dzisiaj, ale zrealizujemy inne. Mam kilka ciekawych zleceń, więc nie będziemy się nudzić.

Chciała mi odpowiedzieć, ale zadzwonił jej telefon. Spojrzała na ekran, przewracając oczami.

– Ochrona. Daj mi chwilę. Twierdzą, że na hali włączył się alarm przeciwpożarowy. Na cholere wzięłam ten telefon? To

chyba przyzwyczajenie. – Odebrała. – Nyżyńska, słucham?

Podniosła mi ciśnienie. Chciałam wejść i wyjść nierozpoznana, a ona nie dość, że rozmawiała z ochroną, to jeszcze się przedstawiła. Poczekalam, aż skończy. Przez dobre dwie minuty tłumaczyła, że na terenie zakładu nic się nie dzieje i nie trzeba wzywać straży pożarnej. Ktokolwiek był po drugiej stronie – naciskał dalej.

– Przepraszam – powiedziała, gdy skończyła. – Wyłączę go, żeby już nam nie przeszkadzali. – Wrzuciła telefon do kieszeni.

– Więc na czym skończyłyśmy?

– Jeszcze nie wyjedziesz. Interes kwitnie. Mam kolejne trzy zamówienia na konkretne towary. Czy wiesz, jak trudno było na początku zdobyć zaufanie klientów? Jak ciężko było ich przekonać do naszych produktów?

– Świetnie, ale to już nie mój problem. Wyjadę, tak że znajdź sobie kogoś innego. Na pewno znajdziesz zastępstwo. Mam już nawet kandydata.

– Nie chcę propozycji, chcę, żebyś dalej robiła to, na co się umawiałyśmy! – krzyknęłam, a mój krzyk rozbił się echem wśród hali zagospodarowanej do połowy maszynami oraz wadliwą linią produkcyjną. Obie umilkłyśmy i zaczęłyśmy nasłuchiwać. Nie wyglądało na to, żebyśmy zdobyły zainteresowanie.

Natalia nie ruszała się z miejsca, po zmarszczonym czole stwierdziłam, że musiała intensywnie myśleć. Zrobiłam dwa

kroki, ręką wybadałam, czy scyzoryk od mojego brata wciąż jest w kieszeni. Był.

Co prawda obiecałam Buliemu, że znajdę kupca na ten scyzoryk, ale wolałam zabrać go ze sobą. Czułam się dzięki niemu bezpieczniej.

– Cokolwiek powiesz, to nic nie zmieni. – Natalia skrzyżowała ręce na klatce piersiowej. Coraz bardziej irytował mnie jej ton, wyniosły, krążący wysoko ponad moją głową. Samym głosem sprawiała, że czułam się mała. A tego nie lubiłam. – Wyjeżdżam z Adamem. Niedługo. Już mamy plany. Jeśli nie chcesz dzisiaj zorganizować strzału, to spadam odpocząć. Nic mnie nie trzyma w tej posranej firmie.

Odwróciła się do mnie plecami! Dziwka! Nie wytrzymałam tej zniewagi. Pociągnęłam ją za włosy. Krzyknęła, łapiąc mnie za rękę. Nic jej to nie dało. Wyciągnęłam z kieszeni scyzoryk. Zdawał się sam otworzyć. Dźgnęłam ją w plecy. Mocno. Włożyłam w to tyle siły, na ile było mnie stać. A długi i ostatnie niepowodzenia sprawiły, że kryło się we mnie sporo gniewu – paliwa, które mnie napędzało.

Natalia krzyknęła ponownie i odwróciła się w tej samej chwili, gdy wyjęłam z niej ostrze. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że było tępe, ale zrozumiałam to przy drugim razie. Scyzoryk nie wszedł w jej brzuch z taką lekkością, jakiej się spodziewałam. Utknął w połowie. Natalia spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, byłam pewna, mimo słabego

oświecenia, że zaraz się popłaczę. Ale ona zrobiła coś innego, spróbowała mnie uderzyć w twarz. Z pięści. Uniknęłam tego, robiąc prosty unik. Wychowałam się z bratem lubującym przemoc. Już mając pięć lat, uczyłam się samoobrony.

Natalia machnęła nogą, starała się mnie niezdarnie kopnąć. Odskokczyłam. Puściłam jej włosy i wyciągnęłam z niej ostrze. Kretynka zaczęła uciekać.

Kilkoma susami ją dogoniłam. Złapałam kolejny raz za włosy i odciągnęłam je do tyłu. Zadałam jej jeszcze dwa ciosy w plecy.

Potem...

Potem usłyszałam głosy. Ktoś nadchodził. Niewiele myśląc, siłą zaciągnęłam Natalię za maszynę ustawioną na palecie. Przysunęłam się w cień i zasłoniłam jej usta. Ostrze trzymałam przy jej szyi, grożąc podcięciem gardła. Natalia płakała. Była na tyle słaba, że nie umiała się wyrwać. Krew z ran na jej plecach plamiła moje oliwkowe ubrania.

Czułam, że nigdy nie zmyję z siebie tego brudu.

Z ciemnego korytarza wyłonili się techniczni. Jeden łysy z okularami, którego nie kojarzyłam. Drugi to Wójcik, facet, który bzykał Wioletę. Niósł karton, na oko ciężki. Oboje przeszli do hali obok i zamknęli za sobą bramę.

Nie mogłam opanować drżenia rąk. Nagle i mi zachciało się płakać. Trzęsły mi się nogi. Miałam wrażenie, że w udach odbywa się parada strajkujących ludzi. Dziwne uczucie.

Natalia uderzyła mnie z łokcia w żebra. Najwyraźniej wyczuła moją słabość. Zerwała się do ucieczki w stronę technicznych. Zdążyłam wybiec zza maszyny, żeby zobaczyć, jak poślizgnęła się na własnej krwi i poleciała na twarz.

Czołgała się w kierunku bramy.

– Moje dzieci... – wychrypiąta. – Mam dzieci. Proszę...

Podeszłam do niej i przerzuciłam scyzoryk do drugiej ręki.

Nie obchodziły mnie jej dzieci, tak samo jak ją nie obchodziły moje. Oszukała mnie. Chciała mnie porzucić.

Natalia zamarła na boku, patrzyła gdzieś w głąb hali. Z jej ust wyleciała krew. Mimo półmroku widziałam, jak jej skóra blednie. Uciekało z niej życie.

Chciałam kucnąć przy Natalii, zadać decydujące ciosy i zmniejszyć jej cierpienie, jednak brama z hali o-jeden się otworzyła. Odskokczyłam z powrotem za maszynę, modląc się do Boga o pomoc.

To Wójcik, szedł zapatrzonej w ekran telefonu.

– Czekaj, Florek! – krzyknął drugi techniczny. – Znalazłem imbusy! Nie idź! Poradzimy sobie z nimi i szybko się uwiniemy!

Wójcik przystanął, wciąż wpatrzony w telefon. Czułam, że topię się we własnym pocie. Serce przyspieszyło tak bardzo, że rozboleła mnie klatka piersiowa. Natalia leżała w tej samej pozycji, w której zastygła chwilę temu. Z tą różnicą, że tym razem wydała z siebie cichy jęk.

Cichy jęk, który rozbiegł się po hali i dotarł do technicznego.

Zakręciło mi się w głowie.

Wójcik się odwrócił.

Przykucnęłam – skulona uciekłam mu z pola widzenia. W myślach przeklinałam jak szewc. Zacisnęłam mocniej scyzoryk, w pierwszej chwili szacując, czy dam radę zabić i jego. Ale gdybym to zrobiła, musiałabym zabić i tego drugiego technicznego. Miałam marne szanse, tym bardziej, że większość energii zabrała mi Nyżyńska.

Ruszył w naszą stronę. Wójcik powoli wyciągał głowę przez maszynę do siatkowania marchewki. Przetarłam pot z czoła i ten zebrany nad ustami. Ból w klatce piersiowej powrócił z większą siłą, aż przechyliło mnie do przodu. Przytrzymałam się ściany. Wyobraziłam sobie siebie za kratkami, gwałconą przez inne więźniarki, jedzącą psie żarcie, sprzątającą łazienki szczoteczką do zębów.

Zostały milimetry, aby ją ujrzeć.

Stłumiłam szloch.

– Florek, co jest, kurwa?! Czas ucieka! – krzyk kolegi go zatrzymał. – Słyszysz? Zapierdalaj! Nie chcę tu spędzić całej nocy!

Wójcik jeszcze raz zerknął w naszą stronę i pobiegł do kolegi.

Rozluźniłam dłoń, scyzoryk wypadł na podłogę.

Moje nogi stały się miękkie, ból w łydkach położył mnie na zimne kafelki. Instynkt podpowiadał mi, że powinnam uciekać, jednak nie mogłam się ruszyć.

Sparaliżował mnie strach. Powinnam też dobić Natalię, żeby nikomu o mnie nie powiedziała. Zrobić cokolwiek, byleby nie leżeć. Ale w tamtym momencie myślałam wyłącznie o tym, jaka mała i bezwartościowa jestem.

Wiedziałam, że od tego wydarzenia zmieni się całe moje życie.

Nie będę taka sama. Moja dusza wyczerpała limit dobroci.

Właśnie zabijałam człowieka! Czy to samo czuli wszyscy mordercy?

Natalia znowu jęknęła. Tym razem głośniejsze. Zaczęła też krztusić się krwią.

To mnie napędziło. Zerwałam się na równe nogi i usiadłam na niej. Dźgałam ją scyzorykiem trzymanym oburącz. Za pierwszym razem poczułam nieprzyjemny opór, musiałam trafić w żebra, więc kolejne wymierzałam niżej.

Mój strach minął z jej ostatnim tchnieniem.

– Nienawidzę, kiedy mali ludzie rzucają mi wyzwania, bo myślą, że są lepsi ode mnie. To tak nie działa. Jeśli urodziłeś się tytanem, to zostajesz nim na zawsze. – Zielińska złożyła przed sobą ręce.

Jak na oskarżoną o zabójstwo, która zeznawała przeciwko sobie, zachowywała spokój. Nie zauważyłem u niej ani jednej kropli potu, czego nie mogłem powiedzieć o sobie. Po plecach spłynęła jedna, starałem się to zignorować. Obejrzałem się za siebie, w odbiciu zauważyłem, że świeci mi się czoło. Źle

znosiłem upały, szczególnie w nieklimatyzowanym pomieszczeniu.

Długo nie wytrzymałem, więc poprawiłem się na krześle, żeby podrapać się o oparcie. Ręce schowałem do kieszeni spodni. Przyglądałem się Zielińskiej, czując pewnego rodzaju napięcie. Ta wysoka blondynka ważąca około sześćdziesięciu kilogramów twierdziła, że zamordowała kobietę – z zimną krwią, przez pieniądze i władzę.

– Nie sądzi pani, że gdyby pozwoliła jej sobie pójść, to byłoby lepszym rozwiązaniem? – spytałem, żeby obudzić w niej chęć dalszej rozmowy. – I tak nic pani nie zyskała po jej śmierci.

– Nie przemyślałam sprawy. Zabił pan kiedyś, panie Szadurski? Zadałam głupie pytanie. – Uśmiechnęła się, pierwszy raz od początku przesłuchania. – Oczywiście, że pan nikogo nie zabił. Jest pan policjantem. Ale na pewno zdarzyło się panu zrobić złe rzeczy, a później ich żałować. Nie myślałam. Po prostu poddałam się furii. Miałam już dość Ciesińskiej i jej rozkazów, tego, że tępa dziewczyna zajęła takie stanowisko i musiałam jej wchodzić w dupę. Nyżyńska wszystko zepsuła. Byliśmy już bardzo blisko. Tak blisko.

– Co było dalej? – wróciłem do głównego tematu. – Co było potem, gdy zadzgała pani Natalię Nyżyńską?

– Zostawiłam ją na ziemi. – Wpatrywała się w swoje palce. – Za pomocą jej chipu zabrałam sztaplarkę. Wszędzie było pełno krwi, więc musiałam się streszczać, żeby posprzątać przed powrotem technicznych. Owinęłam ciało folią, na moje

szczęście rolka leżała obok, na niedokończonej taśmie produkcyjnej. Zrobiłam to niechlujnie. Największy problem miałam z usadzeniem jej na palecie. Namęczyłam się.

Pociągnęła nosem i się rozplakała. Westchnąłem ciężko, nie potrzebowałem teraz dramatów. Przygryzłem wargę od wewnątrz, wzrokiem podążając za pajakiem budującym sieć nad oknem. Czy już nikt nie zamiatał sufitów?

Francuski adwokat położył rękę na ramieniu Zielińskiej.

– Już, już, przepraszam. – Przetarła łzy. – Nie chciałam tego zrobić. Nie wiem, jak to się stało. Wie pan, za dużo problemów ma człowiek i wtedy dzieją się takie rzeczy. Jest mi bardzo przykro. Przepraszam.

– Co było dalej? Zawiozła pani owinięte folią ciało do chłodni?

– Nie od razu na to wpadłam. – Wytarła smarki z nosa o dłoń. Dopiero potem adwokat podał jej chusteczkę. – Bałam się, że w każdej chwili ktoś może przyjść i mnie nakryć. Nyżyńska wspominała o ochronie i alarmach pożarowych. Musiałam się streszczać przed tymi technicznymi. Najpierw chciałam wrzucić ciało do bagażnika i wywieźć, ale nie zdążyłam. Florek i jego łysy kumpel mi przeszkodził, więc odjechałam w przeciwnym kierunku, wprost do hali naświetlania. Tam poczułam się bezpieczniej.

– Widzieli panią?

– Nie, zaledwie przechodzili przez halę. Nie widzieli ani mnie, ani śladów krwi, bo byli zajęci noszeniem jakiegoś kartonu.

Chyba brakujących części. Nie wiem. Ale mnie nie widzieli, a Florek zdawał się zapomnieć o jęku Natalii, który wcześniej zwrócił jego uwagę.

– Pojechała pani na chłodnię?

– Nie, na hale naświetleń, była bliżej. Na początku chciałam wrzucić ciało na automatyczne szyny, ale zrezygnowałam z pomysłu, gdyż wiedziałam, że nasz zaawansowany system to cofnie. Wrzuciłam więc ciało do kontenera, załadowałam na linię, czekałam chwilę, aż się napromieniuje przez kilka minut, a następnie zatrzymałam, zanim system uruchomił taśmę do chłodni. Weszłam na halę z drugiej strony, korzystając z pomieszczeń technicznych i z pomocą cudzego konta, chyba ogólnego, komputer był zalogowany więc nie wiem, wjechałam z paletą na chłodnię, tak żeby uniknąć skanerów. Umieję to robić, kiedyś zaczynałam od pracy na hali, później pracowałam na sztaplarkach. Dopiero potem przenieśli mnie na biura po ukończeniu studiów.

Zerknąłem na zegarek. Brakowało mi Błony i jego błyskotliwych uwag. Co prawda Broczek siedział obok mnie, ale obiecał się nie odzywać – zgodnie z prośbą Zielińskiej. Zapisywał tylko coś od czasu do czasu w notatniku – nie wiedziałem po co, skoro przed nami leżał dyktafon, a obok stała kamera na statywie.

– Rozumiem. Zaprogramowała pani suwnicę.

– Spieszyło mi się. Źle ją zaprogramowałam, dlatego zadziałała w momencie, gdy pan tam był. To akurat

przypadek. Chciałam, by suwnica zadziałała rano, przed przyjściem magazynierów do pracy. Miała narobić dużego bałaganu, ukryć ciało między marchewkami i mieszanką do zup. Nie chciałam go ukrywać na dobre, nie jestem głupia, chciałam jedynie utrudnić odnalezienie Nyżyńskiej, żeby znaleźć czas na ochłonięcie i wymyślenie planu. Zamierzałam wywieźć tę paletę, panie Szadurski.

– Co potem?

Pająk zatrząsnął się i spadł o kilka centymetrów. Bujał się na pajęczynie, próbując odzyskać kontrolę. Gdzieś obok niego przeleciała mucha. Ciekawiło mnie, czy owady też drocą się między sobą.

– Chciałam posprzątać krew, ale jak techniczni wracali z tej hali o-jeden, to narobili mi stracha, tak że pobiegłam do samochodu. Tam rzuciłam scyzoryk do bagażnika, na jakąś białą szmatę, akurat tam leżała. – Przetarła oczy chusteczką.
– Na budowie ochroniarze wypuścili mnie z pretensjami, bo spali, ale udało mi się stamtąd wyjechać bez zdemaskowania. Nie sprawdzali mi auta. Zostawiłam wszystko na hali, tak jak było. Jeszcze w samochodzie, zanim wyjechałam z Szelewa, już na poboczu wytarłam scyzoryk w koszulę Ezmana. Pomyślałam, że może wtedy jakoś uda mi się zrzucić z siebie podejrzenia, gdyby ktoś o mnie pytał.

Kichnęła. Zielińska dobrze wczuwała się w rolę, jednak nie dałam się nabić w butelkę.

– Przebrałam się w swoje ciuchy, a te z ekipy myjącej wyrzuciłam osobno do śmietników w Pucku. Niecałą godzinę później zadzwoniła do mnie Ciesińska i poprosiła, żebym przyjechała. Powiedziałam, że jestem u kuzynki i ma mnie odebrać z Pucka. Zrobiła to.

– To pani podrzuciła scyzoryk do rodzinnego domu Misztalewskiej?

– To była najtrudniejsza część, ale dziewczyna chciała zacząć sypać. Powiedziała, że z panem porozmawia i powie o mojej obecności na terenie zakładu. Nie mogłam na to pozwolić. Pamiętałam, że wcześniej na jakiejś imprezie dawałam Joli klucze do domu Wiolety. Sprawdziłam, wciąż były w jej torebce. Pożyczyłam je i zaciąłam się na dom Misztalewskich. Poczekalam, aż wyjdą, i weszłam. Pod łóżkiem Wiolety znalazłam jakieś pudełko, wrzuciłam do środka scyzoryk owinięty w poplamioną krwią szmatę, i wtedy uciekłam. Później... zaczęłam jej grozić. Dalszą historię pewnie pan zna. Skoczyła z dachu, na stypie podrzuciłam Joli klucze do rodzinnego domu Wiolety i teraz przyznaję się do winy.

Wzruszyła ramionami. Zdawało mi się, że opowiada o pogodzie, a nie o morderstwie.

DALEKO OD PRAWDY

Wyszedłem z pokoju w przerwie przesłuchania, poszedłem na drugą stronę szyby, żeby zrobić sobie kawę.

Błona bujał się na krześle z telefonem w ręku, pisał z kimś wiadomości, ale gdy wszedłem, zablokował telefon i odłożył na stół.

– Co o tym sądzisz? – Wstawiłem wodę na kawę.

– Pierdzieli farmazony – odpowiedział. – Zapomniała dodać, że podcięła gardło ofierze. Zresztą jak dałaby radę przenieść ciało i tak je owinać w folię? Widziałeś, jak dokładnie je zawinięto? Poza tym na hali były ślady wycierania, ale żadnych innych śladów krwi nie było, nie tam, gdzie wskazywała. I chyba nie była świadoma, że mamy widok z kamer na budowę, nikt nie wyjeżdżał tamtędy w noc morderstwa. Ma nas za idiotów.

Podrapałem się po brodzie, denerwowała mnie w tym ukropie. Sprawa stawała się coraz bardziej skomplikowana. Zalałem rozpuszczalną kawę wrzątkiem i dodałem łyżeczkę cukru. Po namyśle wyjąłem z lodówki mleko. Dolałem je do kawy. W międzyczasie przyglądałem się Błonie, znowu pisał wiadomości, jakby sprawa Pihona go nie interesowała, chociaż na głowie mieliśmy Gdańsk, Francuzów i media.

– Nie patrz tak na mnie, nic mi nie jest – powiedział po chwili Błona. – Mam kilka spraw prywatnych, nic szczególnego. Sam masz problem ze ślubem Alicji, więc się nie czepiaj.

Faktycznie ślub zaprzętał mi głowę. No cóż, z miłości trudno się wyleczyć – przynajmniej tak mówiła moja matka, jeszcze przed zaginięciem. Jak o niej pomyślałem, zaswędziała mnie blizna po oparzeniu na klatce piersiowej.

– Tylko dlaczego miałyby się tutaj pojawić i kłamać? Kogo chroni?

– Proste: przeświatłmy jej rodzinę, ją też. Może znajdziemy większy przyływ gotówki i sprawdzimy, czy przypadkiem ktoś jej nie zapłacił. – Błona odchrząknął, zerkając na adwokata Zielińskiej. – Jak nie wiesz, o co chodzi, chodzi o pieniądze.

– To wcale nie jest zły pomysł. – Zapukałem w szybę. Broczek odwrócił głowę, więc zapukałem kolejny raz. Zmusiłem go do ruszenia tyłka.

Napiłem się kawy i żałowałem, że na komisariacie nie dorobiliśmy się ekspresu. Przydałaby mi się teraz karmelowa latte, lepiej mi się po niej myślało.

– Co jest? – Broczek rzucił teczkę obok nóg Błony opartych o blat stołu.

– Po co tracisz czas i na co czekałeś? Przecież wiesz, że to nie ona – pociągnąłem. – Chcemy przeświatlić konta jej rodziny, sprawdzić, czy przypadkiem nie wpadła tam jakaś kasa.

– Myślisz, że ktoś byłby na tyle głupi, żeby od razu jej zapłacić?

– Francuzi proponowali nam pokaźną sumę. Nam. Policji. Nie przejęli się tym, że sprawa jest głośna, że mogą otrzymać zarzuty o korupcję. A co jeśli chcą wznowić produkcję? Może mają już dość tej sprawy i reporterów z kamerami. Takie życie męczy, szczególnie, że ostatnio podpisali kontrakt z Rosją. Blokujemy ich.

Broczek mruknął. Podszedł do stołu i zajął miejsce obok Błony. Dopiero teraz zauważyłem, że i on był zmęczony. Zgarbiony – położył pomarszczone dłonie na stół. Po chwili złapał długopis, pstrykał nim – włączał go i wyłączał. Błona nie zdjął butów z blatu, nawet nie przestał patrzeć w telefon.

– Napisałem do Tediego – przemówił. – Zaraz podejdzie do nas z laptopem. Niech Zielińska posiedzi w środku i się podenerwuje, a my znajdziemy na nią haka.

Tedi przyszedł po dwóch minutach, usiadł obok Broczka.

– Mogę? – zapytał prokuratora.

– Dawaj – odpowiedział. – Papierkami zajmę się później.

W tym czasie przyglądałem się Zielińskiej. Trzęsła noga, rozglądała się po pomieszczeniu, jakby szukała tajemnego przejścia do lepszego świata. Dlaczego tutaj przyszła? Skoro chciała się przyznać do winy, mogła wymyślić lepszą historyjkę. Na to, co próbowała nam wcisnąć, sam Tolkien by nie wpadł, nie mówiąc już o Jo Nesbø w swoich kryminałach. Siwy adwokat obok niej zachowywał stoicki spokój, mógłbym śmiało powiedzieć, że wyglądał na znudzonego.

Zielińska złapała za butelkę wody, część wylała sobie na koszulkę. Ściekało jej też po brodzie. Adwokat poratował ją paczką chusteczek higienicznych.

– Złamię ją. – Odwróciłem się. Tym sposobem zwróciłem na siebie uwagę. – Dajcie mi z nią jeszcze pięć minut, a ją złamię.

Broczek uniósł siwą brew, ale skinął głową. Odstawiłem kubek z kawą, już chciałem wyjść, gdy jednak zdecydowałem się zawrócić i wypić jeszcze kilka łyków. Przede mną ciężkie zadanie. Wziąłem też ze sobą teczkę Broczka ze zdjęciami martwej Nyżyńskiej.

Przed wejściem do pokoju przesłuchań wytarłem dłonie o spodnie.

Spociałem się z nerwów.

Zdawałem sobie sprawę, jak wielką odpowiedzialność wziąłem sobie na barki, ale dałbym wszystko, żeby zakończyć te akta i dopisać je do prawidłowo rozwiązanych spraw.

Pihon przyciągał do siebie śmierć.

A może miał strażnika, swojego własnego kosiarza, który znudził się biernym siedzeniem?

Usiadłem naprzeciwko Zielińskiej.

Na mój widok jeszcze bardziej się spięła, a głowę opuściła tak nisko, że brodą dotykała klatki piersiowej.

– Dobra, pani Justyno, przechodzimy do konkretów, bo nie chce mi się dłużej siedzieć nad tą sprawą. Proszę jeszcze raz opowiedzieć: jak pani zabiła Nyżyńską?

– Nożem, znaczy się: scyzorykiem. Kilka razy w brzuch, później w plecy.

– Ile razy w brzuch?

– Nie pamiętam, byłam wściekła. Nie wiem, ile razy ją dźgnęłam. Przecież nie liczy pan, na ile kawałków sieka pan szczypiorek, prawda?

– Porównuje ją pani do szczypiorku? To człowiek. Z krwi i kości. Kobieta, która miała trójkę dzieci i męża. Być może nie układało jej się w tym czasie w domu, ale na pewno ich kochała. Chciała zobaczyć ślub dzieci. Poznać wnuki. Może wyjechać gdzieś z mężem. Wie pani, że terapie naprawiają związki?

Zielińska przełknęła ciężko ślinę, nie podnosiła głowy.

– Ile razy dźgnęła pani ten szczypiorek?

– Proszę sobie nie robić żartów! – Uniosła na mnie wzrok. Adwokat położył dłoń na jej barku. – Powiedziałam, że nie wiem. Nie liczyłam.

– Co jeszcze zrobiła pani z ciałem?

– Przepraszam, ale jestem zmęczona. Czy nie możemy odłożyć tego na później? Chciałabym się przespać.

– Co było najpierw, plecy czy brzuch?

– Brzuch.

– Nie, bo bok – odpowiedziałem. Próbowałem ją zmylić, jak tylko mogłem. Podsuwałem jej fałszywe tropy, by sprawdzić, czy nie złapię jej na kłamstwie. Zielińska zmarszczyła brwi.

– No to może bok – odpowiedziała po chwili. – Pan wie najlepiej, w końcu macie dobrych patologów i innych ekspertów.

– Nie dźgnięto Nyżyńskiej w bok. Czy posiadała pani przy sobie inne ostrze niż scyzoryk, który zwinęła pani bratu?

– Nie.

– Więc teraz na poważnie. – Oparłem się o blat stołu. – Tak całkiem na poważnie, dobra? Wiem, że nie zabiła pani Nyżyńskiej. Może miała pani coś z tym wspólnego, ale na pewno jej pani nie zabiła. Nic pani nie wie o ranach zadanych tej kobiecie, poza tym nie widzę motywu.

– Okradaliśmy...

– Tak, tak. – Pokiwałem głową. – Nie wierzę w te bajki, w końcu, kto chciałby kupować od was owoce i warzywa? Komu je sprzedawaliście? Do sklepu? Żaden interes. Przecież wasze produkty w większości są zanieczyszczone mikrobiologicznie, co oznacza, że bez napromieniowania nie ma sensu ich sprzedawać gdziekolwiek. – Odetchnąłem ciężko przed kontynuowaniem. – Poza tym rozmawiałem z pani bratem, przyznał, że dokonywaliście kradzieży, ale dlatego, że chcieliście obalić Pihona. Ponoć wiedziała pani o nieprawidłowościach w napromieniowywaniu żywności, stąd ta kradzież. Pozbywaliście się tego, co zwinęliście, a płaciła wam za to konkurencja.

Zielińska otworzyła usta i tak je zatrzymała – w kształcie literki „o”.

Przyglądałem się jej z rozbawieniem, dopiero się rozgrzewałem.

Po chwili jednak jej oczy się zmniejszyły, aż schowały się pod gęstymi, sztucznymi rzęsami. Nawet wysiliła się na uśmiech.

– Chyba pan żartuje? Przyznaję się do winy, a pan próbuje mi udowodnić, że kłamię? Gdzie prokurator? Chcę podpisać papiery.

– A ja chcę ekspres do kawy i szczerść. Jakoś obie te sprawy jadą w przeciwnych kierunkach. – Ponownie przeczesalem brodę. – OK, więc co pani zaproponowali Francuzi? – Zielińskiej na moment powiększyły się oczy. – Tak, domyśliłem się, że skoro szastają kasą na prawo i lewo, to i pani musieli coś zaproponować. Co to było? I proszę nie ukrywać prawdy, bo informatyk za szybko i tak dłubie już w pani finansach. Nic się przed nami nie ukryje, jasne?

Zielińska położyła dłonie na płasko, przyglądała się swoim palcom, jakby gdzieś na zdartym lakierze od paznokci widniała odpowiedź na jej smutki. Przynajmniej takie odnosiłem wrażenie. Złapałem w dłonie teczkę, ale jeszcze jej nie otwierałem. Adwokat marszczył brwi do telefonu, najwyraźniej rozmowa tłumaczona przez aplikację google'a mu nie odpowiadała. Mimo tego milczał.

– Więc w jaki sposób zamordowała pani Nyżyńską?

– Powiedziałam już! – Podniosła się, aż krzesło huknęło o ziemię. – Zamordowałam ją! Zamordowałam tę szmatę! Czego,

do jasnej cholery, pan nie rozumie?! Jest pan upośledzony?! Zamordowałam kurwę!

– Jak? – Zachowałem spokój. Patrzyłem przeszukiwanej prosto w oczy, pozwoliłem jej wziąć kilka oddechów. W chwili gdy klatka piersiowa Zielińskiej zwalniała tempo, jej źrenice się rozkurczały.

– Zadźgałam ją nożem, dźgałam tak długo, aż przestała dziwka oddychać.

– Rozumiem. Nożem czy scyzorykiem?

– Nożem! – Złapała się za głowę, bałem się, że wyrwie sobie te farbowane włosy. – Nie! Scyzorykiem! No niechże pan da mi spokój! Przyznałam się do winy! Czy to istotne, jak ja zamordowałam?!

Wyjąłem z teczki zdjęcia zrobione w chwili odnalezienia ciała. Rozkładałem je na stole tak, żeby Zielińska miała na nie dobry widok. W momencie kiedy położyłem fotografię, której kadr obejmował podejrzięte gardło Natalii Nyżyńskiej, Zielińska podniosła sobie krzesło. Usiadła na nim powoli, jakby się bała, że ogień poparzy ją w pośladki.

– W bagażniku Ezmana znajduje się krew ofiary. Zakrwawione ubrania. Sprawdźcie to. A teraz pan pozwoli, ale skończyłam z wami rozmawiać.

Posiedziałem jeszcze chwilę w ciszy. Pozwoliłem Zielińskiej popatrzeć na zdjęcia z miejsca zbrodni. Wyglądała na autentycznie przejętą i zszokowaną, nawet jej cera zbladła, a do oczu napłynęły łzy. Nie wiedziałem, co takiego się dzieje w

jej głowie, ale byłem pewien, że to nie ona zamordowała.
Zostawiłem ją z tymi zdjęciami i poszedłem do pokoju obok.

Chciałem poprosić Błone, aby pojechał ze mną sprawdzić
trop z autem Ezmana, jednak już go nie było.

ADRENALINA

Po Ezmana przyszło mi jechać samemu. Broczek został na komisariacie, razem z Tedim dalej szukali haka na Zielińską. Nie miałem czasu na czekanie, więc wsiadłem do brawy i na włączonych sygnałach wyjechałem z policyjnego parkingu, na milimetry minawszy się z rogatekami. Na pewno po powrocie oberwie mi się za to od dyżurnego.

Wjechałem na środek ulicy, pomiędzy oba pasy. Wskazówka na liczniku szybko się unosiła, a silnik wył na wysokich obrotach. Zaciskałem zęby, żeby nie puszczać przekleństw na idiotów, którzy nie zjeżdżali mi z drogi. Mieli szczęście, że nie miałem czasu na zatrzymanie się, wlepiłbym im najwyższe mandaty.

Przełączyłem radio na USB. Przekręciłem gałkę głośności na trzydzieści, aż wraz z muzyką Skilleta zadrgały szyby. W ten sposób lepiej skupiałem się na jeździe i oczyszczałem umysł. A w tym momencie dużo problemów zaprzętało mi głowę. Potrzebowałem zapomnieć o Alicji i Krystianie, o swoich rodzicach, o samobójstwie Wiolety. Musiałem się skupić.

Gdzieś tam za mną ociagały się dwa radiowozy. Za wolno. Jechały za wolno...

Niemalże z zamkniętymi oczami wjechałem na skrzyżowanie w Redzie. Nienawidziłem świateł na skrzyżowaniach, zbyt

często trafiali się nieprzytomni kierowcy. Przy każdej jeździe na bombach towarzyszyło mi wrażenie, że jestem sekundę od śmierci. Dla własnego komfortu zacząłem trąbić. Ruch na zatłoczonej drodze zamarł. Przejechałem przez skrzyżowanie i w tylnym lusterku zauważyłem, że samochody ruszyły. Lubiłem ten widok. Dzięki władzy sygnałów wstrzymywałem czas i wciąż oddychałem.

Skakałem po pasach, moi koledzy z drogówki w końcu mnie doganiali. Już miałem przejechać przez kolejne skrzyżowanie, gdy na przeciwnym pasie mignęła mi sylwetka srebrnego wozu. Volkswagen passat. I pewnie nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie tablica rejestracyjna.

Zielińska wspomniała, by przed wejściem do mieszkania siostry Ezmana, która zostawiła mu klucze na czas urlopu, poszukać na parkingu passata na francuskich numerach.

– CC946CC – powiedziałem na głos. Właśnie tych tablic szukałem.

Nie miałem za dużo czasu na reakcję. Przygotowałem się do zawrócenia – agresywnego, ryzykownego, przy dużej prędkości. Rękę położyłem na hamulcu ręcznym.

Wstrzymałem oddech i poprosiłem Boga o opiekę. Ostatnio próbowałem tego numeru z Błoną. Na lotnisku. Pustym. Szerokim. Bez przeszkód i głupich kierowców.

Przymknąłem oczy i zadziałałem. Zwolniłem, odbiłem w prawo i zakręciłem ostro w lewo. Na wyczucie zaciągnąłem ręczny. Brava zawyła, ale posłusznie obróciła się o sto

osiemdziesiąt stopni. Po okolicy rozwiął się siwy dym i smród palonej gumy. Zdało mi się, jakbym był na karuzeli z zardzewiałymi śrubami. Cudem uniknąłem zderzenia z osobówką, która dosłownie w ostatniej chwili uciekła na przystanek.

To nie mogło się udać, a jednak się udało! Podziękowałem za to Bogu.

Brava zwolniła do dwudziestu kilometrów na godzinę, odbiłem nią na lewy pas. Dodałem gazu, rozkręcając silnik do najwyższych obrotów. Dopiero po zmianie biegu na trójkę doszło do mnie, że jestem psychopata z odznaką.

Przy czwartym biegu udało mi się zmniejszyć odległość między mną a Ezmanem. Nie spuszczałem z oka tyłu jego samochodu, nie martwiłem się, dopóki potrafiłem odczytać rejestrację. Passat jechał środkiem jezdni.

Wyjechaliśmy z Redy.

Mimo terenu zabudowanego i niebezpiecznych skrzyżowań jechaliśmy ponad sto osiemdziesiąt na godzinę. Zerknąłem na fotoradary robiące nam zdjęcia. Oprócz aresztowania czeka Ezmana utrata prawa jazdy. Uśmiechnąłem się. Skakaliśmy po pasach, jakbyśmy jechali autostradą, a nie zwyczajną drogą E28. Ogarnął mnie strach, ale wiedziałem, że teraz nie mogę zwolnić.

Z tawerny wyjechał pojazd, mały, może fiat 126p albo chiquento. Na spokojnie uciekłem na lewy pas, czego nie mogłem powiedzieć o Ezmanie. Dzieląca go odległość od

czerwonego samochodu była mniejsza, więc gdy gwałtownie skręcił, musiał stracić kontrolę nad kierownicą. Przez pięćdziesiąt metrów wyraźnie starał się wyrównać, ale poległ. Tył pojazdu zrównał się z maską. Passat uderzył w metalową bramę i wjechał na prywatną posesję.

Podjechałem bliżej. Na szczęście domek znajdował się w głębi podwórza, które z przodu porastała nieskoszona trawa. Ulżyło mi. Skręciłem za Ezmanem. Zatrzymałem brawę za passatem i wybiegłem na zewnątrz. Wyciągnąłem broń z kabury. Nie spodziewałem się szybkiego przybycia wsparcia, choć gdzieś tam echem odbijały się syreny patroli.

Skulony Ezman biegł w kierunku domu.

– Ezman, stój! Nie masz dokąd uciec! Przestań uciekać, bo zaraz będę strzelać! – Zauważyłem, że moje krzyki nic nie dają. – Kurwa mać – szepnąłem, schowałem broń i sprintem pobiegłem za nim.

Nie miał za dużych szans. Może i był mojego wzrostu, ale wyraźnie praca za biurkiem nie sprzyjała jego kondycji i szybkości. Wiek także nie grał na jego korzyść.

Poczułem się jak tamtej nocy, przed sprawą morderstwa w Pihonie, gdy biegłem przez las za Balickim. Zmniejszyłem odległość do dwóch metrów, następnie wskoczyłem na plecy Ezmana. Nie utrzymał równowagi, więc obaj wylądowaliśmy w trawie. Zdziwiło mnie, że jeszcze walczył. Uderzył mnie w twarz, oddałem mu – zdecydowanie za mocno. Zamroczyło go,

a jego głowa odbijała się z prawej na lewą, jakbym zamknął ją w plastikowym pudełku.

Ku mojemu zdziwieniu doszedł do siebie po kilku sekundach i rzucił się na mnie z pięściami. Wpadł w szał, który położył mnie na plecy. Zablokowałem dwa ciosy, ale trzecim trafił mnie w skroń. Wkurzyłem się. Nie pozwoliłem mu na czwarte uderzenie. Oddałem Ezmanowi serią w brzuch, aż starły mi się strupy na kostkach u dłoni. Jego drogi garnitur zalała moja krew.

Wypuścił głośno powietrze. Czuję, jak opada z siłą, kładąc się na mnie. Zrzuciłem go na bok. Złapał się za brzuch i skulił w pozycji embrionalnej. Może nie powinienem być tak ostry...? Dla pewności, że tym razem mnie nie oszuka, skułem go kajdankami.

– I na chuj ten opór, Ezman? – Pomogłem mu podnieść się z trawy.

Wykręcił twarz w bólu, poczerwieniał, a na czole wyskoczyła mu żyłka. Nie zamierzałem mu niczego ułatwić. Skoro uciekał i atakował, musiał pogodzić się z konsekwencjami porażki.

Zmusiłem go do zrobienia kroku. W tym samym momencie z domu wyłaniali się pierwsi domownicy, a patrole zaparkowały przed rozwaloną bramą.

NAPROMIENIOWANA

Zatrzymałem się przed szlabanem i poczekałem, aż dyżurujący policjanci go podniosą. Spojrzałem w lusterko wsteczne. Ezman siedział z opuszczoną głową. Nie uniósł jej nawet po tym, jak zaparkowałem i otworzyłem dla niego drzwi. Chrząknąłem, żeby zwrócił na mnie uwagę. Zadziałało. Wsiadł bez mojej pomocy.

Popchnąłem go w kierunku tylnego wejścia. Przy okazji marszu oklepywałem swoje kieszenie w poszukiwaniu portfela. Zorientowałem się, że zostawiłem go w aucie, ale nie musiałem po niego zawracać. Naprzeciw nam wybiegli Błona z Frydrykiem.

– Czemu znowu nie odbierasz telefonu?! Zresztą nieważne, przekaz Ezmana Frydrykowi i jedziemy! – krzyknął, ciągnąc mnie do samochodu. – Oddaj go i wsiadaj! Wszystko ci opowiem po drodze!

Frydryk położył rękę na plecach Ezmana i poszedł z nim do firmy. Wsiadłem do bravy, przerzuciłem pas przez głowę, jak zwykle podczas jazdy na szybkie akcje. Rzadko odpinaliśmy pasy, żalowaliśmy na to czasu, toteż używaliśmy tylko ich górnej części. Wyjechałem z włączonymi syrenami z parkingu na ulicę.

– Jedź do Pihona! No, jedź!

Żałowałem, że nie odsapnąłem od ostatniego pościgu.

Wciąż targały mną silne emocje, a dłonie na kierownicy zaciskały się za mocno. Lubilem po takich akcjach zapalić papierosa w spokoju.

Do Gnieźdżewa Błona wprowadził mnie w temat. To sprawiło, że stopa na pedale gazu stała się cięższa, a samochody, które nie zjeżdżały dobrowolnie na pobocze, zostawały przeze mnie zepchnięte. Wyjechaliśmy na drogę wśród pól, skąd widziałem chłodnie Pihona. Przeszył mnie dreszcz.

– A w czym ja niby pomogę? – dopytałem, mijając znak z miejscowością Szelew.

– Jesteś warunkiem koniecznym. – Błona złapał się drzwi. – Uważaj jak jedziesz!

Skręciłem tuż przed osobówką wyjeżdżającą od mechanika, szybko wróciłem na swój pas i dałem po hamulcach, żeby przygotować się do ostrego skrętu w prawo. Mimo zahaczenia o wysoki krawężnik wysepki – pojechaliśmy dalej z całymi oponami.

Na miejscu przywitał nas otwarty szlaban. Przejechałem przez wjazd i zatrzymałem się przy wozach strażackich.

Wysiadłem.

Czekali już na mnie Dampc, Broczek i Zakrzewski. Innym się nie przyglądałem, chociaż kątem oka zauważyłem pobitą Ciesińską. Stała obok służbowych samochodów Pihona.

– Na pewno chcesz to zrobić? – Dampc trzymał maskę gazową, przy jego stopie stała butla z tlenem. – To niebezpieczne.

– Próbowaliście wyłączyć prąd? – Zauważyłem, że diody na rogatce świeciły. Zamierzałem zmieniać temat, żeby uniknąć odpowiedzi na to głupie pytanie. Nigdy nie byłbym gotowy na misję samobójczą.

– Zaznaczył, że jak go wyłączymy, wysadzi wszystko w powietrze – wtrącił Broczek.

– Sprawdziliśmy, że w maszynowni jest wystarczająco gazu, żeby wysadzić nie tylko zakład, ale i połowę Szelewa – dopowiedział Dampc.

Założyłem kombinezon ochronny, butlę z tlenem na plecy i złapałem za maskę. Jeszcze jej nie zakładałem. Wokół było mnóstwo ludzi – policjantów, cywilów, strażaków, reporterów – a ja nagle poczułem się strasznie samotny. Błona zabrał moją broń służbową, żeby przypadkiem jej nie użył w pomieszczeniu wypełnionym wybuchowym gazem. Zaproponowali mi ochronne rękawiczki i buty, ale nie skorzystałem. Wystarczająco źle czułem się w tym białym kubraczku.

Dampc odprowadził mnie pod metalowe schody wiodące do maszynowni.

– Uważaj na siebie, Szady – powiedział. Zatrzymałem się na pierwszym schodku. – Pamiętaj, że od tego, jak pójdzie ci ta

akcja, zależy nie tylko twoje życie. I jeszcze jedno: pod żadnym pozorem nie zdejmuj tej maski! Ten gaz cię zabije.

Skinałem głową. Denerwowałem się, a on mnie dobijał. Z każdym stąpieniem na schodek moje nogi trzęsły się coraz bardziej. Oddech przyspieszył. Spociłem się. Lepkimi dłońmi podtrzymałem się metalowej barierki. Doszedłem do drzwi od maszynowni; już na dworze wyczułem silny smród amoniaku, więc założyłem maskę. Obejrzałem się na dół – Dampc stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem. Skinałem do niego głową drugi raz, wyciągnąłem też kciuk, żeby dodać mu otuchy. Sam nie rozumiałem, dlaczego martwię się Dampcem. To ja wchodziłem w paszczę lwa...

Szedłem ostrożnie. Słyszałem ciągnący się za mną szelest kombinezonu. Nie lubiłem chodzić w masce, drażnił mnie własny oddech oraz wąskie pole widzenia. Zatrzymałem się przed uchylonymi drzwiami. Włożono pod nie kawałek drewna z popękanej palety. Na drzwiach widniała naklejka z mężczyzną w masce przeciwgazowej, a obok napis: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Otworzyłem drzwi jednym powolnym ruchem. Niemal natychmiast hałas chodzących maszyn i sprężarek mnie ogłuszył. Przymknąłem oczy i wszedłem na metalową kładkę. Zdażyłem wejść po schodach na podwyższony podest, gdy go zobaczyłem. Hałas maszyn sprawił, że nie próbowałem się odzywać. Stał wyprostowany, z głową skierowaną w moją stronę. W jednej ręce trzymał pistolet podłączony do spawarki,

w drugiej łańcuch, który przewiesił na wysuniętej z przyłącza rurze. Musiałem przyznać, że jak na wyczyn, którego próbował dokonać, wyglądał na wyluzowanego.

Gdyby mi nie powiedziano, kto to, w życiu bym go nie poznał. Miał na sobie biały kombinezon, dłonie schowane w żółtych rękawicach, a buty w kapciach ochronnych. Dodatkowo twarz zasłaniała maska. Nie odrywając od niego wzroku, z uniesionymi rękoma schodziłem po kolejnych metalowych, wąskich schodach. Musiałem się do niego dostać jak najbliżej, żeby spróbować negocjować. Chociaż w negocjowaniu nie byłem najlepszy.

Stałem przy jednej ze sprężarek.

– Opuść ręce!!! – wrzasnął.

Wykonałem jego polecenie. Nie podobało mi się, że trzyma palec na spuście pistoletu – do zapłonu wystarczyłaby jedna iskra. Aż nieprawdopodobne, jak blisko śmierci właśnie stałem.

– Czego chcesz, Ciesiński?! – odkrzyknąłem. Wzruszył ramionami. – Czego chcesz?!

– Słyszałem, co wyprawiają Francuzi! Nie pozwolę im się z tego wywinąć!

Zmrużyłem oczy, chociaż nie mógł tego widzieć. Stałem z nogi na nogę i rozpiąłem kombinezon pod szyją. Czułem, że przez tę maskę się duszę. Miałem ochotę ją zdjąć. Uciec stąd jak najdalej. Coraz więcej potu ściekało mi za kark. W tej maszynowni było za gorąco.

– Co wyprawiają Francuzi?!

Obok nas zapiszczała jedna ze sprężarek. Przygłuszyła słowa Ciesińskiego.

Chyba nie mogłem zażyczyć sobie gorszego miejsca do negocjacji.

Nie dość, że maski utrudniały nam komunikację, to jeszcze teraz ten pisk.

– Co?!

– Chcą, żeby prawda o jej śmierci została zapomniana! Chcą się wywinać!

– Z czego?! Ciesiński, mów jaśniej! Nie starczy mi tlenu, jeśli w ten sposób będziesz ze mną rozmawiał!

Ciesiński opuścił pistolet, poprawił też rękę z palcami zaplątanymi w ogniwa łańcucha.

– Muszę opowiedzieć ci prawdę! Powiedzieć ją akurat tobie, bo wiem, że ty ją obronisz! Musisz poznać prawdę!

Kolejne słowa ponownie zagłuszyła sprężarka. Poza tym pot wciekał mi do oczu – szczypały mnie, a fakt, że nie mogłem ich przetrzeć, podnosił mi ciśnienie. Zamknąłem jedno oko – to, do którego wleciało mi więcej potu. Nie powstrzymałem odruchu i spróbowałem je przetrzeć, przez co palcami zamazałem okulary. Dodatkowo szczypała mnie skóra. Mogło być gorzej...?

– To ja ją zabiłem! – Mimo zdenerwowania i hałasu wokół usłyszałem to wyraźnie. – Przyczyniłem się do jej śmierci, Szady! A ty musisz się dowiedzieć, dlaczego!

Ciesiński zerwał plomby na drzwiach ewakuacyjnych do pakowni. Zanim zdążył wejść do środka, z cienia wychyłała Nyżyńska, ścisnęła telefon i coś mamrotała pod nosem. Zagroziła mu przejście w głąb hali.

– Co się dzieje? – spytał Ciesiński. – Po co do mnie dzwoniłaś? Wiesz, jak ciężko jest się tu dostać niezauważonym? Gdyby nie to, że są dwie budy ochrony, bałbym się tutaj wejść.

– Mam dowód – powiedziała niby spokojnie, ale dało się wyczuć podniecenie. – Mam dowód na to, że ta firma oszukuje. Możemy ich zniszczyć!

– Ciszej. – Machnął rękoma, aby ją uspokoić. – Pokaż mi ten dowód.

Nyżyńska odtworzyła film nagrany w hali naświetlania. Ciesińska z Wójcikiem stali przy panelu sterowania i rozmawiali na temat promieniowania żywności.

Ciesińska wyraziła zgodę na podniesienie dawki, żeby zmniejszyć czas przebywania palet w basenie. Obok nich stała Zielińska, patrzyła przed siebie bez ruchu.

Wójcik ostrzegł Ciesińską o ryzyku, jakie mogą ponieść, jeśli okaże się, że dawka będzie mordercza.

– Nikt nie sprawdza na jaką dawkę promieniowania została narażona żywność. Nic nam nie zrobią.

– Jola, jeśli nas sprawdzą – przemówiła Zielińska – to pójdziemy siedzieć.

– Nikt nie pójdzie siedzieć, bo o wszystkich kontrolach przecież wiemy! Nie denerwujcie mnie. Francuzi dają w łapę tyłu osobom, ilu trzeba, więc musimy to wykorzystać na naszą korzyść. I tak zaplanowany towar będzie szedł na Rosję. Nic nie tracimy!

– Jeśli ktoś zobaczy w sterowni... – wtrącił Wójcik.

– Już podniosłeś dawkę o dobre dwie dziesiąte, i co? Ktoś zauważył? Trzeba zwiększyć dawkę do pięciu dziesiątych, za to czas produkcji zmniejszymy do czterech minut.

– Ale...

– Zamknij się, Florek, i wykonuj moje polecenia!

W tym momencie Ciesiński chciał zabrać Nyżyńskiej telefon, ale go zablokowała i odskoczyła w odpowiednim momencie. Przeklął.

– Co robisz? – Schowała telefon do kieszeni.

– Skasuj to, bo pożałujesz – zagroził Ciesiński. - Nie ruszymy tego, rozumiesz? Mieliśmy im poprzekadzać, tak żeby moja żona do mnie wróciła i przestała tyle siedzieć z tym palantem, Ezmanem. To za poważna sprawa, Natalia, nie możemy tego użyć.

– Chyba żartujesz? Czy ty wiesz, ilu ludzi może przez to zachorować? A ilu może umrzeć? To nielegalne! I niebezpieczne! Towar, który będzie jechał na Rosję, nie jest dozwolony do procesu sterylizacji. Oszalałeś?!

– Zamknij mordę i oddaj mi ten telefon! – krzyknął. – Jeszcze ktoś nas usłyszy!

– Nie ma mowy. – Odsunęła się, jak pewnie sądziła, na bezpieczną odległość.

Nie wytrzymałem. Zdjąłem z pleców butlę z tlenem i rozpiąłem do połowy kombinezon. Pozwoliłem rękawom zwisać wzdłuż nóg. Ściągnąłem też bluzę. W takiej gorączce nie mogłem się skupić. Wziąłem dwa głębokie wdechy – byłem świadomy, że mogły być moimi ostatnimi – następnie ściągnąłem maskę, zasłoniłem bluzą usta i nos. Mimo tego, że oddychałem płytko, gaz drażnił mnie w gardło. Rękawami przetarłem czoło i szczypiące oczy. Lepiej widziałem, przynajmniej na razie.

– Co było dalej?! – ponagliłem go.

– Nie wytrzymasz tak długo! Załóż maskę!

– Więc się pośpiesz, jeśli chcesz, żebym przed śmiercią poznał prawdę!

Nie kłamałem. Z każdym wdechem potęgowało się we mnie wrażenie, że zapadają mi się płuca. Stężenie gazu w tym miejscu znacznie przekraczało normę. To sprawiło, że spałem się bardziej. Moja klepsydra życia błyskawicznie przesypywała ziarenka piasku.

– Nie chciała oddać telefonu, więc ją do tego zmusiłem! Jak już go miałem, powiedziała, że bez jej odcisku palca i tak nic nie zrobię, więc mogę się pożegnać z usunięciem filmu! Ostrzegła mnie też, że nie ma sensu go niszczyć, bo film i tak

już jest w chmurze! – Przetarł ręką z pistoletem głowę; jemu też musiało być gorąco. – Kłóciliśmy się! Tak naprawdę niewiele z tego pamiętam, ale jakoś ją popchnąłem! Upadła na dupę! Krzyczała na mnie jeszcze głośniej! Bałem się, że w końcu ktoś nas usłyszy, więc do niej podszedłem. Chciałem przykucnąć, pomóc jej wstać, ale ona wtedy kopnęła mnie w jaja!

– Wtedy puściły ci nerwy?!

– Tak! Straciłem nad sobą kontrolę, zacząłem ją dźgać...! – Zrobił przerwę; poczekaliśmy, aż sprężarka przestanie piszczeć. – Kilka razy w brzuch scyzorykiem, który już posiadacie! Po tych kilku ciosach jakby się opamiętałem, zrozumiałem, co zrobiłem! Chciałem odejść, zostawić ją, ale gdy tak czołgała się w kierunku wyjścia, poczułem, że muszę ją zabić! Zadałem kilka kolejnych ciosów w plecy, aż przestała się ruszać! Scyzoryk wytarłem o spodnie i włożyłem go z powrotem do kieszeni!

Nastąpiła cisza, dla mnie zbyt długa.

– Co było potem?! – dopytałem. Zauważyłem, że się garbiłem. Podparłem się ręką o sprężarkę. Po policzkach spłynęło mi kilka łez.

– Nie wytrzymasz tego! Załóż maskę! – upomniał mnie. Zaprzeczyłem kręceniem głowy. – W chwili gdy odzyskałem trzeźwość umysłu, wyczyściłem Natalii dłoń z krwi i za pomocą jej odcisku palca zdjąłem zabezpieczenie, dzięki czemu miałem ten filmik! Chciałem go usunąć, ale

przypomniałem sobie, że przyda mi się pomoc tych z dołu! Zabrałem telefon ze sobą i zbiegłem do nich.

Chwyciłem maskę i założyłem ją, żeby wziąć kilka wdechów bez gazu. Drapało mnie w gardle, ale udało mi się odzyskać siły na tyle, żeby wstać. Najgorszy okazał się ból głowy, który zaatakował mnie z nienacką. Tak potężny, że ponownie przykucnąłem na kolano.

– Co było dalej, Ciesiński?! Opowiadaj! – krzyknąłem. Potrzebowałem więcej tlenu. Jak najwięcej tlenu...

– *Co ci się stało?* – *Ciesińska odsunęła się od maszyny i przyjrzała się mężowi.*

Stał obok Zielińskiej, pokryty krwią, w drżącej dłoni ścisnął telefon z nagraniem, które mogłoby ich kosztować kariery, albo i życie.

Włączył odtwarzanie.

Zdobył tym ich całkowite zainteresowanie, dzięki czemu miał chwilę dla siebie. Potrzebował jej, aby się pozbierać.

Jeszcze kilka sekund temu zamordował człowieka – kobietę, której sam zaproponował współpracę. To on przyszedł do niej z tą propozycją – chciał zniszczyć Pihon, żeby odzyskać Jolę.

A teraz Nyżyńska zginęła, chociaż zrobiła to, o co ją prosił.

Po zakończeniu filmu oczy zebranych skupiły się na nim.

– *To jej krew?* – *zapytał Wójcik. Ciesiński pokiwał głową. – Gdzie? – dopytał.*

Zaprowadził ich na miejsce zbrodni. Uważali, żeby w coś nie wdepnąć. Wójcik przykucnął przy głowie Nyżyńskiej, zagwizdał.

– Jesteśmy coraz groźniejsi. Pomogę wam pozbyć się ciała, ale to będzie kosztować. Za darmo mogę jedynie wezwać policję.

– Justyna, idź przestaw samochód – rozkazała Ciesińska. – Idź, stań tyłem, tak żeby ciało wrzucić do bagażnika. Nie będziemy przecież z nią biegać i wszystko brudzić krwią. Justyna! – podniosła głos, na co Zielińska podskoczyła. – Zapieprzaj przestawić samochód! Stań tyłem! Wyjedziemy przez bramę ewakuacyjną i nikt nas nie zauważy!

– Ale bagażnik...

– To i tak samochód Ezmana! Zapieprzaj!

Zielińska wybiegła z hali. Za nią poniósł się odgłos jej płaczu.

Podniosłem się z klęczek. Zdjąłem maskę i ponownie przysłoniłem twarz bluzą. Ciesiński pociągnął za łańcuch. Rura z amoniakiem się obniżyła.

– Nie przeżyjesz, Szady! A w ten sposób do niczego mi się nie przydasz!

– Mów dalej! Słucham cię!

– Skoro tego chcesz! – Zbliżył elektrodę do łańcucha. Czy mu się wydawało, że w tym stanie byłem dla niego zagrożeniem? – Justyna do nas nie wróciła! Uciekła! Więc musieliśmy znaleźć plan B! Chwyciliśmy z Wójcikiem ciało i...

Zrobił przerwę, która mi nie odpowiadała. Każda sekunda spędzona w tym miejscu przybliżała mnie do grobu. A nie zamierzałem dowiedzieć się, co dzieje się z człowiekiem po śmierci. Przynajmniej nie teraz.

– Jeszcze żyła, prawda?! Rany klute nie były na tyle głębokie, żeby ją zabić!

– Jola wzięła ode mnie scyzoryk i spróbowała jej podciąć gardło, ale nie miała siły, więc Wójcik dał swój nóż! Potem Jola pobiegła po folię! My owijaliśmy z Wójcikiem ciało, a Jola starała się zatrzeć ślady!

Ponownie przyklęknąłem na kolano. Ciesiński coś mówił, ale przez ten hałas w maszynowni i osłabienie organizmu nic nie rozumiałem. Przestałem chronić twarz bluzą. Pierwszy wdech był najgorszy, miałem wrażenie, że ogień wyżera mi drogi oddechowe. Paliło mnie także w ustach, czułem się jak po powiększaniu warg. Poza tym nie mogłem powstrzymać łez. Płakałem jak nigdy wcześniej.

Ciesiński przy mnie przykucnął. Położył dłoń na moim ramieniu, coś krzyczał, i to słyszałem już wyraźniej. Moją uwagę przykuły jego dłonie, a raczej to, czego w nich brakowało. Odepchnąłem Ciesińskiego, następnie uderzyłem go łokciem w maskę przeciwgazową. Zdawało mi się, że usłyszałem pęknięcie, ale w tym stanie niczego nie mogłem być w stu procentach pewien. Podparł się na rękach. Prawie go miałem, ale po zerwaniu się na równe nogi zakreśliło mi się w głowie. To mnie zatrzymało. Widziałem, jak Ciesiński idzie

do spawarki. Mimo mocnego ucisku w klatce piersiowej – ruszyłem za nim.

Złapałem go w nadgarstku, ale się wyslizgnął. Na szczęście zdążyłem zahaczyć palce o rękaw kombinezonu. Pociągnąłem materiał, który rozerwał się pod pachą. Ciesiński próbował mnie uderzyć, ale zrobiłem unik i jego pięść przecięła powietrze. Widziałem, jak próbuje sięgnąć do pistoletu od spawarki, ale w końcu zmienił zdanie i pociągnął za łańcuch. Rura rozwarła się i opadła – skierowana na mnie.

Moment, w którym gaz z kilkoma kroplami płynnego amoniaku trafił w moją rękę, jednocześnie mnie zamroczył i ocucił. Ból wszedł aż do szpiku kości.

Wrzasnąłem, cofając rękę pod brzuch. Zaciskałem zęby. Ból był tak silny, że wycisnął mi kolejne łzy.

Ciesiński w tamtej chwili uciekł z maszynowni w głąb zakładu.

Zabrałem bluzę z ziemi, obiegłem źródło amoniaku i pokuśtykałem za nim. Na moje szczęście albo nieszczęście – w firmie w czasie przestoju wszystkie drzwi były otwarte na oścież. Prowizorycznie owinałem poparzenie, na którym już powstały pęcherze i wbiegłem na jedyne schody, jakie były na korytarzu. W drodze na górę kilkakrotnie odbiłem się od ściany, raz źle stąpnąłem na schodek i uderzyłem kolaniem w kant. Bolało, ale ciężko biegać zapłakanym, do tego z drżącymi mięśniami.

Stwierdziłem, że Bóg w ostatnim czasie doświadcza mnie bólem dla swojej zabawy.

Udało mi się dostać do drzwi. Zatrzymałem się na barierce kolejnych stopni. Ile schodów tu było?! Te prowadziły na halę produkcyjną. Wzięłem głębszy oddech, amoniak nie dotarł tutaj w tak wielkim stężeniu, jakie utrzymywało się w maszynowni. Zbiegałem po schodach, znowu się potknąłem i uderzyłem o ścianę. Nie zatrzymało mnie to na długo.

Ciesiński przeskoczył przez linię produkcyjną. Co kilka kroków oglądał się za mną. On przemierzał środek hali, ja biegłem lewą stroną. Rana na przedramieniu dawała o sobie znać tak bardzo, że oddałbym wszystko za amputację. Jednocześnie ból sprawił, że znalazłem w sobie większe pokłady energii. Nie mogłem pozwolić Ciesińskiemu uciec. Nie wiedziałem, czy budynek był otoczony, a co najważniejsze – nie byłem pewien, czy Ciesiński wyczerpał wszystkie możliwości. Chciał przecież zniszczyć Pihon.

Na końcu linii zmniejszyłem dzielącą nas odległość do metra. Odciąłem mu drogę do hali o-jeden, więc zakreślił na halę napromieniowywania. Wkurzyłem się, że brama na halę była otwarta. Pobiegłem za nim, ale nie liczyłem na wiele. Coraz trudniej stawiało mi się kroki, nie mogłem wyrównać oddechu i wcale nie chodziło o słabą kondycję. Zakaszlałem.

– Ciesiński, stój! Stąd nie ma ucieczki, przecież wiesz! – Złapałem się w okolicy serca, podparłem się o ścianę i po niej osunąłem się na kolano. Ciesiński się zatrzymał.

Zimny pot zalał moje ciało, dostałem drgawek. Do tego krew z ręki plamiła kafelki, ściekała z palców w fugi. Dostrzegłem niebieskie zabarwienie paznokci. Pomyślałem, że niektóre historie lubią się powtarzać. Mimowolnie przypomniało mi się, co mówił na komisariacie Tedi: „co zdarza się dwa razy, przydarzy się na pewno i trzeci”. Skoro w tej firmie zginęły dwie osoby, czy ja będę trzecim przypadkiem?

Ciesiński zawrócił w moją stronę. Wymachiwał przed sobą nożem.

– To właśnie tym Jola podcięła jej gardło. – Wysunął trapezowe ostrze z noża do tapet. – Chciałem ci to dać, ale widzę, że jesteś bezużyteczny. – Zagwizdał. – Jesteś słaby i głupi jak Francuzi. Powiedziałem im, że nie może mi spaść włos z głowy, bo wciąż jestem w posiadaniu tego nagrania! Idioci tak się przejęli, że odwalili farsę! Dla mojej ochrony posłaliby do więzienia każdego, kto by się zgodził. Co za idioci!!!

Modliłem się, aby nie przestawał mówić. Potrzebowałem chwili, żeby dojść do siebie. Jeszcze tylko chwili...

– A ta suka chciała mnie wydać! Powiedziała, że nie pozwoli Justynie pójść za mnie siedzieć! Rozumiesz to?! Chciała mnie wydać, dlatego ją sprąłem! Justyna miałaby ustawione życie, dostała tyle forsy, że jej rodzina nie musiałaby się martwić o długi! Ale nie! Jolę ruszyło sumienie! Chciała powiedzieć, że to ja zabiłem! Ja! Chociaż to ona podcięła tej suce gardło!

Pomyliłem się, nie potrzebowalem chwili, bo z każdą sekundą czułem się coraz gorzej. Mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa, a gardło bolało mnie tak, że wolałem nie próbować mówić ani przelić śliny. Oddałbym sto dni życia za szklanekę mleka. Potrząsnąłem głową, liczyłem na odzyskanie dobrego wzroku.

Nic z tego... zdało mi się, że zapada mrok. A może straciłem poczucie czasu?

– Głupia suka, chciała mnie wrobić! – krzyczał dalej, ale jego głos zanikał, jakby uwiezono mnie w pomieszczeniu, w którym dźwięk rozniósł się echem w jednym kierunku. Do tego przerywało, jak w krótkofalówce tracącej zasięg. – Nie ja ją dobiłem! A Francuzom zachciało się ją bronić! Suka dla nich podtruwała ludzi, żeby tylko oszczędzili więcej pieniędzy! Pieprzone napromieniowywanie!

Szukałem Ciesińskiego. Chwilę kręciłem głową, zanim udało mi się go zlokalizować. Stał kilka metrów ode mnie, skierowany przodem do linii napromieniowywania. Spróbowałem się podnieść jak najciszej, ale opadłem z powrotem na kolano. Dlaczego nie posłuchałem Dampca i zdjąłem tę pieprzoną maskę? Przystawiłem dwa palce do szyi, od razu wyczułem, że mam zbyt szybki puls. Nie zostało mi dużo czasu przed utratą przytomności.

– Miała tyle, a jednak wciąż było jej za mało! Wciąż chciała więcej! Dziwka! Myślała, że wszystkich sobie podporządkuje, ale ja wiedziałem! Wiedziałem, kim ona była naprawdę!

Zachowywał się, jakby przemawiał do większej publiczności. Odbiłem się od ściany. Raz kozie śmierć!

Wskoczyłem Ciesińskiemu na plecy. Nie spodziewał się mojego ataku, więc złożył się w nogach, jak domino po prztyczku. Obaj poleciliśmy do przodu i wtedy zrozumiałem, że nie przemyślałem planu. Nie miałem siły na bijatykę. Tak naprawdę całą resztę energii wykorzystałem na ten ruch.

Gdy łupnęliśmy na podłogę, coś trzasnęło. Zsunąłem się z pleców Ciesińskiego i rozłożyłem na przyjemnie chłodnych kafelkach. Jeszcze byłem przytomny, miałem tyle siły, by usłyszeć, że Ciesiński się krztusi. Na początku nie wiedziałem, o co chodzi, ale kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem, że trzyma w ręce nóż – ten sam, którym podcięto gardło Nyżyńskiej, tylko tym razem trapezowe ostrze tkwiło w szyi Ciesińskiego.

– Nie wyciągaj! – krzyknąłem, a ten krzyk rozdarł moje poparzone gardło. – Nie wyciągaj, powiedziałem! – Bolało, zadawałem sobie jeszcze więcej bólu, ale nie chciałem, żeby umarł. Zanim uniosłem się z podłogi, Ciesiński wyjął nóż i pozwolił mu spaść obok swojego ramienia. Doczołgałem się do niego i złapałem za ranę. Uciskałem ją.

Ciesiński patrzył gdzieś ponad mnie. Chyba się uśmiechał. Coś w jego oczach kazało mi twierdzić, że ucieszył się z takiego obrotu sprawy. Nie mogłem tego powiedzieć o sobie.

Wykręciłem numer Błony, krzyknąłem „pomoc” i „hala naświetlania”. Później skupiłem uwagę na utrzymaniu przytomności, i uciskaniu rany.

Moja krew mieszała się z krwią Ciesińskiego.

Żyj, cholera, żyj!

POLICJA MA ZNACZENIE

Rozsiadłem się na ławce tak wygodnie, na ile można siedzieć na obdrapanym drewnie. Wystawiłem twarz do słońca. Pot z czoła ściekał mi do oczu, więc je zamknąłem. Przypomniało mi to tamten moment, gdy ponad dwa tygodnie temu amoniak niemal mnie oślepił. Przetarłem dłonią odrastające włosy na głowie. Dawno nie miałem takich długich. Temperatura w cieniu dochodziła do dwudziestu siedmiu stopni, stąd zamarzyłem o zimnej kąpieli. Nie byłem fanem takiej pogody, zdecydowanie bardziej wolałem jesień, deszcz i wiatr.

Cieszyłem się na zakończenie sprawy Pihona. Ciesiński żył, choć jego stan wciąż pozostawiał wiele do życzenia. Jego zeznanie się potwierdziło: w noc morderstwa Nyżyńskiej opuścił hotel i przyjechał nad morze. Zarejestrowały go bramki z autostrad. Ciesińska przyznała się do współpracy z Francuzami przy nielegalnym zwiększaniu dawek napromieniowywania żywności, próbowała wywinać się z morderstwa, ale pękła po przedstawieniu jej filmu, który nagrała Nyżyńska i ukazaniu mikroskopowych śladów krwi ofiary znalezionych pomiędzy ogniwami bransolety jej zegarka. Po zeznaniach Ciesińskiej Wójcik wylądował w areszcie śledczym i zostanie postawiony przed sądem, to samo tyczyło się Zielińskiej. Broczek zadbał, aby nikomu się nie upiekło.

Pihon czekała ciężka batalia o utrzymanie się na powierzchni. Nie wierzyłem, że im się powiedzie.

Słuchałem świergotu ptaków, szumu fal i liści popychanych przez wiatr. W parku rozprzestrzeniał się zapach słonej wody, piasku z plaży i glonów grzejących się na brzegu. Ze stadionu dobiegał do mnie dźwięk gwizdka i krzyk dzieciaków ćwiczących z nauczycielem. Wiosna wbrew pozorom miewała swoje dobre strony, budziła ludzi do aktywnego życia. Nawet teraz obok mnie przejechała na rolkach matka pchająca wózek. Nigdy wcześniej nie doceniałem tego wszystkiego tak jak dzisiaj.

Cieszyłem się, bo żyłem. Z ranami i nowymi bliznami, ale oddychałem.

Promienie słońca przysłonił mi cień. Spodziewałem się, że to Błona, ale po otwarciu powiek zauważyłem Alicję. Ubrana w top i krótkie spodenki przypomniała mi o naszym wspólnym wyjeździe. Rok temu pojechaliśmy pod Kartuzy, żeby leniuchować nad jeziorem i wędrować bez końca po lesie. Przyjąłem od niej kubek z kawą z McDonalda.

– Nie mam za dużo czasu – oznajmiła bez przywitania. Starąłem się patrzeć na ślimaka, który pełzał obok jej stopy. – Za godzinę zaczynam zmianę, a muszę jeszcze jechać na zakupy. Chciałam się z tobą spotkać ze względu na Krystiana. Wiedziałam, że po tej ostatniej aferze nie będziesz skory do rozmowy ze mną, więc poprosiłam Patryka o pomoc.

– Coś z Krystianem nie tak? – spytałem, starając się nie pokazać spięcia. Posmakowałem kawy i się skrzywiłem. Alicja przeczytała mi w myślach i podała mieszadełko.

– Chciałabym, abys porozmawiał z Krystianem o Maksie. – Przesuwała pod podeszwą sandałów kamień. – Głupio mi ciebie prosić o pomoc po tym wszystkim, ale nie mam wyjścia. Dla Krystiana jesteś jak ojciec, nie chcę wam tego odbierać, ale proszę cię, żebyś z nim porozmawiał o moich wyborach. Krystian przestał mnie słuchać, zniknął na kilka dni i nie odbierał telefonu. Wcześniej nie chciałam ciebie martwić. Widziałam, jak sprawa w Pihonie cię męczyła, ale boję się, że go stracę. Krystian nie chce, żebym wychodziła za Maksa. Nie wiem już co robić, próbuję z nim rozmawiać. Proszę cię, pomóż mi. Wpłyn na Krystiana, bo czuję, że go tracę. – Odetchnęła. – A może Maks ma rację, i chodzi o rasizm?

Omiał nie zakrztusiłem się kawą. Postawiłem kubek obok i przetarłem usta.

Przyjrzałem się Alicji, wyglądała na śmiertelnie poważną.

Aż zapiekła mnie gojąca się rana po amoniaku na przedramieniu.

– Masz egipskie korzenie, nie sądzisz, że mowa o rasizmie jest nie na miejscu? To, że wybrałaś sobie czarnoskórego mężczyznę, nie ma znaczenia. Znaczenie ma to, jaki on jest.

– Tylko nie sugeruj mi, że Maks jest niedobry dla Krystiana.

– Nie mi oceniać, ale jeśli skrzywdzi Krystiana, to się dowiem
– mówiłem spokojnie, chociaż rozsadzała mnie wściekłość.

Byliśmy razem cztery lata, a teraz chciała, abym przekazał ojcostwo. Zbyt łatwo jej to przychodziło.

– To bez sensu. Wiedziałam, że nie ma sensu do ciebie przychodzić, chociaż Błona nalegał, bym ciebie poprosiła o pomoc. Po prostu wiedziałam, a jednak część mnie chciała wierzyć, że zmądrzejesz i mi pomożesz. Może raz w życiu porzuciłbyś dumę i zrobiłbyś coś dla innych?

Uniosłem brwi i wpatrzyłem się w niebo. Zauważyłem białą chmurkę kształtem przypominającą rękawicę bokserską.

– Porozmawiam z nim.

– O ślubie – dodała. – Masz z nim porozmawiać o moim ślubie z Makssem. Jak wiesz, wychodzę za mąż, Marcin, a Krystian wciąż się łudzi, że ty i ja do siebie wrócimy.

Pochyliłem się, oparłem łokcie na kolanach i zacząłem obracać w palcach kubek z kawą. Nie tylko Krystian miał nadzieję, sam także ją żywiłem. Mimo wszystko gdzieś wewnątrz chciałem, żeby zgodziła się zaakceptować mnie takim, jakim byłem. Z trudem złapałem oddech. Dlaczego w życiu nie ma dobrych zakończeń?

– Zgoda – powiedziałem, wstając z ławki. – Dzięki za kawę.

Nie zamierzałem tego utrudniać. Odszedłem w kierunku domu, nie odwracając się za siebie.

– I zapuść te włosy! Znacznie lepiej wyglądasz! – krzyknęła za mną, na co odmachnąłem ręką.

Wyjąłem z kieszeni telefon i wybrałem numer Zakrzewskiego.

- Za pół godziny. Tam, gdzie zawsze - oznajmiłem, gdy odebrał. - Tym razem szykuj się na ostry łomot, paziu.

Kochałem Alicję, ale nie umiałem dać jej tego, czego pragnęła. To się nigdy nie zmieni. Niestety, zbyt wielu psychopatów chodziło po tym świecie.

A ja...

Potrzebowałem pracy w policji.